DUSZA KROLOWEJ

DUSZA KRÓLOWEJ

W języku angielskim:

GLIMPSES OF ITALIAN COURT LIFE

ITALIAN CASTLES AND COUNTRY SEATS
(*Longmans, Green & Co.*)

ROYAL SPAIN OF TODAY
(*Longmans, Green & Co.*)

THE SOUL OF A QUEEN
(*Brentano's*)

FRANCE IN THE SUNSHINE AND SHADOW
(*Brentano's*)

W języku francuskim:

UNE AMITIE HISTORIQUE (France-Amérique)
(*Plon-Nourrit & Cie, France*)

L'AME D'UNE REINE (Brentano's)

FRANCE AU SOLEIL ET A L'OMBRE
(*Brentano's*)

W języku hiszpańskim:

EL ALMA DE UNA REINA
(*Brentano's*)

W przygotowaniu:

W języku włoskim:

L'ANIMA D'UNA REGINA

W języku portugalskim:

A ALMA DE UNA RAINHA



Marja Gonzaga w żałobie po Cinq-Marsie.

Portret opatrzony własnoręcznym podpisem królowej.

TRYPHOSA BATES-BATCHELLER

DUSZA KRÓLOWEJ

BRENTANO'S

Poświęcam tę książkę
mej najdroższej przyjaciółce
Margaret Preston Draper-Boncompagni,
z myślą o naszych ukochanych ojcach
Generale Williamie Franklinie Draper
i
Hon. Teodorze Corneliusie Bates
których także łączyła serdeczna przyjaźń

List J. E. Ambasadora Polski w Stanach Zjednoczonych, Jana Ciechanowskiego:

Droga Pani,

Niech mi wolno będzie przesłać Pani serdeczne powinszowania z powodu ukazania się jej książki o Marji Ludwice Gonzaga, królowej Polski. Wysoko cenię Pani pracę, w której z takim talentem przedstawiła Pani okres z dziejów mej ojczyzny, kiedy Polska była jednym z ośrodków polityki europejskiej XVII wieku.

Wszyscy Polacy, którzy mieli zaszczyt Panią poznać i czytali Pani książkę, stanowiącą cenny wkład do historji Polski, uważają Panią za prawdziwą i szczerą przyjaciółkę naszego kraju. Wiem jak generał Sikorski wysoko cenił to co Pani zrobiła dla Polski.

Proszę przyjąć wyrazy mojej serdecznej wdzięczności i głębokiego poważania.

J. Ciechanowski

List profesora Oskara Haleckiego, dyrektora Polskiego Instytutu Naukowego w Ameryce:

Łaskawa Pani,

Jako historyk polski i przyjaciel Francji, witam z radością ukazanie się Pani pięknej książki, tak bardzo na czasie, w której odtwarza Pani na tle "wielkiego stulecia" niepospolitą postać królowej Polski, pochodzenia francuskiego.

O. Halecki

List dr. Olgierda Sherbowitz-Wetzor, profesora historji bizantyńskiej w The Graduate School, University of Georgetown, Washington, D. C.

Szanowna Pani,

W burzliwym okresie tragicznych wstrząsów, jakie przeżywamy obecnie, bezcenną rzeczą jest zaczerpnąć pociechę i pokrzepienie z uroczych kart książki, w której wywołuje Pani z historyczną wiernością i literackim wdziękiem wzniosły obraz wielkiego stulecia.

Olgerd de Sherbowitz-Wetzor

PRZEDMOWA

Z prawdziwą przyjemnością myślę, że autorka amerykańska pomogła mi poznać i pokochać księżniczkę niwerneńską, która z łaski Boga i dzięki dyplomacji Mazarina została królową Polski. Zanim przeczytałam tę czarującą książkę, niewiele wiedziałam o Marji Gonzaga; teraz zaś wydaje mi się, że zawsze znałam jej pełną uroku historję i od dzieciństwa przechowywałam ją w żywej pamięci jak bajkę. Bo doprawdy brzmi ona jak bajka. Niczego w niej nie brak: jest intryga i miłość, sława i zazdrość, tło starego francuskiego miasta i porywająca wizja bohaterskiego narodu, jest wreszcie wróżka, która u kołyski nowonarodzonego dziecka wypowiada zaklęcie: "Będziesz królową!" Ale niedość jest posiadać elementy bajki, trzeba mieć jeszcze dar opowiadania.

Pani Bates-Batcheller ma ten dar z natury, dziedziczy go zapewne po swych szkockich przodkach. Trzeba ją było widzieć w jej pracowni w Saint-Cloud, otoczoną rodzinnemi pamiątkami i dziełami sztuki zebranemi podczas licznych podróży, aby zrozumieć jak dalece atmosfera przeszłości pobudzała jej wyobraźnię. Pani Bates-Batcheller kocha Francję, stare mury i legendy francuskie. Francja jest jej drugą ojczyzną. Jeśli sztandar gwiaździsty będzie zawsze wyobrażał ojczyznę jej serca, Francja pozostanie ojczyzną jej ducha. Przybyła tam we wczesnej młodości, otrzymała wychowanie europejskie, którego piętno nigdy nie da się zatrzeć, i gruntownie poznała skarby naszego kontynentu. O jej erudycji i trafnem wyczuciu historji świadczą liczne

książki. Jej praca o "Hiszpanji królewskiej" wywołuje olśniewające obrazy tak bliskiej nam, choć nazawsze minionej cywilizacji.

Książka, którą dzisiaj oddaje czytelnikowi była pisana w ciężkich chwilach, w czasie gdy autorka starała się uciec od teraźniejszości, w istocie nie zapominając o niej na chwilę. Cóż mogło bardziej pobudzić jej natchnienie niż patetyczna historja miłości i chwały tej młodej wątłej dziewczyny o zielonych oczach, która jak żywy symbol odrywa się od roześmianych krajobrazów Francji, aby połączyć swe losy z przeznaczeniem cierpiącej Polski. Kiedy nadeszły złe dni, pani Bates-Batcheller nie chciała opuścić Francji. Jeśli przez kilka tygodni szukała schronienia w Nevers, to poto tylko, aby uzupełnić źródła historyczne. Pełna trwogi wiosna roku 1940 zastaje ją w pracowni na wzgórzach Saint-Cloud. Patrząc na wspaniałą panoramę zieleni rozpostartej przed jej oknami, pisarka mogła marzyć dowoli nie odkładając pióra. Ponad drzewami Lasku Bulońskiego znajome sylwety paryskich pomników rysowały się na tle ruchomego nieba lub zacierały w mglistej przestrzeni.

> *"Boskie miasto, mózg świata, duma człowieka,*
> *Ul nieśmiertelnych duchów . . ."*

Paryż był tak blisko.

Obok pisarstwa życie tej Amerykanki wypełnia muzyka; Bóg dał jej czysty i słodki głos, którego tak samo jak pióra, używa dla rozkoszy służenia dobru. Pewien ambasador francuski prosił ją, aby dała poznać się francuskim słuchaczom, przez co talent muzyczny pani Bates-Batcheller w pewnym stopniu przysłużył się także do zacieśnienia więzów między Francją a Ameryką. Wydaje się, że wiersz Walter Scotta napisany o Saint-Cloud po wielkiej tragedji Francji, jest jakgdyby pomyślany dzisiaj dla pięknej pieśniarki z Saint-Cloud:

Slow Seine might hear each lovely note
Fall light as summer dew
While through the moonless air they float
Prolong'd from fair Saint-Cloud.

And sure a melody more sweet
His waters never knew
Though music's self was wont to meet
With Princes at Saint-Cloud.

Nor then with more delighted ear
The circle round her drew
Than ours, when gather'd round to hear
Our songstress at Saint-Cloud.

Few happy hours poor mortals pass
Then give those hours their due,
And rank among the foremost class
Our evenings at Saint-Cloud.

Czy można jednak marzyć gdy wyją syreny i padają bomby? Ze swego okna, jak z loży teatralnej pani Bates-Batcheller obserwuje wszystkie fazy dramatu. Serce jej ściska się, gdy widzi jak czarna chmura owija miasto krepą żałoby a z wieży Eiffla powiewa swastyka. Serce jej ściska się boleścią, bo kocha Francję gorąco i wierzy, iż nic nie zdoła zatrzeć jej dawnej wielkości. Polska jest pokonana, Francja upokorzona. Co tedy począć? Pani Batcheller z głębi swych marzeń wywołuje chwalebne karty historji Polski, wdzięk prowincji francuskiej, szlachetne przeznaczenie starego rodu. Walcząc na swój sposób wskazuje drogę innym.

Nieraz podziwiałam jej spokój i pogodę. Przeprowadziłam dla niej poszukiwania w naszych rodzinnych papierach. Jeden z moich andegaweńskich przodków, kawaler de La Borde, szczycił się tem, że był przyjacielem i powiernikiem króla polskiego, Stanisława Leszczyńskiego, ojca innej Marji,

która została królową Francji. Myślałam, że może uda mi się znaleźć w stosach listów i innych dokumentów, będących w mojem posiadaniu, jakiś szczegół dotyczący epoki małżeństwa Marji Gonzaga ze starym podagrycznym królem Władysławem IV. Nie znalazłyśmy nic, ale miło nam było przeprowadzać te poszukiwania. Jest prawdziwą rozkoszą dotykać pożołkłych papierów, pokrytych starem pismem i za każdym razem zadawać sobie pytanie: czy odkryjemy nowy fakt, drobny może, ale nieznany historykom? Rozkosz ta jest tak wielka, że można tylko żałować tych, którzy jej nie znają. Radości tej doświadczą czytelnicy historji Marji Gonzaga. Poczują, że autorka docierała do źródeł i odgadywała to, czego nie zapisali ówcześni kronikarze. Marja Gonzaga, która była królową za życia, miała spełnić po śmierci inne posłannictwo. Pani Bates-Batcheller wywołuje ją przed nami, aby znowu promieniała urokiem i za morza niosła wcielony obraz Francji, zawsze młodej, słodkiej i czułej, której świat będzie zawsze potrzebował. Czytelnicy tej pięknej książki oddalą się na chwile od okropnych wizji udręczonej Europy. Zapomną może o gwałtach i okrucieństwach naszych czasów, aby widzieć tylko dobroczynną wróżkę, która z głębi wieków niesie ku nim gałązkę nadziei.

Przed dwustu laty niwerneński poeta-rzemieślnik, opiewając odjazd Marji, pisał:

"... Une simple fleur que la France nous donne
Vaut mieux que tout l'éclat qui brille en sa couronne."

Hrabina Janowa de Pange
z domu księżniczka de Broglie
doktór ès-lettres
Uniwersytetu Paryskiego.

OD AUTORKI

Często mówi się, że wystarczy raz zobaczyć Francję, aby napewno do niej wrócić.

Wszyscy Amerykanie żywią dla Francji serdeczne uczucia. W żyłach potomków "Trzynastu kolonji" płynie więcej krwi francuskiej niż się naogół sądzi. Z drugiej strony wielu Amerykanów zamieszkało w różnych stronach Francji, a fakt że wszyscy potomkowie Lafayette'a są prawnie obywatelami Stanów Zjednoczonych jest jednym z wielu dowodów wdzięczności, jaką odczuwamy wobec Francji za pomoc udzieloną nam w walkach o niepodległość. Gdy z kolei Francja została napadnięta w czasie wielkiej wojny, naród amerykański znalazł odpowiedni sposób, aby wyrazić jak bardzo jest oddany sprawie francuskiej.

Mój znakomity przyjaciel, książę de Broglie, obecny prezes Francuskiego Stowarzyszenia Synów Cincinnati, dużo zdziałał w swoim kraju dla rozwoju tego towarzystwa, założonego w roku 1782 przez Jerzego Washingtona. Nasz pierwszy prezydent zaprosił Ludwika XIV na członka tego stowarzyszenia, a jego Królewska Mość oceniając ten gest ofiarował Washingtonowi order Swiętego Ducha.

Siostra księcia de Broglie, hrabina Janowa de Pange, bliska moja przyjaciółka, była pierwszą Francuzką przyjętą do "Cór Cincinnati". "Córy Rewolucji Amerykańskiej" zajmują śród stowarzyszeń francuskich poważne miejsce. Przy pomocy

mych przyjaciół francuskich i amerykańskich miałam zaszczyt utworzyć kapitułę Rochambeau "Cór Rewolucji Amerykańskiej" w Saint-Cloud i dotychczas jestem jej honorową przewodniczącą. Przy tworzeniu kapituły udzielili mi swej pomocy i współpracowali ze mną generał Pershing i książę de Broglie.

Większość dzieciństwa spędziłam we Francji, gdzie studjowałam na Uniwersytecie w Sorbonie a po śmierci rodziców założyłam swój własny dom i osiedliłam się ostatecznie na pięknych wzgórzach Saint-Cloud pod Paryżem.

W ciągu tych lat mogłam ocenić dzielność i inteligencję kobiety francuskiej, dla której, mimo wytrwałych starań wielu ludzi z marszałkiem Fochem i księżną de la Rochefoucauld na czele, prawa ich własnego kraju są mniej niż łaskawe. Wbrew wszystkim trudnościom, często w warunkach najbardziej krytycznych, Francuska dawała dowody męstwa i energji. Sława wielu kobiet francuskich będzie nieprzemijająca na całej przestrzeni dziejów. Nauka i sztuka znalazła także pośród nich wiele genjalnych przedstawicielek.

Francuzki naogół nie lubią opuszczać swego kraju. Bohaterka mojej historji, piękna księżniczka niwerneńska, miała jednak odwagę i rozum, aby nieść kulturę francuską aż do dalekiej Polski i pomóc temu krajowi nietylko w rozwoju sztuk ale także w zawiłej polityce europejskiej.

Marja Gonzaga, potomkini wielkiej rodziny włoskiej i jednego z najznakomitszych rodów Francji, była najdoskonalszym żywym wyrazem wysokiej kultury obu wielkich narodów łacińskich, które połączyły się w pięknem mieście Nevers jakgdyby poto, żeby służyć postępowi ludzkości.

Brzegi Loary, która przepływa przez to miasto zdobi wiele wspaniałych zamków, gdzie rzeczywistość ma polot romantyczny.

Zamek Saint-Eloi w Nevers był siedzibą książąt, którzy mimo przywiązania do królów francuskich pozostali panami

w swym własnym kraju, a Niwernja była ostatnią prowincją przyłączoną do królestwa Francji. Można nawet powiedzieć, że historja tej prowincji ubiega się o lepsze z historją całego narodu.

"Wiara" jest dewizą książąt de Nevers, wiara też zawiodła ten ród tam dokąd wiara zazwyczaj prowadzi—do szczęścia i pomyślności. Twarze mieszkańców Niwernji opromienia uśmiech, a ziemia ich pól jest bogata i płodna. Doprawdy jest to biblijny kraj "mlekiem i miodem płynący."

Wydaje mi się, że wszyscy chętnie poznają naprawdę cudowną historję miłości, walki i zwycięstwa pewnej dzielnej, pięknej i mądrej księżniczki niwerneńskiej. Marja Gonzaga opuściła swą promienną Francję, aby stać się królową kraju, który także zasłynął dzięki wielkości swej historji i znakomitym, pełnym odwagi bohaterkom. Kobiety polskie zajmują również szczególne miejsce w historji swego narodu. Wiele bohaterek tego kraju poniosło śmierć męczeńską lub wsławiło się męstwem na polach bitew. Myślę przedewszystkiem o Annie Chrzanowskiej, która broniła swego zamku przed Turkami w 1675 r., o Annie Opalińskiej, Annie Stadnickiej i innych, które dzielnie walczyły za kraj. W okresie nieszczęść Polski kobiety często brały udział w walce u boku mężów, cierpiały wraz z nimi a w życiu politycznem odgrywały wyjątkową rolę. Pewien wielki historyk pisał, że "kobiety polskie są patrjotkami i chrześcijankami a ideałem ich jest poświęcenie dla ojczyzny i rodziny. Zawsze okazywały one bohaterstwo i siłę ducha, które zasługują na najwyższe pochwały i podziw."

Chciałabym tutaj wyrazić wdzięczność przyjaciołom, którzy zachęcali mnie do tej pracy i nie odmawiali mi w niej swej pomocy. Księciu de Broglie, członkowi Akademji Francuskiej i Akademji Nauk, z którego rodziny wyszedł jeden z ambasadorów francuskich w Polsce, wyrażam nietylko

wdzięczność za przyjaźń ale również za cenne rady, których mi nie szczędził. Hrabinie de Pange, z domu księżniczce de Broglie, prawnuczce Pani de Staël, prezesce towarzystwa im. Pani de Staël we Francji, dziękuję za szlachetną pomoc udzielaną mi w czasie pisania tej pracy.

Wyrażam swą szczerą i serdeczną wdzięczność za zainteresowanie i zachętę do pracy mej najdroższej przyjaciółce księżnej Małgorzacie Draper-Boncompagni, której ojciec był także w przyjaźni z moim ojcem.

Przyjaciółce mojej księżnej de Talleyrand dziękuję za zainteresowanie, które okazywała mej pracy.

Uprzejmości kapitana L. E. Gielguda zawdzięczam możliwość korzystania w jego rzadkich książek, które niegdyś należały do jego litewskich przodków.

Pani de Souza Dantas, żonie ambasadora brazylijskiego we Francji, długoletniej mej przyjaciółce, chciałabym wyrazić podziękę za stałe zainteresowanie, które okazywała tej książce.

Panu Raulowi Toscan chcę raz jeszcze powiedzieć, jak cenna dla mnie była jego uprzejma i wspaniałomyśna pomoc okazana mi w czasie poszukiwań dokumentów w bibljotece w Nevers, pozostającej pod jego kierownictwem. Jego własne prace są zbyt znane, abym miała je tutaj wymieniać. Pan Toscan udzielił mi wielu wiadomości i pozwolił korzystać ze swych badań nad historją miasta i prowincji Nevers, jak również nad historją rodu Gonzagów.

Chcę tutaj również wyrazić mój podziw dla wielkiego generała Sikorskiego, który jest żywym symbolem niezwalczonego oporu swego kraju, oraz wdzięczność dla jego współpracowników, Ambasadora w Waszyngtonie, Jana Ciechanowskiego, dra. de Sherbowitz-Wetzor, hrabiego Lasockiego, księcia Tumanoff, a pozatem szczególnie chcę podziękować profesorowi Haleckiemu, wielkiemu historykowi, za bezcenne rady, których nie skąpił mi w mej pracy.

Kończę, wyrażając nadzieję, że czytelnik znajdzie w tej książce, poświęconej dziejom pięknej Marji Gonzaga, tyle przyjemności, ile mnie dało pisanie tej pracy.

"TREETOPS"
Saint-Cloud, France, 1940

NEW YORK,
U. S. A.,
1942.

TRYPHOSA BATES-BATCHELLER

ROZDZIAŁ I

Narodziny

Na brzegu pięknej Loary, ponad malowniczym krajobrazem Niwernji, gdzie na zielonych łąkach pasą się białe woły, sprowadzone niegdyś z Włoch przez książąt Gonzaga, wznoszą się wieże feudalnego zamku Saint-Eloi. Dzięki książętom Niwernji, którzy przez wieki panowali nad tą bogatą i piękną prowincją francuską, historja zamku nabrała polotu pełnego fantazji i romantyzmu.

Jest jesień, dni są słoneczne i ciepłe, mimo że uporczywy wiatr chłodzi powietrze i strąca pierwsze żółte liście. Ponętne brzoskwinie, które Chińczycy zwą owocami długiego życia, zwisają ciężko z gałęzi. Winnice pełne są białych winogron, z których robi się wino Pouilly, ulubione niegdyś przez Napoleona. Z ogrodów dochodzi zapach róż i jaśminów, a świat wydaje się prawdziwym rajem. Choć dużo wody przepłynęło pod wielkim starym mostem przerzuconym przez Loarę, w miejscu gdzie wpada do niej mała rzeczka Nièvre, krajobraz ten nie zmienił się w niczem od setek lat.

Śród tej piękności, dosytu i szczęścia, we wrześniu roku 1611 przyszła na świat nasza bohaterka. U wejścia do katedry zebrała się gromada wieśniaków, aby widzieć przybycie panów, bo chrzest tego królewskiego dziecięcia był ważnem wydarzeniem dla wszystkich. W zainteresowaniu prostych ludzi dla ważnych uroczystości związanych ze znakomitym

rodem, który przez tak wiele lat decydował o ich życiu i wpływał na losy kraju, wyrażała się nietylko ciekawość, ale i serdeczne przywiązanie.

Był piękny jesienny dzień i niebawem mały placyk wypełnił się tłumem ciekawych, którzy w nagrodę za swe długie oczekiwanie ujrzeli naraz wielką złoconą karocę zaprzężoną w cztery wspaniałe białe konie i powożoną przez woźnicę w liberji haftowanej złotem, wesoło połyskującem w słońcu.

Na zamku hajducy, przybrani w barwy Gonzagów, pomagali wsiadać państwu do karet i ustawiali się po dwuch z tyłu każdego powozu. Białe peruki i kolorowe kapelusze służby Karola, księcia de Nevers, ojca dziecka, dopełniały malowniczego obrazu. Jakkolwiek od bram zamku do drzwi katedry było nie więcej niż paręset kroków, orszak wyglądał tak okazale jakgdyby miał kroczyć przez wielkie miasto; ten iście królewski ceremonjał godny był nowonarodzonego dziecięcia.

Wielka prowincja Niwernji przyłączyła się ostatnia do królestwa francuskiego. Walki, trudności i komplikacje, zbyt liczne aby je tu opowiedzieć, opóźniły przyjęcie suwerennej władzy króla Francji przez książąt de Nevers, którzy byli jednocześnie książętami Mantui we Włoszech. Przybyli oni stamtąd do Francji przed kilkuset laty.

Wielkie damy wysiadały ze swoich ekwipaży jadących za książęcą karocą i tworzyły w katedrze długi orszak.

Był dzień 11 września. Nowonarodzone dziecię miało za rodziców chrzestnych księcia Henryka Lotaryńskiego, księcia d'Aiguillon, i Katarzynę Gonzaga i de Clèves, księżnę de Longueville, która trzymała księżniczkę na ręku. Rodzice chrzestni reprezentowali z jednej strony Jego Królewską Mość, Ludwika XIII, króla Francji i Nawarry, z drugiej-królową-matkę, podówczas Regentkę Francji, Marję Medycejską. Na pamiątkę królewskiej matki chrzestnej dziecię otrzymało imię Marji. Marja Gonzaga wstępowała w życie

pod najlepszemi auspicjami: otrzymała nietylko błogosławieństwo biskupa Nevers, ale także najwyższe błogosławieństwo Jego Świątobliwości Papieża, przysłane umyślnie z Rzymu.

Uroczystość dobiegła końca, ostatni powóz odjechał, tłum się rozszedł. Na zamku dama dworu złożyła królewskie dziecię do kołyski. Gdy zasnęło pierwszym snem, przybyła tam inna królowa, królowa wróżek, w otoczeniu swej świty i dam dworu z innego, feerycznego świata. Piękna wróżka uniosła lekko zasłony kołyski i dotykając dziecka czarodziejską różdżką, powiedziała:

—Będziesz piękna i mądra i posiądziesz wielkie zrozumienie spraw publicznych.

Inna wróżka, odziana w szare szaty, zbliżyła się do kołyski:

—Będziesz wiele cierpiała ale przezwyciężysz wszystko.

Nagle bliżyła się trzecia, stara o siwych włosach, poruszająca się z trudem i wsparta na długim kiju. Głos jej zabrzmiał jak głos losu gdy wyrzekła z naciskiem słowa, które zdumiały wszystkich dokoła:

—Będziesz królową!

Był to najwyższy dar wróżki przeznaczenia, który miał przynieść Marji wiele trosk, wiele szczęścia a imieniu jej równie wiele chwały i rozgłosu.

Historja prowincji niwerneńskiej pełna jest dziwnych i dramatycznych wydarzeń. W żywotach wielu jej bohaterów odbijała się jakgdyby cała epoka. Życie Marji Gonzaga było jak bukiet pięknych pachnących kwiatów, ona sama była jak róża.

Z powodu bogactw prowincji niwerneńskiej i jej położenia geograficznego w środku Francji, książęta tego kraju często zawierali świetne i korzystne małżeństwa zagranicą. Niwernja przyjmowała obce elementy, i cudzoziemców przeobrażała w wielkich swych synów. Jest coś trudnego do wytłu-

maczenia w atmosferze tego kraju i w ludzie niwerneńskim, który bardzo różni się charakterem od mieszkańców innych części Francji; być może przyczyny szukać należy w tem, że książęta i księżniczki przez swe zagraniczne związki ściągnęli do Nevers liczne świty pochodzące z cudzoziemskich krajów. Mówią o Chinach, że każdy najazd obcych kończył się tam pochłonięciem przybyszów przez tubylców i w ciągu kilku pokoleń każdy najeźdźca stawał się Chińczykiem. Podobnie i tutaj przybysze poddawali się wpływom przybranej ojczyzny i stawali się z czasem Niwerneńczykami.

Spór, który toczył się między przodkami książąt de Nevers o posiadanie kraju zakończył się małżeństwem dwojga przeciwników, Marji d'Albret, prababki naszej Marji, i Karola de Clèves. Wskutek tego małżeństwa jeden z wielkich rodów nadreńskich osiedlił się w Niwernji jako władca i gorąco przywiązał się do nowego kraju. Cudzoziemcy ci jednak nigdy nie zapomnieli o tradycjach z nad pięknego Renu. Nad brzegami Loary, mniej może majestatycznej lecz piękniejszej niż Ren, krąży pochodząca z Nadrenji legenda, której ślady odnaleźć można w rzeźbach ściennych wielkiego zamku, odbudowanego w XV wieku przez pradziada Marji. Mistyczny łabędź z herbu rodowego de Clèves łączy się z orłem rodu Gonzagów, przybyłych do Niwernji w parę lat później. W płaskorzeźbach zdobiących mury zamku, widzimy także czarodziejską łódź, ciągnioną przez łabędzia i kierowaną przez rycerza Świętego Graala, temat legendy dobrze znanej wszystkim miłośnikom "Lohengrina". Wagner, który był bardziej dumny ze swej poezji niż z muzycznego genjuszu, zaczerpnął natchnienie do swego operowego poematu ze starożytnej historji nadreńskiego rodu książąt de Clèves, wierzących że pochodzą w prostej linji od rycerza bez grzechu i zmazy. Historja wagnerowska nie jest jednakże prawdziwą legendą rodu de Clèves. W istocie brzmi ona tak: "Razu pewnego w prowincji kolońskiej, w wielkim zamku na skalistych

wzgórzach wznoszących się nad Renem, zgromadzili się możni panowie, goście szlachetnych książąt de Clèves. Miał się tam odbyć wspaniały turniej. Zewsząd ściągali najdzielniejsi rycerze, aby próbować swej zręczności, siły i męstwa. Wszyscy odziani byli w błyszczące zbroje. Najdzielniejszy z nich, zwycięzca największej ilości spotkań, władający najlepiej mieczem i kopią miał otrzymać w nagrodę rękę pięknej, jasnowłosej córy pana de Clèves. Młoda księżniczka patrzyła z niepokojem na turniej szlachetnej młodzieży. Pod koniec było już prawie pewne, że w ostatniem spotkaniu, decydującem o jej losie, zmierzą się dwaj rycerze, z których żaden jej się nie podobał. Miało się właśnie rozpocząć to spotkanie, gdy nagle uwaga wszystkich zwróciła się ku rzece. Ku najwyższemu zdziwieniu ujrzano tam srebrzystą łódź, sunącą zwolna po falach Renu. Ciągnął ją biały łabędź, którym kierował piękny rycerz, przybrany w srebrną zbroję. Z ramion spadał mu płaszcz koloru nieba. Gdy przybił do brzegu i wyskoczył na ziemię, łódź z łabędziem zniknęła. Nieznany rycerz w promiennej zbroi wyszedł zwycięsko z turnieju i jemu też przyznano w nagrodę rękę pięknej księżniczki. Z małżeństwa ich narodziło się wiele dzieci. Po latach pewnego dnia, gdy miał zacząć się nowy turniej, rycerz zniknął tak nagle, jak kiedyś się zjawił. Ujrzał na rzece swego łabędzia i statek, zrozumiał rozkaz z nieba i uścisnąwszy czule małżonkę i dzieci, wsiadł do czarodziejskiej łodzi i zniknął na zawsze. Mówią że otrzymał rozkaz podróżowania po obcych krajach, ale nikt nie wie nic pewnego poza tem, że przybył z nieba, od okrągłego stołu Swiętego Graala."

W nagrodę za liczne zasługi położone przez Franciszka de Clèves, syna Marji d'Albret i Karola de Clèves, Franciszek I z okazji swego małżeństwa z Małgorzatą Burbońską, podniósł edyktem z dnia 18 lutego roku 1538, hrabstwo de Nevers do godności księstwa.

W roku 1557 Franciszek de Clèves usiłując zdobyć Saint-Quentin dla króla Francji, w chwili gdy wojska nieprzyjacielskie maszerowały na Paryż, zręcznym fortelem rozbudził zapał w żołnierzach pod Laon a potem pod Compiègne i w ten sposób przekazał księciu de Guise zwycięską i bitną armję.

Dziwnem zrządzeniem losu w bitwie pod Saint-Quentin został wzięty do niewoli książę, który miał kiedyś panować nad Nevers. Był nim Ludwik Gonzaga, dziad naszej bohaterki. Wszystkie wysiłki, aby odwrócić zainteresowanie Gonzagi od Francji, okazały się płonne, a odpowiedź jego przeszła do historji: "Jedzenie u króla francuskiego jest tak wspaniałe, że zaznaczyłem to sobie kreską na sercu." Słowa te kosztowały go 60 tysięcy dukatów, sumę na owe czasy ogromną, która była ceną jego wolności.

Po śmierci swego męża, Karola de Clèves, prowincją rządziła Marja d'Albret. Rządy jej należały do najszczęśliwszych a kronikarze tego czasu mówią, że ta doskonała królowa, "czuła i sprawiedliwa opiekunka poddanych, była jak jasne zwierciadło cnoty i dostojeństwa." Miała ona jednak także swoje ludzkie słabości. Przez wiele dni haftowała gobelin, długi na 23 metry, przeznaczony dla chóru katedralnego, i przedstawiła w nim historję francuskich świętych, Julitty i Cyra, dając (według wzoru Dantego) męczennikom twarze księży i proboszczów, których nie lubiła.

Jej syn, Franciszek de Clèves, zmarły w roku 1562, pozostawił trzy córki. Najpiękniejsza Henrietta była babką Marji.

Ici vous régniez, duchesses de Clèves,
Reines de beauté, Fleurs de votre temps,
Les siècles vont vite et la vie est brève:
Vous êtes pour nous figures de rêve.
Ou donc êtes-vous, ô belles de Clèves?
Ou sont les lilas des derniers printemps?

Mais dans la laideur de l'ère actuelle
Le nimbe d'amour que leur front porta
D'un éclat vivant toujours étincelle . . .
Marie, Catherine, et toi, la plus belle,

Toi que le poète a faite immortelle,
Duchesse "aux yeux verts" que Ronsard chanta.

Clair de lune sur le Palais Ducal.
"*Anthologie*" Mariusa Gérin.

ROZDZIAŁ II

Dziadek i babka
Ludwik Gonzaga i Henrietta de Clèves

Ludwik Gonzaga, dziadek Marji, był wybitnym człowiekiem, po którym wnuczka odziedziczyła wiele zalet. Starożytny ród książąt de Nevers, otoczony powszechną czcią posiadał nieprzeciętne cnoty, z których najwybitniejszą była lojalna wierność królowi Francji. Trudno wyrazić lepiej charakter Gonzagów niż to czyni dewiza ich rodu "Fides": "Wiara w Boga, wiara w króla, wiara w szlachetne posłannictwo." Mawiali oni zawsze: "Niech ta wiara, tak prosta i głęboka, wyrażająca wszystko i przyświecajaca nam zawsze, będzie lampą wotywną zawieszoną u wrót naszego starożytnego domu. Wierzmy zawsze w Boga i Pana naszego i w honor danego słowa; ufajmy sobie nawzajem i kochajmy się szczerze."

Nic dziwnego, że postępując wedle tych zasad, książęta de Nevers żyli w pokoju, a zasługi położone dla rozwoju sztuk i literatury opromieniły sławą ich imię. Księstwo przeszło z czasem od rodowych dziedziców do obcych, jak to było w wypadku Gonzagów, którzy przybyli z Mantui we Włoszech, ale książęta pozostali zawsze wierni królowi Francji.

Z jednej gałęzi tego rodu wyszedł święty Aloizy Gonzaga,

urodzony w roku 1568 w Castiglione, a zmarły w rozkwicie młodości w Rzymie w roku 1591. On to miał się stać później patronem młodzieży chrześcijańskiej. Przyczyny, które skłoniły go do przywdziania szat zakonnych, były dość szczególne. Powołanie religijne obudziło się w nim skutkiem dziwnej i wstrząsającej przygody. Księciu Alojzemu polecono, by odwiózł ciało zmarłej infantki Izabelli z Włoch do Hiszpanji i zaświadczył przysięgając na trumnę, że zmienione już zupełnie zwłoki są w istocie śmiertelnymi szczątkami infantki. Gdy książę ujrzał straszliwe zniszczenie śmierci na twarzy księżniczki, niegdyś słynącej z wielkiej urody, poczuł się do głębi wstrząśnięty grozą tego widoku. Zrozumiał wtedy nicestwo ludzkich dążeń, małość człowieka i zwodniczość piękna. Przysiągł poświęcić się Bogu.

Ludwik Gonzaga był trzecim synem Fryderyka, księcia Mantui, i Małgorzaty Paleolog, markizy de Montferrat. Przybył do Francji mając dziesięć lat a w rok później został naturalizowany. Był on bez wątpienia najbardziej pociągający spośród książąt de Nevers, gdyż obok wyrafinowanej kultury włoskiej, skupił w sobie najlepsze i najciekawsze zalety charakteru francuskiego. Z okazji jego małżeństwa z piękną Henriettą de Clèves dnia 4 marca 1563 roku, dzielne miasto Nevers przybrało odświętny wygląd, aby godnie przyjąć księcia i jego małżonkę. Zwyczajem włoskim na balkonach zawieszono kosztowne dywany a okna wszystkich domów ozdobiono girlandami kwiatów. Z wież katedralnych biły dzwony, dziewczęta sypały kwiaty na ulicach a cała ludność witała okrzykami wspaniały orszak wjeżdżający w bramy stolicy. Tuż koło zamku, ponad wizerunkami księcia i księżnej, w ramach z kwiatów i zieleni umieszczono obraz przedstawiający połączenie rzeki Mincio koło Mantui z rzeką Po. Powyżej widać było drugi obraz przedstawiający miasto Nevers i ujście rzeczki Nièvre do Loary.

Owe dni świąteczne pełne były powszechnej radości. Brała

w niej udział cała ludność niepomna tego, że kraj pustoszyły okrutne wojny religijne, które miały toczyć się jeszcze do roku 1598. Ludwik Gonzaga, zawsze wierny swemu władcy, jasno dał wyraz swym uczuciom, biorąc imieniem króla Francji w posiadanie miasteczko La Charité położone w pobliżu Nevers, które wyznawcy Kalwina wzbraniali się przyłączyć do korony. Z tego powodu protestanci zaczęli uważać księcia za swego zaciekłego wroga. W krótkim czasie potem, gdy pewnego razu przejeżdżał koło miasta, został napadnięty z ukrycia przez gromadę nieprzyjaciół. Podczas walki raniono go w kolano. Zawsze miał pamiętać o tem spotkaniu, chromał bowiem przez całe życie.

Jakkolwiek Ludwik Gonzaga był odważnym człowiekiem i dzielnym wojownikiem, przekładał sztukę i pokój nad okrucieństwa wojny. Dla tych swoich umiłowań znalazł opiekę i poparcie u Wielkiej Florentynki, jak współczesne studja historyczne nazywają Katarzynę Medycejską. Ona z kolei szukała u niego pomocy, gdy na Radzie Królewskiej ważyły się losy wytępienia protestantów pamiętnej nocy Swiętego Bartłomieja. Gonzaga stawił się na wezwanie, ale pomimo to zdołał ocalić życie Kondeusza i Henryka z Nawarry, przyszłego Henryka IV. Później w poczuciu sprawiedliwości, które zawsze przeważało w jego charakterze, ogłosił list ostro potępiający rzeź dokonaną tej straszliwej nocy.

Teraz zbliżamy się do czasów, gdy Polska nietylko wchodzi w dzieje księstwa de Nevers, ale przenika także do serca Francji.

Wysoka kultura i cywilizacja narodu francuskiego zawsze pociągała Polskę, poprzez wieki też Polska zwracała się do Francji po rady. W roku 1574 Ludwik Gonzaga towarzyszył młodemu i pięknemu księciu Andegaweńskiemu Henrykowi, gdy został powołany na tron polski. Był to okres gdy królestwo polskie sięgało szczytu swej potęgi a ziemie jego

rozciągały się od Bałtyku do Karpat i Morza Czarnego. Ale już wtedy wzrastające stale przywileje szlacheckie budziły w kraju niezadowolenie i zamęt. Polska stała się monarchją elekcyjna, miało niebawem wejść w życie nieszczęsne prawo "liberum veto". Zwracając się zawsze z miłością i uwielbieniem ku Francji, jej sztuce i kulturze, Polska wybrała jako swego pierwszego króla elekcyjnego Henryka, księcia Andegaweńskiego.

Przed wyjazdem do Polski Ludwik Gonzaga sprowadził swą piękną małżonkę Henriettę do pałacu de Nesle w Paryżu. Był to jeden z najwspanialszych pałaców w Europie, a wytwornością i przepychem dorównywał nawet siedzibie królewskiej. Król Henryk IV powiedział pewnego dnia do swego siostrzeńca, księcia de Nevers:

—Gdy skończysz budowę swego domu, zamieszkam z tobą.

W istocie jednak dom nigdy nie był skończony, a dziś przy małej uliczce de Nevers w Paryżu nie pozostało śladu z jego przepychu.

W tym cudownym pałacu i w dziwnem mieście Nevers rozegrało się tyle romantycznych i niezwykłych dramatów, że historja ich wypełniłaby całe tomy. Ale poczciwi mieszkańcy Niwernji żyli obok tych wydarzeń beztrosko i szczęśliwie. Jakże mogłoby być inaczej, gdy kraj ich był tak piękny i w takim rozkwicie. Spełnili swą powinność w czasie wojny, zaznawali szczęścia w pokoju. W atmosferze tamtejszej było coś co mówiło do obcych: "Żal nam was, biedni ludzie, którzy nie jesteście z Nevers."

W czasach grozy i zamętu władcy Francji zawsze pokładali ufność w książętach de Nevers. Ludwik Gonzaga, wytworny człowiek, dobry książę i odważny wódz, był jednocześnie myślicielem i artystą. Przez całe życie czyny jego były natchnione ukochaniem kraju i niezachwianą wiernością królowi. Dzięki jego szlachetnym upodobaniom miasto Nevers stało się jednym z pierwszych ośrodków kultury w

Europie. Posiadało ono drukarnie i słynęło z wytwórczości szkła i porcelany. Nie trzeba zapominać, że z księciem przybyło do Francji wielu jego włoskich rodaków. Byli śród nich nietylko poeci i uczeni, ale i wielu rzemieślników, których otaczał on również hojną opieką. Włosi przywieźli z sobą wynalazczość i umiłowanie piękna, a rzemieślnicy niwerneńscy przeszczepili je na grunt francuski. W słodkim widoku Loary, w delikatnych różowych barwach i purpurze zachodów francuskiego słońca są te same odcienie, które do dzisiaj spotykamy na porcelanie z Nevers. Nie mniejszem powodzeniem cieszyli się biegli w swem rzemiośle złotnicy a orzeł Gonzagów i łabędź książąt de Clèves znajdowały swe doskonałe odbicie na złotych i srebrnych przedmiotach. Wszystko to zapewniało miastu Nevers coraz większe bogactwa i coraz bardziej wzrastające znaczenie u królów francuskich. W roku 1595 król powierzył Ludwikowi Gonzadze dowództwo wojsk francuskich w wojnie przeciwko Hiszpanom.

Niezadługo po powrocie z tej wyprawy Ludwik Gonzaga umarł, śmiertelnie—jak mówią—zraniony słowami króla, któremu ocalił życie i który być może nie miał wcale zamiaru go obrazić. Niestety nie to jest ważne co się mówi, ale to co się rozumie i nie to co się pisze ale to co się czyta.

ROZDZIAŁ III

Ojciec i matka
Karol Gonzaga i Katarzyna Lotaryńska

Syn wielkiego Ludwika, nieobliczalny Karol Gonzaga, późniejszy ojciec Marji, urodził się w roku 1580. Sam on mógłby stać się przedmiotem powieści, tyle w życiu miał przygód. Gonzagowie byli mieszaniną wielu narodowości podobnie jak wszystkie wielkie rody królewskie; w wyniku dawało to często rozbieżne dążenia i dziwactwa charakteru. Nadreńska rodzina de Clèves, parantele hiszpańskie, Grecja i Włochy dały charakterowi Karola pewne przesadnie cechy, w których łączyły się wady i zalety wszystkich przodków.

Najwidoczniej raj nie jest ziemskiem przeznaczeniem, bo zaledwie Ludwik Gonzaga po wielu walkach i trudach zdołał dać swemu krajowi pokój i harmonję, gdy już książę Karol, ojciec naszej bohaterki, uwikłał się w przeróżne intrygi i najdziwniejsze przygody. Ludwik Gonzaga wyruszył za góry, aby poślubić Henriettę de Clèves, związki rodzinne książąt de Nevers rozciągały się za Ren a w posiadanie rodu wchodziły trzy księstwa: Clèves, Nevers i Rethel. W czasie Frondy wydawało się, że księstwo Nevers zawładnie całą Francją, ale Karolowi Gonzadze wszystko to nie dawało zadowolenia; jako godny dziedzic Greka Paleologa z Monferratu, pragnął nowych zaszczytów, a jednego ponad wszystko—korony Bizancjum.

Zostać cesarzem Wschodu i panem Konstantynopola, to byłoby naprawdę coś wspaniałego! Karol nie mógł myśleć o niczem innem. Zresztą sam papież wyznaczył jednego z hrabiów de Nevers, w ubiegłem stuleciu, na tę samą godność w tem samem cesarstwie. Z głową pełną takich myśli, Karol rozpoczął coś, co miało stać się przygodą bardzo kosztowną a w swoich przeróżnych perypetjach upodobniło się do złego snu. Miał on talent popełniania błędów, który nigdy nie pomaga w zdobywaniu imperjów. Niemniej w czasie oblężenia Cambrai dzięki wspaniałej brawurze i bohaterstwu okazał się godnym synem swego wielkiego ojca.

W roku 1595 Karol odziedziczył tytuły rodowe i w cztery lata później poślubił Katarzynę Lotaryńską, córkę księcia de Mayenne, kobietę o wytwornej inteligencji i wielkim rozumie. Niestety spokojne szczęście nie dawało mu radości; postanowił więc ruszyć w świat. W latach 1601-1602 podróżował po Anglji, Holandji, Niemczech, Czechach i Polsce. Z krajów tych wywiózł głęboką znajomość ich ludów i zwyczajów a swoje ukochane Nevers okrył nową chwała, gdy pod koniec podróży wziął udział w wojnie z Turkami, oddając przez to wielką usługę cesarzowi austrjackiemu. Dnia 21 kwietnia 1603 roku powrócił w triumfie do Nevers.

Ale niedługo zażywał spokoju. Zdawało się, że los mu się uśmiecha, gdy Henryk IV mianował go ambasadorem przy dworze papieża Leona XI (Medyceusza). Ucieszony tą nową możliwością podróżowania, wyruszył natychmiast do Włoch. A że zawsze miał manję wielkości, jego wspaniały wjazd do Rzymu był cudem ekstrawagancji i przepychu. Sześćdziesiąt koni świty miało srebrne podkowy a jego własny koń był podkuty złotem. Uprząż pokrywały tak bogate hafty i klejnoty, że największy monarcha świata mógł mu ich pozazdrościć. Jeźdźcy mieli na sobie cudowne stroje a złote ich miecze połyskiwały drogimi kamieniami w promiennem słońcu Wiecznego Miasta. Nawet Rzym, choć przywykły do

triumfalnych procesji władców zjeżdżających w odwiedziny, był olśniony książęcym splendorem. Karol czuł się w swoim żywiole, książę de Nevers był w samej rzeczy prawdziwym panem Rzymu . . . przez chwilę.

Vanitas vanitatum et omnia vanitas, mówią słowa najwspanialszego i najbardziej imponującego ceremonjału koronacji nowoobranego papieża. Następują po nich: "Sic transit gloria mundi". . .

Zaiste jakby w myśl tych słów zgasła świetność i sława Karola. Nadszedł nieszczęsny dla Francji rok 1610, kiedy zamordowano największego i chwałą okrytego króla Henryka IV. Na swoje czasy Henryk IV był królem o bardzo szerokich poglądach i należał do najbardziej postępowych monarchów. Wychowany przez wyjątkową matkę, Joannę d'Albert, wyprzedzał, jako polityk, swoją epokę marząc o Stanach Zjednoczonych Europy.

Ze śmiercią Henryka IV dały się odczuć początki anarchji. Młodego Ludwika XIII koronowano jako króla a na uroczystości wezwany został także nasz wspaniały Karol de Nevers. Król był za młody, żeby sprawować rządy, regentką Francji została więc jego matka, Marja Medycejska. Na nieszczęście kraju i poddanych królowę regentkę otoczyła niebawem gromada awanturników i dworaków, a ich wzajemne intrygi przeraziły całą Francję. W owej chwili, ku zdumieniu wszystkich i wbrew tradycyjnej u Gonzagów lojalności wobec króla, Karol zwrócił się przeciw dworowi i partji królewskiej. Zwołano Stany Generalne, gdzie oczywiście miało być reprezentowane rownież księstwo Nevers. Karol udał się na zgromadzenie, rozprawy jednak nie doprowadziły do niczego, wzrosło tylko powszechne wzburzenie. Żona Karola Gonzagi czyniła wszystko co było w jej mocy aby odwieść męża od buntu przeciw królowi. Mała Marja często bywała świadkiem ich sporów, gdy nie mogli pogodzić się co do niebezpiecznych i rewolucyjnych projektów. Brała

wtedy pierwsze lekcje polityki a ojciec kochał ją tak bardzo, że pozwalał jej przysłuchiwać się nawet najważniejszym dyskusjom.

Rosnące wzburzenie rozdrażniło z biegiem czasu regentkę do tego stopnia, że kazała aresztować Kondeusza. W obronie krewnego rodu Gonzagów wystąpił Karol i niewiele zdradzając taktu, wystosował do króla list prawie zuchwały. Gorzej jeszcze, jako wielkorządca Szampanji, zgromadził wojska i stanął na ich czele. Potężny, uparty i bezmiernie bogaty, Karol nie był wygodnym przeciwnikiem. Marja Madycejska postanowiła raczej szukać zgody z popędliwym księciem, niż wypowiedzieć mu otwartą walkę; wystosowała dość uprzejmy list do Karola i wysłała doń swego kapelana, i to jakiego jeszcze! Samego Richelieu! Gdy wszystkie te wysiłki, aby się porozumieć z księciem pozostały bez skutku i ostatnia próba zawiodła, królową ogarnął gniew. Jeśli książę koniecznie chce wojować—dobrze! Zobaczymy kto kogo zwycięży. Wojska królewskie zaatakowały Karola w Szampanji i wkroczyły do Niwernji, zajmując bez wielkiego oporu miasta: Clamecy, Douzy i Entrains. Przystąpiono do oblężenia Nevers. Księżna, lojalna wobec awanturniczego męża, trzymała się dzielnie i była zdecydowana za wszelką cenę opierać się oblegającym wojskom. Ku powszechnemu zdumieniu udawało się to wcale nieźle. Wojna skończyła się z powodu śmierci dowodzącego armją francuską Conciniego. Wojska królewskie wkroczyły do Nevers raczej jako przyjaciele niż wrogowie. Dnia 24 sierpnia 1617 Karol zawarł pokój z królem i królową. Był najwyższy czas, aby "Fides", "Wiara i wierność królowi", stała się znowu tradycyjną dewizą rodu!

Raz jeszcze zapanował pod rządami Karola dostatek i pomyślność, spokój jednak mu nie odpowiadał. Nie zadawalały go tytuły, których tyle zgromadził; książę Nevers i Rethel, książę Mantui, par Francji i wicekról Szampanji marzył ciągle o cesarstwie Konstantynopola i Wschodu. Aby

nasycić tę próżność i osiągnąć upragniony zaszczyt, chwycił krzyż i jak Święty Bernard, wielki uczony, i Święty Piotr Pustelnik, zaczął głosić ostatnią krucjatę. Czynił to tak zręcznie i z tak żarliwym zapałem, że zdobył dla swej fantastycznej idei poparcie wielu możnych, a śród nich Ojca Józefa, sławnego doradcy Richelieu. Sam Richelieu rownież nie sprzeciwiał się wielkiemu przedsięwzięciu. Zamek w Nevers odwiedzali codziennie znakomici duchowni, szlachta i kondotjerzy. Młodziutka Marja miała na wszystko otwarte oczy i uszy.

Dnia 1 listopada 1624 w katedrze w Nevers zjawił się Ojciec Józef i w płomiennej przemowie obwieścił potrzebę, a nawet obowiązek, niezwłocznej krucjaty do Ziemi Świętej. Ustanowiono nowy zakon rycerski Kawalerów Chrześcijańskich. Papież Urban VIII (Barberini) zatwierdził bullą wszystkie te zamierzenia. Zaczęto natychmiast przygotowania. Do wyprawy trzeba było wielu statków i ogromnych pieniędzy. Karol czerpał pełnemi garściami ze swego bogatego skarbca i ostatecznie wszystko przygotował do drogi. W tym czasie pełnym gorączkowego podniecenia Marja była zawsze u boku ojca i chwytała każde słowo padające z jego ust. Jakże to wszystko miało jej się przydać kiedyś w ciągu jej trudnego życia!

Wkońcu stanęła prawdziwa "armada", złożona z pięciu statków, i liczne wojska gotowe do wyruszenia. Ale niestety Nevers leżało bardzo daleko od Ziemi Świętej a los nie sprzyjał wyprawie: w roku 1626 pożar zniszczył port w Cette i wszystkie statki książęce spłonęły. Wypadek ten zubożył Karola ale zarazem nauczył go rozumu; zrezygnował on ostatecznie z marzeń o koronie cesarskiej.

Kłopoty chodzą zawsze w parze. W tym samym okresie Karol omal że nie stracił wskutek intryg księstwa Mantui. Jego kuzyn Vincenzo II, książę Mantui, umarł nie pozostawiając potomka, wobec czego księstwo, lenno cesarstwa,

dziedziczne tylko w linji męskiej, przypadło Karolowi. Hiszpanie narzucając własne obyczaje dziedziczenia, nie chcieli dopuścić, aby Karol objął w posiadanie księstwo bez inwestytury ze strony cesarza. Ferdynand odmówił jej Karolowi, obawiając się, że Medjolańczycy nie będą chcieli mieć wasala króla francuskiego tak blisko swej granicy. Powstały z tego nowe kłopoty i spory. Wydawało się jasne, że jeśli Gonzagowie nie obejmą księstwa Mantui, do czego mieli niewątpliwe prawo, nastąpi zbyt wielkie zbliżenie między Hiszpanją a Cesarstwem i dynastja austrjacka stanie się groźna dla Francji. Wtedy postanowił załatwić tę sprawę Richelieu i wypowiedział wojnę.

Cała historja czarodziejskiego kraju Nevers wydaje się prawdziwą bajką. Groziły mu stale niebezpieczeństwa, ale wszystko zawsze kończyło się dobrze. Karol Gonzaga oblężony i bliski klęski w wyludnionej przez zarazę Mantui, zawarł pokój w Cherasso, kładąc w ten sposób kres jednemu z licznych epizodów Wojny Trzydziestoletnej i otrzymując jednocześnie od cesarza inwestyturę księstwa dnia 22 czerwca 1631 roku. Na pomoc przybył Karolowi Ludwik XIII we własnej osobie, aby w ten sposób zachować Mantuę nietylko dla księcia de Nevers, nanowo wiernego wasala Francji, ale i dla korony.

Pośród tych wszystkich przeciwności Karol był zawsze oddanym małżonkiem i czułym ojcem, ale i w życiu rodzinnem los nie oszczędził mu bolesnych doświadczeń. Cierpienia i trudności ostatnich lat okazały się ponad siły jego pięknej żony; Katarzyna Lotaryńska zmarła w 1618 mając lat trzydzieści. Pozostawiła ona trzech synów i trzy córki.

Najstarszy syn umarł w kilka lat później na dżumę w Mantui, a niedługo po nim Karol stracił także dwuch młodszych. Ród Gonzagów reprezentowały już tylko trzy córki, które przyniosły imieniu Gonzagów więcej chwały niżby to mogli uczynić synowie. Njstarsza z nich, Marja jest naszą

bohaterką. Była nad wiek rozwinięta, młodość jej dojrzała wcześnie w zetknięciu z ludźmi nieprzeciętnej miary. Gorzko opłakiwała stratę matki i po jej śmierci stała się nieodstępną towarzyszką swego szalonego ojca. Znała wszystkie jego myśli. Gdy umarł, poczuła dokoła siebie dotkliwą pustkę. Jakiemż obdarzał ją zaufaniem, ile doświadczenia nabrała z jego rad! Marję fascynowała malownicza i wspaniała indywidualność ojca, nigdy już nie miała się otrząsnąć z ciosu, jaki zadała jej ta strata. W istocie jej prawdziwa młodość umarła z nim razem.

ROZDZIAŁ IV

Marja Gonzaga

Teraz gdy znamy poczęści życie dziada Marji, Ludwika, babki jej, Henrietty de Clèves, ojca, Karola, i matki, Katarzyny Lotaryńskiej, możemy łatwiej zrozumieć jej własną historję. Dzieje te pełne świetności, tragizmu i moralnej siły, okazywanej przez Marję w okresie największych trudności, stawiają naszą bohaterkę narówni z najznakomitszymi jej przodkami. Jako dziewięcioletnie dziecko, niedługo po śmierci matki, Marja zachorowała ciężko i przez wiele lat była wątłego zdrowia. Już w tych odległych czasach leczono się u wód i tym razem Niwernja znowu okazała się krajem cudownym. Zdrowie Marji polepszyło się znacznie dzięki kuracji w Pougues, małem miasteczku, leżącem w pobliżu Nevers, i do dziś sławnem ze swych źródeł o właściwościach leczniczych. Według podania do tej małej miejscowości przyjeżdżał ongi Juljusz Cezar i odzyskiwał zdrowie u dobroczynnych wód i w błogosławionym klimacie tego kraju.

Marja żyła od dzieciństwa jedną myślą: chciała zostać królową. Marzenie to nie opuszczało jej nigdy, jakby urzekła ją prorocza wróżba, wypowiedziana nad jej kołyską. Próbowała przeniknąć tajemnicę przyszłości i chociaż była gorliwą katoliczką, spełniającą z zapałem obowiązki religijne, studjowała astrologję i radziła się zawsze cyganów, gdy rozbijali swoje obozy pod Nevers. Często modliła się w

starożytnym kościele Świętego Stefana przed sławnym posągiem Najświętszej Panny z Gołębiem, opiekunki miłości i przewodniczki zakochanych.

Madonna z Nevers jest jednym z najpiękniejszych w Europie posągów z polichromowanego marmuru. Wydaje się, że wzrok jej przenika wszystko; uśmiech przypomina sławne pomniki chińskiej bogini szczęścia, Kwan Nin. Często ją nazywają opiekunką Dobrej Miłości i dziś jeszcze młodzież niwerneńska przychodzi modlić się u jej stóp o szczęście w miłości i małżeństwie. Z biegiem czasu posąg obwieszono tylu wotami ze złota i diamentów, że biskup musiał wydać polecenie, by przeniesiono je do skarbca.

Marja zawsze żywiła dla ojca uwielbienie. Zachwycała ją jego siła, czarował wdzięk osobisty, lubiła nawet pewną właściwą mu wyniosłość. Przez lata kiedy wojował w Mantui, z trudem godziła się na jego nieobecności. Po śmierci matki, gdy ojciec był daleko Marję wychowywała z największą dla niej czułością ciotka, księżna de Longueville. Kiedyś trzymała ona Marję do chrztu, potem była jej przewodniczką w świecie paryskim i towarzyszką na zamku w Nevers. Smierć matki i troska o ojca toczącego dalekie wojny nadały urodzie Marji wyraz powagi. Nauki pobierała u doskonałych nauczycieli, których sprowadziła ciotka. Mimo młodego wieku mówiła biegle wielu językami, między innymi także po łacinie. Gdy miała lat osiemnaście, zasłynęła jako piękność na dworze francuskim, gdzie roztaczała wówczas swą władzę Marja Medycejska.

Uroda i inteligencja tworzą rzadkie połączenie u kobiety, łatwo więc sobie wyobrazić, że o względy i rękę Marji ubiegało się wielu młodych ludzi. Ale księżniczka, w której żyłach płynęła krew Gonzagów i Clèves' ów, mierzyła wysoko i wiernie trzymała się tradycji rodu. W tym czasie o rękę Marji starał się pretendent królewski. Był nim książę Gaston Orleański, brat króla, zwany na dworze "Monsieur". Zako-

chał się on w księżniczce bez pamięci, ale matka jego, regentka Francji, mimo że była chrzestną matką Marji, niechętnie patrzyła na to zbliżenie. Miała ona inne ambicje co do swego syna. Względy polityczne, do których dołączyła się zazdrość, kazały jej zapomnieć o tem, co powinno było być jej obowiązkiem jako matki chrzestnej. Przeciwstawiając się tej miłości, rozniecіła tylko jej płomień. Często czyniła chłopcu gorzkie wymówki i wkońcu posunęła się nawet do tego, że poprosiła księcia de Nevers, aby nakazał Marji opuścić dwór i udać się do Włoch lub wrócić do Nevers. Im bardziej jednak opierała się małżeństwu, tem natarczywiej nalegał na nie Gaston. Historja tej miłości stała się tematem dworskich plotek, pisano o niej sztuki teatralne i opiewano ją w wierszach.

Wkońcu udało się królowej namówić Karola, aby odwołał Marję do Mantui. 11 marca 1629 roku w niedzielę Marja i jej dobra ciotka ruszyły w drogę. Jakież jednak było ich zdumienie, gdy koło Coulommiers przyłączyła się do nich eskorta wysłana przez królowę Regentkę. Było tego około stu żołnierzy i trzy wielkie dworskie powozy pod dowództwem Cahusaca. Eskorta powiodła damy, nie ku Mantui, lecz do zamku w Vincennes, gdzie trzymano więźniów stanu. Marja Medycejska zaznała rozkoszy zemsty, lecz na szczęście niedługo miała się nią cieszyć. Młody książę, uproszony przez Richelieu a także przez Karola Gonzagę, który poważnie zaczął się lękać o bezpieczeństwo córki, wystąpił z tak ostrym sprzeciwem wobec matki, że Regentka musiała zmienić postawę. 4 maja księżniczka de Nevers i jej ciotka, po dwu miesiącach spędzonych w więzieniu, odzyskały wolność.

Marja przeczuwała w całej sprawie podstęp kardynała Richelieu, który budził w niej szczególną nieufność i antypatję. 24 maja 1629 Richelieu napisał do kardynała La Valette list, w którym w sprawie małżeństwa nie powiedział ani tak ani nie:

"Mogę wyznać z całą szczerością i zgadzam się, aby wiedział o tem Paryż, Madryt i Konstantynopol, że jest dla mnie rzeczą obojętną, czy "Monsieur" ożeni się z księżniczką Marją czy z kim innym. Muszę jednak zaznaczyć, iż powodując się rozsądkiem nie powinien myśleć o małżeństwie, które mogłoby być niemiłe dla króla i królowej i przez nich nieuznane."

Przy sposobności godzi się poświęcić nieco uwagi także siostrom Marji i to tembardziej że, jak mówi przysłowie, "trzeba dwie lub trzy córki oddać do klasztoru, aby jedną wydać bogato zamąż." Jakby na potwierdzenie tego, Marję, najstarszą i najpiękniejszą wysłano na dwór królewski, młodszą Annę umieszczono w klasztorze w Faremoustiers, a najmłodsza z sióstr, cicha i uległa dziewczynka, przywdziała szaty zakonne w Avenay.

Historja każdej z trzech sióstr mogłaby stać się przedmiotem powieści. Anna Gonzaga (1616-1684) bardzo przypominała starszą siostrę. Jak Marja, obdarzona była silną wolą i nie zamierzała bynajmniej zostać zakonnicą, ani całe życie przemieszkać w klasztorze. Po sercowem przejściu z biskupem Reims, Henrykiem de Guise, który porzucił ją dla innej miłostki, poślubiła syna Edwarda Bawarskiego, palatyna Renu, wypędzonego z kraju przez cesarza niemieckiego. Edward miał nadzieję, że uda mu się położyć rękę na pieniądzach Gonzagów, Anna jednak nie posiadała grosza i, aby żyć, często musiała błagać Marję o pomoc.

W ciągu całego życia, pełnego przygód, uwikłana była w tysiączne, raczej niefortunne intrygi, zwłaszcza w czasie Frondy, i stanowiła dla Marji źródło nieustannego niepokoju. Spotkamy ją później, razem z córką. Niemniej Anna była osobistością niecodzienną. Na jej pogrzebie Bossuet wypowiedział jedną ze swych sławnych mów.

Trzecia siostra Benedykta, również bardzo piękna, została zakonnicą, mając lat osiem, i jak przystało na osobę jej po-

chodzenia otrzymała godność ksieni. Zmarła w dwudziestym roku życia.

Tymczasem sprawa Marji i księcia Orleańskiego przybierała poważne rozmiary. "Monsieur" był niestety słabego i zmiennego charakteru. Zawzięty sprzeciw królowej regentki szedł w parze z tylu pokusami jego próżności i politycznych ambicyj, podsycanych przez zazdrosną matkę, że wkońcu znużył się walką i po dwóch latach oporu zgodził się na potajemne małżeństwo z córką księcia Lotaryńskiego.

Marja nietylko kochała Gastona ale w małżeństwie z nim widziała spełnienie swoich marzeń: mogła zostać królową Francji. (Ludwik XIII był słabego zdrowia i nie miał następcy.) Teraz jej serce, duma, ambicje i marzenia poniosły klęskę. Rozczarowała się do głębi i czuła się nieszczęśliwa. Ale wierna swej krwi i pomna na dewizę rodową: "Wiara i odwaga", starała się nie poddawać losowi. Szczególnie potrzebowała tej wiary i odwagi, gdy w roku 1637 zmarł jej ojciec. Jedynym męskim spadkobiercą księstwa Nevers i Rethel był ośmioletni chłopiec, najstarszy syn jej brata Karola. Marja zgadzała się chętnie odstąpić bratankowi księstwo Mantui i Monferratu, ale nie miała zamiaru dopuścić, aby wydarto jej księstwo Nevers, do którego rościła sobie prawo jako najstarsza z rodu Gonzagów. Postanowiła stanowczo i nieodwołalnie zachować dla siebie drogie jej sercu księstwo. Wyrosła w tym pięknym kraju i gorąco go kochała. Pod wpływem jej dziada i ojca Nevers stało się ośrodkiem sztuki, literatury i wiedzy. Piękne i zamożne miasto było w miniaturze stolicą jakby małego królestwa, które przewyższało w tym okresie wszystkie inne prowincje Francji. Drukarnie tamtejsze drukowały cenne księgi, artystyczne warsztaty ceramiczne i szklarskie znane były w całej Europie. Marja zamierzała stać się monarchinią tego małego królestwa kultury i otoczyć się ludźmi najbardziej uczonymi i najmędrszymi pośród współczesnych.

Dnia 29 maja odbyła triumfalny wjazd do Nevers. Czuła się nieszczęśliwa i smutna, ale wkraczała do swego miasta, jako Marja Gonzaga, dziedziczka księstwa de Nevers. Zamierzała utrzymać dawny przepych i wytworność dworu. Świadoma była swych obowiązków wobec księstwa, o które tak uparcie zabiegała i obowiązki te udało jej się spełnić, była bowiem odważna i pełna wiary ("Fides").

Starała się zapomnieć o przeszłości i pozostać wierną samej sobie. Co dnia modliła się przed posągiem cudownej Madonny z Gołębiem. Była piękniejsza niż kiedykolwiek i promieniała odblaskiem swego powodzenia. Teraz, jakgdyby w nagrodę za wszystkie cierpienia, miała spotkać ją wielka miłość i wielkie szczęście.

Zakochał się w niej markiz Henryk d'Effiat de Cinq Mars. Pociągała go piękność i inteligencja Marji, a może trochę także jej świetna pozycja i ogromne bogactwa. Wkrótce też oficjalnie oświadczył się o jej rękę. Jego pełne uwielbienia uczucie pochlebiało księżniczce. Cinq-Mars uchodził bowiem za jednego z najdorodniejszych młodzieńców na dworze Francji, a nawet w Europie. Co więcej, był ulubieńcem młodego króla.

Ale wielkie powodzenie bywa często niebezpieczne nawet dla najsilniejszych charakterów. Cinq-Mars, jakkolwiek obdarzony bystrym umysłem, nie spostrzegł się nawet, jak zachwiała się jego równowaga. W parze z miłością szła jego ambicja i markiz zaczął marzyć o zajęciu miejsca Richelieu. Aby to stało się możliwe, rwał się do czegoś, co przyniosłoby mu rozgłos i znaczenie polityczne. Coraz częściej odwiedzał możnych Hiszpanów, przebywających w Paryżu, a nadewszystko tych, którzy przy ambasadzie hiszpańskiej reprezentowali swój kraj na dworze króla Francji. Intrygi nie miały końca, wszystko się udawało; Cinq-Mars chciał zdobyć w ten sposób wpływ u dworu, co dodałoby mu powagi i znaczenia, a przez to zbliżyło jeszcze bardziej do księżniczki de Nevers. Już

nazywano go Wielkim. Marja upojona miłością, przestała marzyć o koronie i nie żądała od losu nic poza szczęściem w małżeństwie. Niepokoiły ją jednak intrygi i często mówiła do narzeczonego:

—Miej się na baczności! Czy nie zdajesz sobie sprawy, że ściany mają uszy a dwór pełen jest zazdrosnych oczu. Twoje sprawy hiszpańskie nabierają rozgłosu i znane są powszechnie.

Księżniczka miała słuszność, ale któż obawia się burzy, gdy świeci słońce?

Duszą i sercem spisku, który Cinq-Mars knuł razem z księciem de Bouillon, był Gaston, książę Orleański, brat króla. "Monsieur" dawniej był bardzo zakochany w Marji i nieraz żałował swej słabości wobec nacisku matki powodowanej dziwaczną zazdrością. Przystępując do nieszczęsnego sprzysiężenia, być może chciał za swój własny błąd zemścić się na kobiecie, którą kochał i sam kiedyś brutalnie zranił. Zemsta przybiera różne formy i często winowajca znajduje przewrotną rozkosz w krzywdzeniu ofiary swej zbrodni. Gaston, pragnął szkodzić człowiekowi, którego uważał za przyczynę swego zerwania z Marją — co było zresztą jego własnym wymysłem. Gdyby w istocie Cinq-Marsowi udało się zastąpić kardynała Richelieu u boku króla i królowej, pozycja Gastona wzmocniłaby się znacznie; przeciwnie, gdyby zdecydował się zdradzić Cinq-Marsa, zadałby mściwy cios kobiecie, której straty nie przestał żałować, nie mogąc przytem znieść myśli, że miałaby poślubić kogoś innego. Co dnia zmieniał postanowienie, z każdym dniem malała jego odporność nerwowa. Wreszcie w zgodzie ze swym słabym charakterem, zdecydował się na potajemną zdradę. Udawał, że współdziała z Cinq-Marsem i jest pełen entuzjazmu dla wszystkich szczegółów spisku. Planom spiskowców przyszła w pomoc choroba Richelieu i nieobecność króla. W czasie oblężenia Narbonne Cinq-Marsowi udało się niemal przeko-

nać króla o korzyściach, jakie przyniosłoby mu usunięcie wielkiego ministra. Ale Richelieu wyzdrowiał.

Cinq-Mars zlekceważył wszystkie ostrzeżenia Marji i puścił mimo uszu czułe słowa, któremi go błagała aby działał ostrożnie. Teraz, niestety, było już zapóźno! Ambicja i zuchwałość poniosły go zbyt daleko. Zwiedziony pochlebstwami hiszpańskiemi stracił zupełnie głowę i w roku 1641 podpisał tajny układ z Hiszpanją. Ajenci kardynała byli ludźmi pewnymi, a nadewszystko było ich bardzo wielu. Spisek został wykryty i Cinq-Mars zdemaskowany. Richelieu zdołał nawet wydostać kopję nieszczęsnego układu i miał w ręku niezbite dowody. Była to zdrada i koniec Cinq-Marsa. Z rozkazu kardynała został ścięty w Lyonie w roku 1642. U schyłku tego roku dnia 4 grudnia umarł jego wielki przeciwnik kardynał Richelieu.

Smierć Cinq-Marsa była dla Marji prawdziwym ciosem w serce, ciosem zadanym jej młodości i nadziejom szczęścia. Listy jej znalezione przy narzeczonym pełne są wzruszających wyznań i głębokiej czułości. Jest w nich niewiele zdań o polityce, a i te są tylko ostrzeżeniami dyktowanemi przez czułą troskę o ukochaną istotę.

Biedna Marja Gonzaga! Fatalnem zrządzeniem losu w tej samej komnacie pałacu de Nesle w Paryżu, w której babka jej opłakiwała śmierć kochanka, hrabiego de Coconas, ściętego w roku 1574, Marja gorzko płakała teraz nad losem Cinq-Marsa. Nie mogła dłużej brać udziału w życiu dworskiem, boleść jej była zbyt wielka i zbyt straszliwa. Pozatem, istniał jeszcze inny powód, że pragnęła samotności i jak najszybszego powrotu do Nevers. Kiedyindziej uległaby może naleganiom młodego rycerza, który zakochał się w niej po uszy. Ale starania i względy Ludwika Franciszka Potier, markiza de Gesvres, obrażały ją teraz i nudziły bezmiernie. Miała tylko jedno pragnienie: być samą, pozostawioną przez wszystkich w spokoju. Słuchać zaklęć miłosnych innego

mężczyzny, gdy cała jej istota cierpiała z powodu okrutnego rozstania i straszliwej śmierci kochanka, wydawało jej się ohydne. Nie, nie, natychmiast wyjedzie do Nevers. Tam przynajmniej może paść na kolana i modlić się przed Najświętszą Panną Dobrej Miłości, Madonną z Gołębiem. Tam znajdzie ukojenie w ogrodach kwitnących dokoła zamku. Tam będzie blisko ukochanej Loary i jeszcze bliżej malutkiej Nièvre'y. Ich zespolenie będzie dla niej także pociechą. Pragnęła gorąco wrócić do Nevers.

Markiz de Gesvres, który zupełnie stracił zmysły na widok boleści Marji, jeszcze piękniejszej w cierpieniu, odebrał sobie życie z rozpaczy; przebił się mieczem w Thionville. Marja nie kochała młodego człowieka, ale miała dobre serce i ta nowa śmierć nie pomogła jej wcale do odzyskania spokoju.

Bo powrocie do Nevers zajęła się początkowo opieką nad biednymi. Kazała też zrobić wiele zmian wewnątrz pałacu. Po miesiącu jednak postanowiła z przyczyn jej tylko wiadomych usunąć się na dłuższy przeciąg czasu w ciszę klasztoru w Nevers. Myślała, że tam ukryje swoją nieszczęsną tajemnicę. Została matką chrzestną dziecka, które jej guwernantka wydała na świat w klasztorze. Ostatecznie czyż nie zrobiła wszystkiego, aby młodemu i ambitnemu oficerowi gwardji królewskiej nadano tytuł markiza? Doprawdy, Najjaśniejszy Pan okazał się bardzo uprzejmy i łaskawy. Oczywiście, ślub oficera z guwernantką odbył się nieco pośpiesznie, a także wypadł mniej uroczyście niżby tego pragnęła; ale było wiele względów, aby całej sprawie nadać jak najmniej rozgłosu. A dziecko? O, dziecko miało zawsze pozostać przy niej. Była jego chrzestną matką i kochała je gorąco. Dziewczynka miała piękne oczy, bardzo przypominające Cinq-Marsa. Ta noc, ta noc, gdy razem patrzyli z okna zamku na Loarę oświetloną tajemniczo pełnią księżyca, kiedy cienie były jakgdyby nasycone światłem, ta noc gdy miłość jego była tak wielka, tak obezwładniająca, a jej szczęście tak bezmierne! Nie wyrzu-

cała sobie, że uległa jego słowom, pełnym pożądania i miłości. Ostatecznie, dzień ślubu był już wyznaczony, król i wyniosła królowa-matka zgodzili się na zaręczyny i obiecali wziąć udział w uroczystości, obmyślonej w szczegółach i wyznaczonej na następny miesiąc. Wszystko zdawało się tak pewne, spokojne i słodkie. Doprawdy nie można powiedzieć, że okazała się zbyt nierozważna, gdy pamiętnej nocy usłuchała miłosnych błagań narzeczonego. Richelieu! Na wspomnienie tego imienia dreszcz nienawiści przebiegał jej ciało. Czyż nie on uwięził ją w młodości tylko dlatego, że chciał spełnić pragnienie zazdrosnej Regen!ki? Czy nie udawał, że popiera jej małżeństwo z Cinq-Marsem, aby złamać jej życie pełne radosnych nadziei. Jakie to straszne! Czy prawda wyjdzie kiedykolwiek na jaw? Nie, to niemożliwe. Święte siostry były jej oddane a doktór ją uwielbiał. Budziła w nim podziw nietylko jako dziedziczka wielkiego imienia, potomkini rodu, któremu wiernie służył, ale także jako kobieta wykazująca siłę ducha w nieszczęściu i w czasie tych miesięcy, pełnych wątpliwości i niepokoju o wszystko co miało nastąpić. Mała córka chrzestna stanie się jej największą pociechą. Wiara podtrzyma ją na duchu, a wielkie bogactwa osłonią przed światem.

Najświętsza Panna, opiekunka Dobrej Miłości obroni ją przed złośliwością dworu, zbyt skorego do szerzenia plotek.

Babka jej Henrietta stała się przed laty przedmiotem wielkiego skandalu, który szybko stłumiono, choć przecież nie była ona bez winy. Marja kochała narzeczonego, lecz los był wobec niej okrutny i niesprawiedliwy. Ale nie, codziennie prosić będzie Madonnę Dobrej Miłości w pięknym, nastrojowym kościele Świętego Stefana, aby ją wzięła w opiekę i dała jej wiarę i siły do wytrwania. Pewnego dnia podczas modlitwy usłyszała głos swej duszy: "Będziesz wiele cierpiała, ale że miłość twoja była prawdziwa i szczera, że nie kłamałaś ani przed sobą, ani przed Bogiem i Matką Bożą,

Madonna z Gołębiem nie odmówi ci błogosławieństwa. Bóg wszechmogący roztoczy nad tobą opiekę, zwyciężysz złość ludzką." Marja pochyliła głowę i uczyniła znak krzyża. Zaufała temu głosowi.

W chwili gdy opuszczała kościół, jedna z dam dworu zawołała:

—Spójrz, Miłościwa Pani, Madonna patrzy na ciebie!

Marja odwróciła głowę i w istocie zdawało jej się, że wzrok Madonny, płonący łagodnem światłem, błogosławi ją z oddali. Oczy Marji napełniły się łzami. Najświętsza Panna dała jej swoje błogosławieństwo. Marja z otuchą spojrzała w przyszłość.

ROZDZIAŁ V

Wielka uroczystość

Ukończywszy odnowienie zamku w Nevers i przebudowę jego wnętrza, Marja śmiało podjęła nowe życie. Wkładała w nie całą energję i wszystkie umiłowania swej wrażliwej i bogatej natury. Podobnie jak jej przodkowie, zgromadziła wokół siebie utalentowanych i ciekawych ludzi, otaczała opieką i popierała młodych artystów, muzyków i poetów. Teraz miała przynajmniej spokój. Szczególnie zajęła się Adamem Billaut, zwanym "poetą-stolarzem". Trzymała do chrztu jedno z jego dzieci. (Bronzowe popiersie tego poety zdobi jeszcze dzisiaj ogrody zamkowe.) W swem ulubionem Nevers zarządzała rozległemi dobrami. Usiłowała ukoić cierpiące serce, oddając się pracy nad ludem. Szerzyła zasłużoną sławę miejscowości Pougues, której lecznicze wody stały się teraz powszechnie znane. Wspomagała Jakóba Carpentier de Marigny i wielu innych pisarzy, oni zaś z kolei nie skąpili wdzięcznych i wyszukanych słów opiewających jej szlachetność, urodę i rozum.

Richelieu, z którego rozkazu stracono Cinq-Marsa, wybrał się do Roussillon, przyczem część podróży miał odbyć statkiem po Loarze. Wielki kardynał był poważnie chory. Wyczerpały go długie walki o władzę polityczną. Jego żywy i przebiegły umysł trudził się długo nad poszerzeniem granic i wewnętrznem wzmocnieniem Francji. Jeden z największych

mężów stanu wszystkich czasów umiał patrzeć daleko w przyszłość i rozumiał wielkie znaczenie Polski, jako ośrodka regulującego politykę europejską. Bo w istocie Polska była kluczem Europy, jak powiedział Aleksander Symski. Kardynał wciągnął już w orbitę wpływów francuskich Włochy, Niderlandy, a co najważniejsze Niemcy. Dnia 6 kwietnia 1639 zawarł z nimi traktat wojskowy pod Cherasso, mimo zwycięstwa wojsk cesarskich pod Guastalą. Traktatem zawartym w roku 1630 z królem Gustawem Adolfem utrwalił również wpływy francuskie w Szwecji. On to w istocie położył podwaliny pod wielką potęgę, jaką miała się stać Francja za Ludwika XIV.

Richelieu zdawał sobie sprawę, że w walce z domem austrjackim o przewagę polityczną w Europie, należało pozyskać Polskę. Nie zaniedbał niczego, aby utrwalić wpływ francuski w państwie, które przez swą kulturę chrześcijańską dominowało nad wszystkimi krajami na wschodzie Europy. Udało mu się to w dużej mierze i teraz, gdy tyle miał jeszcze planów przed sobą, z goryczą myślał, że niszczy go choroba i opuszczają siły. Nie brakło mu jednak nigdy odwagi i stanowczości. Czuły na piękno przyrody, zdecydował, że podróż po ciężkich i niewygodnych drogach nie służy jego zdrowiu. Postanowił pojechać statkiem po Loarze i zatrzymać się w Nevers. Księżniczka napewno nie omieszka powitać kardynała, mimo że on był sprawcą tylu i tak okrutnych jej cierpień.

Wielka barka przystrojona w purpurę przybiła powoli do małej przystani przed zamkiem. Trudno było nie zauważyć statku, ale równie trudno było Marji zaprosić pod swój dach kardynała, mordercę jej miłości i szczęścia. Postanowiła przyjąć go w recepcyjnych salonach uroczyście lecz krótko. Uroda Marji wywarła na kardynale głębokie wrażenie, choć był niemile zdziwiony żałobą, którą nosiła na znak swej boleści. Im dłużej patrzył w piękne, ogromne zielone oczy

księżniczki, im bardziej zdawał sobie sprawę z uroczystego i chłodnego tonu przyjęcia, tem bardziej utrwalał się w przekonaniu, że Marja była właśnie osobą, której potrzebował, aby Francji zapewnić wpływ w Polsce. Rozmowa dotyczyła spraw czysto politycznych. Była ceremonjalna, zimna, i nie bez goryczy ze strony Marji, acz nienagannie poprawna. Richelieu nie pominął sposobności aby wyjaśnić księżniczce, jakie znaczenie dla Francji miała Polska. Napomknął zręcznie, że należałoby zapewnić sobie wpływy śród najwyższych sfer na dworze polskim. Gdy barka odbijała od brzegów niwerneńskich, kardynał wiedział, że wprawdzie jego wizyta była okrucieństwem, ale odniosła pożądany skutek.

Portret Marji z tego okresu ukazuje nam ją w wielkiej szacie żałobnej, której widok tak zdziwił kardynała. Jej delikatną głowę osłania wielki czarny kaptur, u stanika zwieszają się czarne drewniane korale z małą trupią główką. Różnie tłumaczono tę ponurą ozdobę, prawdziwa jej tajemnica kryła się w sercu Marji i w grobie Cinq-Marsa.

Największe wzruszenia są te, które nigdy nie wyrażają się w słowach. Widzimy teraz Marję z uśmiechem na ustach, opanowaną, wzmocnioną przez wiarę i zdecydowaną poświęcić życie dla dobra kraju i chwały rodu. Trzeba silnego ognia, aby z żelaza powstała stal hartowna. Charakter silnych ludzi wytwarza się przez cierpienie. Tak też stało się z Marją: zaczęła odczuwać coraz silniejszą tęsknotę za stolicą i niebawem wróciła do swego wspaniałego pałacu w Paryżu, aby raz jeszcze wziąć udział w życiu dworskiem.

Uroda, inteligencja i wielkie bogactwa gromadziły dokoła niej najznakomitszych pisarzy, dyplomatów, muzyków i polityków. Richelieu już nie żył, a Mazarin nie był jej wrogiem. Wkrótce salony pałacu książąt de Nevers stały się groźną konkurencją nawet dla pałacu Rambouillet. Zaniepokoiło to Mazarina, gdyż bywał tam niejeden z jego domniemanych

nieprzyjaciół, między innymi książę d'Enghien, syn wiekiego Kondeusza.

Wszystko to jednak nie dawało Marji zadowolenia. Nie zdobyła tego, co zdobyć pragnęła, nie wyszła też dotychczas zamąż. Na szczęście była jeszcze piękna, choć rok 1644 wydzwonił jej już trzydzieści trzy lata. Wypadało pomyśleć o zapewnieniu przyszłoćci.

Należy tu wspomnieć, że Marja Medycejska, która przez tyle lat słuchała rad swego ulubieńca, kardynała Richelieu, raz jeszcze bolesną pokutą okupiła swą niepohamowaną zazdrość. Jej ostatnia próba obalenia zręcznego kardynała skończyła się sromotnem niepowodzeniem. Richelieu stał się już zbyt potężny dla niej. Spisek Oszukanych dnia 11 listopada 1630, ustalił niezbicie dwie rzeczy: całkowitą utratę władzy przez królowę-matkę i niezaprzeczoną potęgę Richelieu. Marja Medycejska umarła w Kolonji w 1642 i tego samego roku w grudniu umarł Richelieu. Anna Austrjaczka, nazwana tak przez Francuzów, mimo że była córką króla hiszpań- Filipa III (Habsburga), bez zastrzeżeń poddała się wpływowi Mazarina, podobnie jak przedtem Marja Medycejska ulegała wpływom kardynała Richelieu. Młody król Ludwik XIV, nawet po dojściu do pełnoletności, długo pozostał pod nadzorem Mazarina, który rozumiejąc mądrość Richelieu, podjął jego politykę dążącą do powiększenia obszarów Francji i wzmożenia jej potęgi. Mazarin starał się wzmocnić wpływy francuskie w Europie przez dobrze pomyślane i zręcznie przeprowadzone sojusze. Wolał ten sposób działania niż używanie siły, która pozatem dawała tylko krótkotrwałą władzę. Podjąwszy dzieło Richelieu, pragnął zdobyte wpływy francuskie nietylko utrzymać ale jeszcze umocnić. Nie zapomniał też o dążeniu kardynała, aby szczególnie silnym związkiem połączyć Francję z Polską.

Polska posiadała już wówczas szlachetną i wysoko rozwiniętą kulturę, a władając ogromnymi obszarami była istotnie

kluczem Europy Wschodniej. Mazarin pragnął gorąco, aby Francja wyparła wpływy austrjackie z kraju, który słynął z wielu uczonych, wielkich mężów stanu, wspaniałych żołnierzy i pierwszorzędnych artystów. Los wspierał zamiary Mazarina po równi z ambicjami Marji Gonzaga.

24 marca 1644 umarła Cecylja Renata Austrjacka, żona Władysława IV, króla Polski. Władysław był drugim potomkiem szwedzkiej dynastji Wazów, który zasiadał na tronie polskim. Ojciec jego królował od 1587 do 1632. Władysław został wdowcem z nieletnim synkiem wątłego zdrowia, który nie miał żyć długo. Polska już przedtem wybrała króla Francuza, Henryka Andegaweńskiego, i Władysław znowu zwrócił się do Francji, spodziewając się, że w tym bogatym i potężnym kraju znajdzie królowę. Nadzieje go nie zawiodły.

Skarbiec państwa był pusty, król potrzebował złota. Chociaż pragnął mieć piękną żonę, bardziej trzeba mu było bogatej. Stare przysłowie mówi: "Nie żeń się dla pieniędzy, ale kochaj się zawsze tam, gdzie ich jest pod dostatkiem."

Sytuacja była właśnie taka, jakiej oczekiwał i pragnął Mazarin. Na dworze francuskim nie brakło pięknych i bogatych księżniczek, które chętnie zgodziłyby się nawet na wygnanie, gdyby je mogły znosić w koronie królewskiej. Była tam panna de Montpensier, niestety, zbyt młoda; panna de Longueville, zbyt zajęta gdzieindziej; panna d'Esperon zbyt trudna i wyniosła i panna de Guise, nazbyt wielka sawantka. Nagle Mazarin przypomniał sobie, że siedem lat temu podczas wizyty we Francji, Władysław zobaczył portret pewnej księżniczki francuskiej, którym niezmiernie się zachwycił. Tak, napewno — Mazarin miał dobrą pamięć: był to portret Marji Gonzaga, księżniczki niwerneńskiej. Co za szczęście! Mazarin czuł się podwójnie zadowolony ze swego odkrycia. Najpierw dlatego, że nie podobał mu się wzrastający w kołach politycznych wpływ Marji. Powtóre, niechętnie

patrzył na jej salon, skąd dochodziły go odgłosy niezawsze dlań życzliwe. Tak, zadowoli to próżność i ambicje pięknej i bogatej księżniczki, a jednocześnie oddali ją od Francji, gdzie mogłaby stać się niebezpieczna. Wyrachowanie jego okazało się trafne. Mazarin zręcznie badał grunt: księżniczka skłaniała się ku jego planom. Zgoda oznaczała wprawdzie wygnanie w dalekiem królestwie i odmiennym od Francji klimacie, z drugiej jednak strony, Marja wstępując na tron obcy miała otrzymać wspaniały posag. Obok upodobania do przygód księżniczka mogła nasycić wrodzoną jej potrzebę władzy i działania. Marja nie wahała się długo przed powzięciem decyzji. Tak, każe całej Europie podziwiać swą mądrość i talent polityczny. Gdy zostanie królową Polski, nawet Francji da odczuć swą wolę. Królewska oferta została przyjęta.

Odtąd marzyła po nocy o przyszłej świetności i długo nie mogła usnąć. Częściej niż kiedykolwiek wspominała wielkość i bogactwo ojca. Czuła się podobna do niego w swych upodobaniach do splendoru i wystawności.

Do Polski wyjechał niezwłocznie hrabia de Brégy, minister francuski w Warszawie, wioząc z sobą wspaniały portret oddający wiernie piękność Marji. Minister oczywiście nie omieszkał powiedzieć wszystkiego o jej urodzie, niezwykłym umyśle, błyszczącym dowcipie, osobistym uroku i świetnem pochodzeniu. Nie pominął też drobnego faktu, że jej królewskie wiano miało wynosić 700 tysięcy funtów w złocie. Władysław wysłał hrabiego Denhoffa, wojewodę pomorskiego, aby w jego imieniu oświadczył się oficjalnie o rękę księżniczki de Nevers.

Jak to często bywa, wiele komentarzy wywołało podówczas drobne zdarzenie, tylko przypadkowo związane w tymi historycznymi wypadkami. Tego dnia gdy w Warszawie ogłoszono decyzję królewską, w okno paryskiego pałacu książąt de Nevers uderzył przelatujący orzeł. W rzeczy samej

orzeł Gonzagów połączył się na herbowej tarczy Polski z tradycyjnym orłem tego kraju. Spełniały się przepowiednie starej wróżki: Marja miała zostać królową.

We wrześniu, miesiącu najważniejszych wydarzeń w życiu Marji i jednym z najpiękniejszych miesięcy we Francji, przed całym dworem zebranym na zamku w Fontainebleau podpisano kontrakt ślubny. Dokładny opis tej sceny dała w swych pamiętnikach pani de Motteville. Gdy oznajmiono przybycie posłów polskich, Marja znajdowała się wraz z królową-regentką, Anną Austrjaczką, w apartamentach królewskich. Nie chciała być obecna w czasie tej pierwszej rozmowy i wstała, aby opuścić komnatę. Ale w chwili, gdy miała już otworzyć drzwi, zatrzymała się ulegając kobiecej ciekawości. Ostatecznie, miała przecież prawo przyjrzeć się polskim wielmożom, swoim przyszłym poddanym. Zostanie tu, postanowiła, niewidzialna dla nikogo! Skryje się za szerokie suknie pani de Motteville i nikt jej nie zauważy. Trudno jednak bawić się w chowanego komuś, kto jest uderzającej urody, a Marji trudno było udawać zwykłą damę dworu. Wysłannicy królewscy wkroczyli do sali, według protokułu wymieniono grzeczności. Nagle jeden z polskich posłów, który niegdyś widział Marję na dworze francuskim, poznał ją i pokazał towarzyszom. Wszyscy posłowie zwrócili oczy ku niwerneńskiej księżniczce. Pani de Motteville pisze: "Widocznie nie zasłaniałam jej dość dobrze; choć Marja starała się ukryć, jeden z polskich panów złożył jej głęboki ukłon, a potem wszyscy poszli za jego przykładem." Następnego dnia Marja udzieliła wysłannikom króla polskiego audjencji, w czasie której tytułowali ją "Najjaśniejsza Pani" i przestrzegali zwyczajów stosowanych na audjencjach królewskich.

Kontrakt podpisano 26 września w obecności króla, królowej-regentki, wszystkich książąt i znakomitości francuskiego dworu. Nawet kardynał Mazarin przybył, aby wziąć

udział w świetnej uroczystości. Wieczorem na cześć posłów polskich wydano wielki bankiet.

Jakże piękna była ostatnia jesień, którą Marja miała spędzić w czarownych lasach Fontainebleau. Korzystając w pełni z pięknej pogody, brała udział w polowaniach i przechadzkach, chodziła na urocze przedstawienia dworskiego teatru i na wielkie wspaniałe bale. Opuszczała te cudowne strony ze szczerym smutkiem.

Tymczasem rozpoczęto imponujące przygotowania do uroczystości ślubnych wyznaczonych na 5 listopada 1641 roku.

Księżniczkę Marję Gonzaga miał poślubić w imieniu króla polskiego i na jego rozkaz hrabia Denhoff. Niebawem odbył on uroczysty wjazd do Paryża jako znakomity poseł. Poprzedzali go wszyscy członkowie polskiego pocztu. Ogromny orszak pozwolił ludowi Paryża oglądać wspaniałość i przepych polskiego dworu, którego daleka ojczyzna mało była tu znana. Pani de Motteville patrzyła na ten wjazd z okien królewskiego pałacu i dała nam bardzo żywy jego opis:

"Orszak rozciągał się od Bastylji do pałacu królewskiego. Tłum patrzył z ciekawością i podziwem na długi sznur paradnych pojazdów i szeregi strojnych rycerzy. Jechali oni na koniach w bogatej uprzęży, o grzywach i ogonach malowanych na kolor czerwony, żółty i jaskrawo zielony. Cugle były wysadzane wielkimi, cennymi klejnotami. Konie miały złote i srebrne podkowy. Podbite futrem stroje jeźdźców, błyszczały od haftów, złota, drogich kamieni i wydawały się aż przesadne w swym wschodnim przepychu." U boku każdego Polaka jechał rycerz francuski, wysłany na powitanie. Choć Francuzi nosili stroje bardzo wytworne, zdobne we wstęgi i pióra, na mundurach ich mniej połyskiwało klejnotów a konie ich nie wyglądały tak dziwnie jak polskie. Szlachta polska miała płaszcze ze złotogłowia, obramowane futrem i ozdobione klejnotami. Herby haftowane były złotem i wysad-

zane drogocennymi kamieniami. Na głowach mieli sobolowe kołpaki z ogromnemi czaplemi piórami, przypiętemi spinkami z wielkich djamentów, szafirów i rubinów. Publiczność francuska, chociaż nawykła do wspaniałości i szyku, była tym przepychem naprawdę olśniona.

Na końcu orszaku w powozie z masywnego srebra, nie bez trudu sprowadzonym z Polski przez Niemcy, jechał wojewoda pomorski i biskup warmiński. Gdy ostatni kawalerowie przybyli do pałacu królewskiego, słońce już zaszło; wysłannicy króla Władysława wjechali do swej siedziby w pałacu Vendôme przy świetle pochodni, chińskich lampjonów i kolorowych ogni.

W przeciwieństwie do tego pysznego wjazdu, uroczystość ślubna była bardzo prosta i odbyła się w zamkniętem gronie.

Marja wyjechała ze swego pałacu wczesnym rankiem i udała się do pałacu królewskiego, aby w apartamentach pani de Brégy, żony posła francuskiego w Polsce, przywdziać ślubną szatę. Apartamenty leżały najbliżej kaplicy, w której miała się odbyć uroczystość zaślubin. Nieopisany przepych Polaków, doniosłość polityczna samego wydarzenia i ziszczenie najgorętszych pragnień, wszystko to wywarło na Marji głębokie wrażenie, choć przecież przywykła do wystawności i elegancji dworu francuskiego. Była blada ze wzruszenia a bladość jeszcze podnosiła jej urodę. Przyniesiono ślubną suknię uszytą ze srebrnej lamy i bogato haftowaną drogimi kamieniami. Marja była zadowolona, jeśli nie zupełnie szczęśliwa. Chciała jeszcze wdziać wielki płaszcz królowej Polski, zrobiony z najcięższego brokatu o wzorze z płomieni i ozdobiony złotymi haftami i klejnotami, ale królowa-matka sprzeciwiła się temu, uważając że był zbyt okazały jak na przewidzianą uroczystość. Marję to rozdrażniło, bo czyż koniec końców nie miała sama zostać za chwilę królową? Czemuż ta wyniosła Austrjaczka jeszcze teraz jej się sprzeciwia? Ale gdy spostrzegła wielką szkatułę pełną koronnych klejno-

tów polskich, zapomniała o płaszczu. Wszystkie te wspaniałe kolje z pereł i drogich kamieni należały teraz do niej. Nie pytała już o radę królowę Francji i nałożyła klejnoty. Gdy mijała małe przejście pod arkadami łączącemi apartament z kaplicą, gdzie oczekiwali jej posłowie polscy, tłum stłoczony za kratami bramy, powitał ją oklaskami. Zaiste była to piękna królowa! Także i Anna Austrjaczka nie dała się zaćmić w królewskim splendorze: do swego żałobnego płaszcza przypięła sznury pereł, które na czarnem tle wydawały się jeszcze piękniejsze. Obie królowe wkroczyły razem do kaplicy zamkowej, królowa Marja prowadzona przez królowę Francji. Doprawdy osiągnęła cel swego życia w pełni blasku! Zajęła miejsce pośrodku kaplicy, mając po jednej stronie młodocianego króla Ludwika XIV, a po drugiej krolowę-matkę.

W głębi stał "Monsieur," który niegdyś tak gorąco starał się o rękę księżniczki de Nevers. Był wujem króla i obecnie nosił tytuł księcia Orleańskiego. I ona pragnęła kiedyś zostać jego żoną! Dziś stał w cieniu, o ile niższy od niej stanowiskiem i godnością! Oto los człowieka, który sądził, że za namową matki zawrze świetniejsze małżeństwo i który przez swą zazdrość stał się prawdopodobnie przyczyną śmierci Cinq-Marsa. Czuła się teraz pomszczona, acz nie opuszczały jej dawne wspomnienia.

Przed tym królewskim zespołem odprawił mszę biskup warmiński i Marja stała się małżonką króla polskiego Władysława IV, poślubioną przez królewskiego zastępcę. Po mszy na głowę jej włożono koronę ze wspaniałych pereł i djamentów. Wieczorem po wielkim bankiecie w pałacu królewskim król i królowa-matka odprowadzili młodą oblubienicę do pałacu książąt de Nevers, dokąd przybyły też wszystkie ważne osobistości dworskie, aby złożyć życzenia nowej królowej Polski. Gdy przyszła kolej na księdza de Rivière, przydzielonego do księcia Orleańskiego, odezwał się on napół niezręcznie, z trochę cynicznym uśmiechem:



‹więtsza Panna z gołębiem, Patronka dobrej miłości
› XI wieku w kościele Św. Stefana w Nevers)

—Czy nie lepiej byłoby, Miłościwa Pani, zostać we Francji-jako "Madame" (żona "Monsieur") ?

Marja prawie zadowolona z nadarzającej się sposobności odrzekła bez namysłu:

—"Monsieur" nie jest królem, a mnie było przeznaczone zostać królową. —Dworak dostał nauczkę.

Marja była zadowolona i gotowała się teraz do rozpoczęcia nowego życia, z którego trudności dobrze zdawała sobie sprawę. Postanowiła stać się istotną częścią swej przybranej ojczyzny, nauczyć się jej języka, poznać zainteresowania i zrozumieć ducha! Nie miała zamiaru żałować trudów ani bogactw, aby dotrzymać swych uroczystych ślubów. Datę wyjazdu wyznaczono na 27 listopada. Od ślubu aż do tej chwili królowa Polski zajmowała się tylko przygotowaniami do podróży, odbierając jednocześnie wizyty swych licznych przyjaciół i wielbicieli. Cała elita paryska i najwybitniejsze osobistości dworskie przesunęły się przez pałac de Nesle, składając nowej królowej życzenia szczęśliwej drogi. Przez wiele dni u wejścia do pałacu gromadziły się tłumy by nasycić ciekawe oczy widokiem tylu znakomitości.

Król przysłał Marji swoich adjutantów, a także poetę Voiture'a, który pomagał jej we wszystkich przyjęciach, jako mistrz ceremonji. Złożył jej też osobiście życzenia, podobnie jak królowa-matka, królowa Anglji, księżna Condé, a nawet kardynał Mazarin. Poza królewskimi gośćmi odwiedzili Marję wszyscy członkowie Najwyższego Trybunału, strojni w czerwone togi, a przewodniczący pan Molle wygłosił uroczyste przemówienie. Zjawili się także członkowie Izby Skarbowej, Trybunału Podatkowego, Rady Miejskiej, gubernator Paryża, rektor uniwersytetu ze wszystkimi profesorami, księża wszystkich kościołów paryskich i członkowie wszystkich stowarzyszeń religijnych. Przez usta arcybiskupa Auch duchowieństwo francuskie wyraziło królowej swój hołd i

przywiązanie. Kardynał Mazarin przewidując jak bardzo męczące będą te audjencje pozwolił się w tym wypadku wyręczyć miłemu biskupowi Orange, który stojąc za krzesłem królowej, dawał jej odpowiednie wskazówki i pomagał dziękować hołdownikom.

Zdrowie Marji nie było zbyt mocne a przyjęcia wyczerpały jej siły. Przed wyruszeniem w daleką podróż musiała jeszcze odpocząć. Po oddaniu najważniejszych wizyt schroniła się do klasztoru Port-Royal, aby odetchnąć jego ciszą i stamtąd kierować ostatniemi przygotowaniami do podróży. Sama ustaliła szczegóły dotyczące jej świty, zamawiała suknie, bieliznę, stroje. Pozowała do portretu malowanego przez Claude Mellan'a i rytego w miedzi przez Nanteuil'a. Rozdawała podarunki, wszędzie siała dobro, myślała wiele o przyszłości. Ze smutkiem i żalem zdawała sobie sprawę, że zbliżał się dzień, kiedy miała opuścić swą ukochana Francję.

Wreszcie wszystko było gotowe. 27 listopada 1645 roku Marja wyruszyła w drogę wiodącą do nowego życia. Padał ulewny deszcz a zacny ksiądz de Marolles widział w tej dżdżystej pogodzie zły znak dla losów podróży. Możnaby powiedzieć, że niebo łączyło swe łzy ze łzami ludu i przyjaciół królowej, która opuszczała ukochane strony, nie mogąc także powstrzymać się od płaczu. Orszak królowej wyglądał okazale mimo niepogody. Była trzecia popołudniu, gdy Marja opuściła swój pałac w Paryżu. Ludwik XIV, królowa-matka, książę d'Enghien i wielu dygnitarzy dworu wyjechało w karocach, aby po raz ostatni pożegnać królowę. Marja czuła się w głębi serca nieszczęśliwa z powodu wyjazdu. Nawet jej imię musiało ulec zmianie. Król Władysław zażądał, aby do imienia Marji dodano imię Ludwiki, gdyż w Polsce Marją nazywano tylko Matkę Boską. Tak więc w dniu ślubu przez prokurację nazwano ją Ludwiką Marją. Ale ostatecznie dla królestwa warto zmienić imię. Dla Francuzów jednak zawsze została Marją.

Młody król odkomenderował pułk swej przybocznej gwardji, aby towarzyszył królowej do Saint-Denis. Pułk wyglądał wspaniale, składał się z Francuzów, Szkotów i stu żołnierzy Gwardji Szwajcarskiej pod dowództwem sławnego kapitana d'Artagnan. Towarzyszył jej również pułk lekkiej jazdy. Odprowadzali ją także przedstawiciele Rady Miejskiej, wszystkich korporacyj, gubernator Paryża, książę de Montbazon i Ile-de-France, w otoczeniu świty, i wielu innych. Lud paryski nie mógł nic stracić z takiego widowiska i mimo deszczu z zapałem oklaskiwał przejeżdżający orszak. Wszystkie ulice były przepełnione tłumem, na trotuarach stali ludzie zbici w dwunastu rzędach. Ciekawi tłoczyli się we wszystkich drzwiach sklepowych i we wszystkich oknach, a gdy wreszcie nie starczyło miejsca przy drzwiach i oknach, wzniesiono specjalne drewniane rusztowania. Wiele osób płakało. Zewsząd wołano: "Niech żyje królowa", "Dobrej i szczęśliwej drogi". Gdyby jeszcze dodano: "Szczęśliwego przybycia na miejsce"!

U wrót miasta zagrzmiały armaty, niby ostatnie pożegnanie. Król i królowa towarzyszyli Marji poza przedmieścia aż do wjazdu do wsi La Chapelle. Orszak francuski pożegnał tutaj królowę Polski. Z oczami pełnemi łez wymieniano ostatnie grzeczności. Marja szlochała mimo woli i panowania nad sobą. Król rozkazał opisać tę historyczną podróż z najściślejszą dokładnością pisarzowi Le Laboureur, który o chwili pożegnalnej powiedział: "Ciemność wieczoru ukryła przed odprowadzającymi łzy i żałość królowej."

Z okna swej wielkiej karocy Marja oglądała poraz ostatni piękny krajobraz francuski. Czerwone światło ostatnich promieni słońca pozwalało jej widzieć niknące daleko dachy Paryża. Patrzyła długo i ze smutkiem, potem zamknęła oczy. Oto opuszczała Paryż, tak drogi jej sercu! Paryż, który był miastem jej nadziei i cierpień, ale także tylu radości i trium-

fów! Paryż, gdzie jej pałac dał jej tyle zadowolenia i szczęścia! "Kiedy zobaczę go znowu?", pytała się w duszy. Odpowiedź brzmiała cicho: "Bądź silna, nie ujrzysz go już nigdy!" Czy dosłyszała ten głos? Może...

ROZDZIAL VI

Dyplomacja — Przygotowania — Intrygi

Mazarin był człowiekiem obdarzonym niezwykłą inteligencją. Nie próbował dodać sobie powagi, obalając politykę swego poprzednika, ale przeciwnie uznał wielkość planów Richelieu i starał się dokończyć jego dzieło. Mazarin miał wiele do czynienia z kobietami. Anna, królowa-regentka, córka Filipa III Hiszpańskiego, nie odznaczała się łatwym charakterem, on jednak umiał nią pokierować. Teraz zwrócił się ku Marji Gonzaga, którą uważał, może słusznie, za najzręczniejszą kobietę we Francji, zdolną do tego,by podjąć i doprowadzić do skutku trudne zabiegi, mające zapewnić Francji przewagę wpływów w Polsce. Słusznie wyczuwał w Marji wielkie zalety jej dziada Ludwika i ojca Karola. Kobiety zawsze dziedziczą cechy charakteru po męskich antenatach, córki podobne są do ojców, synowie do matek.

Widzieliśmy, jak udało się Mazarinowi doprowadzić do małżeństwa króla polskiego z księżniczką francuską. Już to było sukcesem dyplomatycznym. Ale wbrew powiedzeniu, że zacząć dobrze jakąś rzecz znaczy tyle co ją w połowie ukończyć, Mazarin pragnął jeszcze zapewnić swemu sukcesowi trwałość.

Przyszłość Marji nie zapowiadała się zbyt świetnie. Przez małżeństwo zdobywała koronę, lecz król, który ją nosił, i z którym miała dzielić godność monarszą, był czło-

wiekiem starym, wyżytym i bez zapału. Przyjął ofertę Mazarina, ponieważ tron potrzebował królowej a on sam wielkich pieniędzy. Nigdy nie widział Marji, która zresztą nie była w jego typie. Mazarin zastanawiał się nie bez słuszności, czy ta młoda księżniczka zdoła wywrzeć dość silny wpływ na Władysława, człowieka o twardym charakterze, i zwalczyć tkwiącą w nim głęboko sympatję dla Austrji. W młodości Władysław był bardzo przywiązany do swej austrjackiej małżonki. Czy uda się teraz Marji przeprowadzić zawiłe plany, których realizacja tak bardzo leżała Mazarinowi na sercu? Może za wiele żądał kardynał od młodej niedoświadczonej kobiety, zwłaszcza w obcym kraju, którego naród uchodził za samowolny i przywiązany do tradycji. Było to bardzo trudne zadanie, możnaby nawet powiedzieć — niemożliwe do wykonania. Marja bez wątpienia potrzebowała do tego pomocy osoby, któraby mogła zdobyć jej zaufanie i jednocześnie szacunek. W innej epoce Mazarin byłby z pewnością nazwany feministą: raz jeszcze zwrócił się do kobiety. W Warszawie przebywał wprawdzie poseł francuski, hrabia de Brégy, ale czyż wobec nieznośnych przepisów protokułu i przestrzeganych na dworze formalności, mógł zawsze i we właściwy sposób służyć Marji pomocą? Nie wolno mu było przecież nawet zbliżać się do królowej, ani radzić jej cokolwiek, jeśli tego potrzebowała. Mazarin się wahał. Nie, do wypełnienia trudnego posłannictwa trzeba było znaleźć na dworze francuskim damę, ktora łączyłaby wdzięk z powagą i doświadczeniem. Aby wskazania jej miały należne znaczenie, musiała to być osoba nieledwie królewskiego pochodzenia. Tylko w ten sposób można było uniknąć zazdrości dworu polskiego. Należało nadać jej godność "para Francji" i przez to odznaczyć ją do tego stopnia, żeby mogła mówić z Marją prawie jak z równą sobie. Aby przeprowadzić swe plany, Mazarin, teraz większy zwolennik kobiet niż kiedykolwiek, stworzył nieznany w historji

dyplomacji francuskiej precedens. Dotychczas przywilej reprezentowania króla Francji w charakterze ministra pełnomocnego i ambasadora miewali tylko mężczyźni. Teraz wbrew zwyczajowi kardynał podpisał dekret zupełnie wyjątkowy: ster polityki francuskiej w Polsce powierzył kobiecie. Na dwór polski przeznaczył nie ambasadora, ale kobietę, która otrzymała oficjalną godność ambasadorki; dama ta miała wywiązać się ze swej roli znakomicie. Wybór jego padł na hrabinę de Guébriant, wdowę po sławnym marszałku, który pośród wielu innych zwycięstw, mógł sobie przypisać także zdobycie Alzacji dla Francji.

W czasie dwu lat wdowieństwa marszałkowa obchodziła żałobę z godnością i dyskretnie, wiodąc cichy żywot zdala od świata. Była to osoba najlepszego rodu i wielkich ambicji. Miała nadzieję wrócić na dwór i zająć na nim wysokie i wpływowe stanowisko, godne wdowy po wielkim marszałku. Miała czterdzieści lat i nie należała do piękności; mocne i regularne rysy jej twarzy wyrażały jednak siłę i charakter. Samowładcza z natury, ale zarazem bardzo inteligentna, obdarzona była umysłem dość giętkim, aby kierować najdelikatniejszemi sprawami. Z namiętnością zajmowała się polityką a wielki historyk Albert Vandal tak o niej pisze: "Ta niezmiernie utalentowana osoba umiała z równem powodzeniem pokonywać przeszkody jak zręcznie ich unikać." Hrabina de Guébriant z radością powitała nieoczekiwany uśmiech losu i przyjęła powierzoną jej misję; czuła się bardzo zaszczycona postanowieniem królewskiem, wyrażonem w odręcznem piśmie:

"DO MOJEJ KUZYNKI, MARSZAŁKOWEJ DE GUEBRIANT.

Droga Kuzynko,

Małżeństwo mojej kuzynki, księżniczki Marji Ludwiki Gonzaga z Mantui, z królem polskim czyni rzeczą pożądną

i konieczną, aby królowę odprowadziła do jej królestwa osoba wysokiego urodzenia, wielkich cnót i roztropności.

Wiedząc, że posiadasz wszystkie te zalety i idąc za radą królowej-regentki, mej matki, powierzam ci troskę i odpowiedzialność za księżniczkę. Chciałbym abyś przedstawiła moją kuzynkę królewskiemu jej małżonkowi i zapewniła ją, że żywię dla niej równie serdeczną miłość jakgdyby była moją siostrą. Szczególny szacunek, jaki mam dla twych zalet, pozwala mi ufać, że okażesz się godna tej doniosłej misji. W przekonaniu, że przyjmiesz ją chętnie i z przyjemnością, powierzam ci kierownictwo tej wyprawy do Polski, a sam, droga kuzynko, będę prosił Boga, aby miał cię w swojej opiece.

Pisane w Fontainebleau, 16 października 1645.

LUDWIK"

Hrabinie de Guébriant nie zabrakło żadnej z łask królewskich, także królowa-matka nie poskąpiła jej niczego. Do uznania marszałkowej złożono wielką sumę pieniędzy a na jej towarzysza wyznaczono biskupa Orange. Król nadał jej tytuł "ambasadorki nadzwyczajnej i nadzorczyni bezpieczeństwa królowej Polski". Miała prawo ubiegać się w każdej okoliczności o pierwsze miejsce po głowach koronowanych. Funkcje swoje mogła jednak objąć dopiero po opuszczeniu granic królestwa; potem wszystko było pozostawione jej decyzji.

W zapiskach, które miały jej służyć jako wskazówki, do dzisiaj przechowanych w Archiwum Ministerstwa Spraw Zagranicznych w Paryżu, powiedziano, że pobyt jej w Polsce będzie przedłużony na czas konieczny do wprowadzenia na tron królowej, do polepszenia interesów francuskich oraz do zdobycia i umocnienia wpływu młodej królowej Ludwiki Marji Gonzaga na męża." Misja hrabiny de Guébriant nie

należała do łatwych. Hrabina zdawała sobie sprawę, że będzie potrzebowała całego swego rozumu i zręczności, aby zadowolić zarazem Mazarina i króla, a na dworze polskim stać się osobą ważną i niezastąpioną.

Jedźmy teraz z naszą bohaterką przez Europę do jej zaśnieżonego królestwa. Ta podróż na daleką Północ trwała trzy długie miesiące śród surowej i mroźnej zimy, kiedy dnie stawały się coraz krótsze.

Nie wszystko złoto, co się świeci: nad królewskim orszakiem ukazały się niebawem czarne chmury pędzone przez ludzką zawiść.

Marja nie znała strachu. Do każdego miasta wjeżdżała triumfalnie, wszędzie na złotych tacach wręczano jej klucze. Brała udział w wielkich przyjęciach, na cześć jej biły salwy armatnie. Zwracała wolność więźniom. Przejeżdżała przez kraje ogarnięte wojną. Poczet jej mijał szerokie przestrzenie pokryte lodem i śniegiem, gdzie z zapadnięciem nocy wilki wyły za przejeżdżającymi pojazdami. Była zmuszona sypiać w zimnie i niewygodzie małych przygodnych zajazdów. W drodze otrzymała niespodziewaną i najbardziej niepokojącą wiadomość. Ale Marja Ludwika była silna na duchu i pełna energji, postanowiła za wszelką cenę dojechać do Warszawy i ostatecznie tam dotarła, choć nawet nie podejrzewała ile trudności tam ją czekało. Zaczęła odczuwać bardzo wyraźnie, że za swoją chwałę drogo będzie musiała zapłacić.

Opuściwszy Saint-Denis pani marszałkowa de Guébriant w towarzystwie biskupa Orange i licznej świty, połączyła się w Péronne z orszakiem królowej, aby wspólnie rozpocząć wielką podróż. Pojazd marszałkowej zajął miejsce na przodzie przed powozem Marji Ludwiki. Za niemi jechał biskup Orange, dalej powozy przyjaciół i dam dworu królowej. Była to zgrana i dzielna kompanja, bo Marja zabrała ze sobą większość swych dworzan i przyjaciół. Mimo smutnego

wyjazdu nie brakło śród nich humoru i wesołości. Młode damy dworu liczyły nato, że wyjdą w Polsce dobrze i bogato zamąż. Były one wciąż jeszcze pod wrażeniem urodziwych wysłanników królewskich, pamiętały orszak posłów polskich, ubranych w kosztowne stroje, gdy na malowanych koniach otaczali wspaniałą karocę wjeżdżającą do Paryża.

Marja czuła dokoła siebie tę samą atmosferę francuskiej serdeczności, której tak bardzo potrzebowała. Wesołe i ożywione panny zachwycały się bogatymi podarkami, któremi królowa hojnie je obdarzyła. Jechały wystrojone w nowe i piękne suknie i cieszyły się z góry wszystkiem, co podróż ta miała im przynieść. Musiał to być z pewnością ujmujący obraz, gdy wyglądały z okien wielkich pojazdów, otulone w futrzane płaszcze i kaptury, które podnosiły ich urodę, zarumienione od listopadowego chłodu. Nikt wtedy nie zdawał sobie sprawy, co czeka uczestników wyprawy w niedalekiej przyszłości.

Młodziutka i uśmiechnięta pani de Choisy odprowadziła królowę, swą ukochaną przyjaciółkę, aż do granicy francuskiej, ale żadne namowy nie mogły jej skłonić, aby jechała dalej. Nie, nie, za nic w świecie! Zatrzymywały ją obowiązki wobec męża, którego bardzo kochała, a także (choć tego nie mówiła) postanowienie, aby nigdy nie opuszczać Francji. Pani de Langeron i pani des Essarts postanowiły jednakże jechać aż do Warszawy. Specjalny pojazd przeznaczono dla młodej i wdzięcznej bratanicy marszałkowej, panny de Guébriant, która zawarłszy potem świetne małżeństwo w Polsce, miała odegrać ważną rolę w przyszłości. W orszaku jechało jeszcze wiele innych ekwipaży, nie mówiąc już o wozach ciężarowych, naładowanych po brzegi i wiozących niezliczone kufry, skrzynie, worki i paczki—wszystko co mogło się przydać w podróży tak świetnego i licznego towarzystwa.

Marja napróżno próbowała namówić poetę Voiture'a, aby

jej towarzyszył. Był to sławny pisarz, który jak to widzieliśmy nie dawno wprowadzał posłów polskich do jej pałacu w Paryżu. Chciał z nią jechać Adam Billaut, poeta jej ojczystego Nevers, ale Marja wolała zabrać z sobą Saint-Amanda. Szczęśliwy los sprawił, że miała przy sobie swego spowiednika, czcigodnego ojca Fleury, kapelana dworu i zręcznego dyplomatę. Cieszyła się też bardzo, że wyjechał z nią doktór Augustyn Courrade z Wydziału Lekarskiego w Montpellier, który czuwał nad jej zdrowiem i leczył ją w Nevers. Jej osobisty sekretarz, pan Desnoyers, i Jean Le Laboureur, mieli sobie powierzone spisanie wszystkich szczegółów tej wielkiej i jedynej w swoim rodzaju podróży.

Ale—a było to wielkie "ale", na które szczególną powinniśmy zwrócić uwagę—w orszaku Marji jechała także owinięta w bogate futra, otoczona troskliwą opieką guwernantki i kilku pokojówek śliczna czteroletnia dziewczynka. Dziecko miało gęste bronzowe loki okalające uroczą twarzyczkę. Wielkie bronzowe oczy wycięte w migdał, rozglądały się dokoła wesoło i ciekawie. Czteroletnia dama dworu, co to miało znaczyć? Kim była ta dziewczynka? Pojazd jej jechał tuż obok karocy królowej, małej damie nie szczędzono starań i opieki . . . Wiele na ten temat mówiono, wiele pisano, nie pomijając najmniejszego szczegółu. Ludzie szeptali sobie na ucho: teraz jest rok 1645, a przecież Cinq-Mars'a scięto w 1641 . . .

Oto mała notatka kronikarza owych czasów: "Trudno zaprzeczyć, że o Marji Gonzaga kursowało wiele nieprzyjemnych plotek, więcej jeszcze na ten temat pisano. Daty i wypadki dawały dużo do myślenia." Jest faktem, że Marja uwielbiała swą chrzestną córkę i starała się w Paryżu, w Nevers i w Polsce mieć ją zawsze przy sobie.

Nieskończona karawana opuściła Péronne dopiero siódmego grudnia. Wyjechała stamtąd pod osłoną oddziału artylerji pana d'Hoquincourt, gubernatora miasta, który na

czele gwardji liczącej tysiąc pięćset jeźdźców i podzielonej na siedem szwadronów, odprowadził królowę aż do Metz-en-Couture. Marja Gonzaga opuściła królestwo Francji, pożegnana uroczyście i z okazałością należną księżniczce francuskiej na tronie polskim.

Poczciwi mieszkańcy Péronne, przejęci wszystkiem co widzieli, stali jeszcze przed domami omawiając przejazd imponującej kawalkady, gdy nagle ujrzeli samotnego jeźdźca, osłoniętego płaszczem i pokrytego błotem. Wyglądał on wyczerpany podróżą, ale niemniej przygotowywał się gorączkowo do dalszej drogi. Wypił wielką szklanicę grzanego czerwonego wina i zapytał wyniośle, czy widziano przejeżdżający poczet królowej Marji. Mieszczanie odpowiedzieli dobrodusznie, że orszak tylko co wyjechał z miasta. Rycerz odetchnął z ulgą a wokół jego ust przewinął się jadowity uśmiech.

—Czy Wasza Miłość chce przyłączyć się do pocztu królowej?—zapytał ktoś śmielszy z tłumu.

—Możliwe, z czasem,—odpowiedział wymijająco nieznany rycerz, ściągnął cugle konia i puścił się w pościg za królewskim orszakiem.

Gdyby poczciwcy z Peronne mogli udać się śladem tajemniczego jeźdźca, spostrzegliby, że w chwili gdy prawie doganiał poczet, skręcił nagle na boczną drogę, wspiął ostrogami konia i pognał naprzód jak szaleniec, aby wyprzedzić orszak królowej i skierować się na północ.

Co to wszystko miało znaczyć? Z pewnością nic dobrego. Lisy przebiegają polnemi ścieżkami, węże pełzną krętym przesmykiem, zdrada jednak dąży prosto do celu.

Orszak królewski minął Brabancję i z zapadnięciem nocy dojechał do granicy holenderskiej. Zbliżało się Boże Narodzenie, ale w owej epoce lud holenderski zamykał się w swoich reformowanych kościołach i nie robił żadnych przygotowań świątecznych, aby uczcić narodziny Króla Królów.

Po wielu trudach towarzystwo znalazło pomieszczenie w jakiemś maleńkiem miasteczku.

W ten sposob dzień po dniu toczyła się podróż przez szerokie, coraz chłodniejsze równiny północne. Marję podejmowano nieraz ucztami i zabawami, kiedyindziej znów królowa strudzona drogą lub zatrzymana przez niepogodę, musiała chronić się pod dach wiejskiej oberży. Podróż ta była jakby symboliczną próbą jej fizycznej i moralnej wytrzymałości. Potrzebowała tych doświadczeń aby wzmocnić się na siłach i uodpornić wobec wszystkich możliwych trudności, nad któremi chciała zatriumfować. Czy jednak uda się jej to istotnie?—pytała się nieraz w skrytości ducha. Czy los pozwoli jej na to zwycięstwo? Modliła się wtedy do pięknej niwerneńskiej Madonny z Gołębiem i łzy napływały jej do oczu.

Wzywała patronkę Dobrej Miłości, której wzrok przenikał, zdawało się, wprost w duszę, gdy modliła się przed jej posągiem w kościele Świętego Stefana. Prosiła Świętą Pannę, której dziś jeszcze szczęśliwi kochankowie składają dziękczynne dary i którą zawiedzeni w miłości proszą o pociechę i przywrócenie szczęścia. Błagała Matkę Boską Niwerneńską, która żadnemu sercu nie odmówiła pokrzepienia, jeśli zwracało się do niej z wiarą i oddaniem! Nikt napewno nie modlił się z większą nadzieją niż teraz nasza królowa. Marja wzdychała do Nevers, nigdy nie przestawała myśleć o swej ziemi i łączyła z tem wspomnienia bardziej tajemne i nazawsze wyryte w jej sercu. Odmawiała swoje pacierze już prawie bezwiednie i wtedy tem większe ogarniało ją uniesienie. Dlaczego ludzie stawali się tak okrutni, gdy powierzano im władzę? Dlaczego Richelieu był tak zaciekłym jej wrogiem? Mogła być tak szczęśliwa w małżeństwie z tym, którego kochała, gdyby nie ów straszny rok 1641. Mogła żyć w pełni blasku, mogła dokonać tyle dobrego!

Poczet zatrzymywał się nagle. Do pojazdu Jej Królewskiej

Mości podbiegał goniec i odpowiadał na niespokojne jej pytanie:

—Tak, Miłościwa Pani, panienka ma się dobrze. Bawi się łapką królika. Dostała ją od pewnej staruszki na szczęście.

Marja wzdychała głęboko, opuszczała głowę na poduszki i zatapiała się nanowo w modlitwie. Dobry Bóg jej pomoże napewno, zawsze była przecież dobra i uprzejma dla wszystkich. Los, straszliwy los, który złamał jej serce, nie będzie chyba zawsze tak okrutnie jej doświadczał! Teraz była królową. Obowiązki, dyplomacja, związek małżeński, jej nowa polska ojczyzna i Francja, którą tak kochała i której pragnęła służyć, wszystko wymagało jej energji, rozumu i woli. Tak, musi jej się powieść.

Tymczasem tajemniczy jeździec pędził, pędził bez wytchnienia. Nie zdołały zatrzymać go niepogody, gnała go naprzód nienawiść i żądza zemsty. Nie czuł się nawet zmęczony, zlecenie jego pochodziło z piekła i nic nie mogło przeszkodzić w wykonaniu djabelskiej misji. Musiał znaleźć dość siły, aby przybyć do Warszawy przed orszakiem królewską. Musiał do końca mieć odwagę swej jadowitej nienawiści.

Trzeba było przeprawić się przez rzekę Waal, co nie należało do łatwych przedsięwzięć. Karawana przebywała ją na małych łodziach nieprzystosowanych do takiego użytku. Tylko część towarzystwa mogła przeprawić się odrazu, reszta musiała spędzić noc w małych domkach, dających słabą osłonę przed lodowatym wichrem. Wreszcie po wielu trudach obie części orszaku połączyły się znowu i dnia 23 grudnia dotarły do miasteczka Gorchum. Była to niepociągająca miejscowość, zostało w niej tylko kilku katolików, ale i tej garstce zabroniono praktyk religijnych.

Nad Marją czuwał jednak Bóg Wszechmogący, a jej gorące modlitwy do Świętej Panny z Gołębiem dodawały jej siły. Mazarin nie omylił się w swoim wyborze kobiety,

która miała służyć Marji pomocą; pani de Guébriant na chwilę nie zaniedbała swej misji. Była ona niestrudzoną osobą. Teraz, w tem okropnem miasteczku narzuciła szeroki płaszcz na futro i mimo tnącego ostro wiatru chodziła od domu do domu, szukając odpowiedniego schronienia dla królowej. O wygodzie nie było mowy, udało się jej jednak znaleźć mały ale przynajmniej czysty domek, gdzie Marja mogła rozgrzać się przy wielkim kaflowym piecu i zjeść coś pożywnego. Marszałkowa wyszukała także katolickiego księdza i Marja wprawdzie pokryjomu, ale w nabożnem skupieniu wysłuchała Mszy świętej w pierwszy dzień Świąt Bożego Narodzenia.

Podróżować po Holandji jest niezmiernie trudno, a w owych czasach nieliczne drogi tonęły w błocie i były prawie nie do przebycia. Holendrzy przeprawiali się przeważnie kanałami, a w zimie z jednej miejscowości do drugiej przejeżdżali na łyżwach. Ciężkie i duże pojazdy nie nadawały się do tych wesołych eskapad, często trzeba było nakładać drogi by dotrzeć do celu. Zdarzało się, że lód był za cienki, łodzie za małe albo że zgoła ich brakło, podążali więc po wyboistych drogach śród przenikliwego wichru, aż do zupełnego wyczerpania podróżnych. Gdy przybyli nad brzeg kanału, zdawało się im, że po drugiej stronie niewielkiego pasma wody widać już lepszą drogę, były to jednak złudzenia, jak zwykle gdy rzeczy niedostępne wydają się lepsze. Czasami na końcu długiego objazdu napotykali na most niedość, zdawało się, mocny aby wytrzymać ciężar karoc i wozów. Nie było jednak innego sposobu, zbierali więc na odwagę, młode damy stawały na stopniach ekwipażów, a służba przeprowadzała konie po oblodzonych belkach na los szczęścia. Nigdy w takich wypadkach nie byli pewni czy przejadą przez most czy też skąpią się w lodowatej rzece.

Ostatecznie Gorchum było jeszcze znośne, ale zdarzały się miejscowości, gdzie towarzystwo musiało nocować w

lepiankach. Przez szczeliny w dachu wiał wiatr i padał śnieg, przed którym nie było czem osłonić królowej i jej dam. Kiedyindziej nie pozostawało im nic innego jak otulić się w futra i spać w powozach. Pewnego razu nocleg królewski wypadł w domu ubogiego pasterza. Marja zamieniwszy kilka łaskawych słów ze swym gospodarzem, usłyszała nagle jak opodal rozmawiano o chorobach grasujących w okolicy. Wybuchła tam ospa i nie dalej jak wczoraj z sąsiedniego obejścia wywieziono kilku zmarłych. Pani de Guébriant mimo, że miała spać właśnie w tym domu, nie zwróciła na to żadnej uwagi. Była zanadto wyczerpana i myślała tylko o wypoczynku. Panowie urządzali się jak kto mógł i bardzo często spali w stodołach na sianie. W ten sposób poczet posuwał się naprzód i minął Utrecht, Griphenmiel i Lubekę. Przybyli wreszcie do Prus zasypanych śniegiem, jak okiem sięgnąć, i tam zatrzymali się na krótki postój. Wszystkie te perypetje opisuje niezmiernie interesująco i szczegółowo Jean Le Laboureur. Mam przed sobą jego książkę oprawną w skórę, z żelaznemi klamrami, o wielkich stronicach, na których czas położył swe piętno. Księga pisana jest staroświeckiemi literami z owych dalekich lat (1647), przyczem S niewiele różni się od F a V od U. Zabawnie jest obserwować jak Le Laboureur w swojej urzędowej funkcji pamiętnikarza stara się pominąć niemiłe szczegóły podróży.

Podczas tej długiej drogi przez zaśnieżone płaszczyzny, gdy nastały najkrótsze dni w roku, wypełnione tylko nieustannem wyciem wiatru, zmęczone towarzystwo umilkło i straciło kontenans. Tylko kawalerowie zabawiali się od czasu do czasu polując na dziki, które wychodziły z puszczy i zdumione patrzyły na przejeżdżające powozy. Poczet przybył wreszcie do Oldenburga, gdzie wjazd królowej oznajmiły znowu strzały armatnie. Śpiczaste, pokryte śniegiem dachy starożytnego miasta błyszczały zdaleka w pogodnem słońcu. Piękny ten widok olśnił zmęczone oczy podróżników,

którzy od wielu dni nie widzieli nic innego tylko śnieżną monotonję nizinnych przestrzeni.

Na powitanie uderzyły z wież strażniczych dzwony i napełniły powietrze jasnym dźwiękiem. Dołączył się do nich wesoły zgiełk małych armatek, pod niebem zawisły białe obłoki dymu. Pojazdy minęły bramę miejską z głośnym turkotem kół, które po długiej ciszy śnieżnych równin rozbrzmiewały teraz jak grzmoty. Zagrały trąby, tłum wznosił okrzyki.

Co za radosna zmiana! Marja czuła się znowu królową i to nietylko z tytułu. Hrabia Oldenburski, który pragnął przyjąć godnie przybyszów, wysłał naprzeciw orszaku sześciu trębaczy odzianych w czerwone, bogato srebrem haftowane stroje; kawalerowie ci wprowadzili towarzystwo królewskie do zamku. Oldenburg wyglądał odświętnie, mieszkańcy cisnęli się do okien i witali gości serdecznie. Marja wjeżdżała do miasta po królewsku—śród wiwatów, strzałów armatnich, grania trąb, bicia dzwonów i tętentu galopującej asysty. Hrabina Oldenburska i księżna Holsztyńska powitały Jej Królewską Mość u schodów zamku. Córki czekały z naręczami kwiatów i ucałowały rękę królowej. Marja była straszliwie zmęczona, ale nie dawała tego po sobie poznać. Uśmiechała się swoim czarownym uśmiechem, którym podbiła wiele serc i conajmniej tyleż złamała. Gospodarze byli zachwyceni miłemi słowami powitalnemi, ale na szczęście zdawali sobie sprawę, że królowa potrzebuje wypoczynku i spokoju. Zaprowadzono ją do przygotowanych dla niej komnat. Mijając długie galerje ozdobione pięknymi freskami i wielkimi obrazami, Marja poczuła się pokrzepiona na duchu. Tak, może jednak wszystko się uda! Chłodne i wietrzne noce wydawały się teraz złym snem, z którego właśnie się obudziła. Była w Oldenburgu, w pięknym i wielkim zamku. Minęła długie korytarze i weszła do wspaniałych i, dzięki Bogu, dobrze ogrzanych apartamentów królewskich. Z wysokich ścian

zwieszały się bogate, przetykane srebrem kobierce. Oficer gwardji przybocznej w galowym mundurze podniósł zasłonę, aby wprowadzić ją do komnaty. Królowa, która niedawno spała w lepiance pasterskiej, miała teraz odpocząć w posrebrzanem i złoconem łożu, które w czerwonem świetle ostatnich promieni zachodzącego słońca nabierało wyglądu jakiegoś nierealnego sprzętu. Łóżko przykrywały ogromne atłasowe kołdry, haftowane także złotem i srebrem; zwisające ich brzegi leżały na małych, przeznaczonych do tego, stołeczkach, według zwyczaju domu. Pościel była z batystu tak białego, że jak pisze Laboureur, "śnieg wydawał się przy nim szary." Wannę, w której Marja miała wziąć kąpiel (w owych czasach budowano je na kółkach i wtaczano do pokoju) wyścielały prześcieradła z tego samego materjału. Służba była bardzo liczna, kotły z ciepłą wodą wnosiło pięć czy sześć kobiet. Marja otulona w koronki i otoczona pokojowemi, czuła się prawie tak jak w swoim własnym pałacu w Nevers.

Ale wypoczynek nie miał trwać długo. Królowa musiała pojawić się na wielkim bankiecie wydanym przez hrabiego Oldenburskiego na jej cześć. Był to z jej strony tylko akt obecności. Patrzyła ciekawie i z przyjemnością na wielkie stoły uginające się pod ciężarem złotej zastawy, wszelkiego rodzaju smakołyków, marmelad i konfitur przygotowanych na to przyjęcie. Niestety, jadała w ciągu ostatnich dni tak źle, że nie śmiała tknąć tych bogatych i wymyślnych potraw:

—Nie, dziękuję. Bardzo księstwo dla mnie uprzejmi, ale doprawdy zbyt jestem zmęczona i jadam zwykle bardzo mało. Poproszę, jeśli można, dwa jajka na miękko.

Ten skromny posiłek podano królowej w jej pokoju. Czuła się szczęśliwa, że wkońcu może odejść do swoich pięknych i ciepłych komnat. Uklękła pobożnie obok łóżka, aby podziękować Świętej Pannie Niwerneńskiej.

Po odejściu królowej towarzystwo nie tracąc czasu zasiadło

do wspaniałej uczty. W ogromnej sali bankietowej czekały na gości stoły zasłane obrusami ze złotej i srebrnej lamy i zastawione złotemi amforami, z których nalewano najlepsze czerwone wina krajowe. Śród złotych waz napełnionych kwiatami umieszczono nieznaną wtedy ozdobę. Stały tam różnych rodzajów zegary, wielka i niezmiernie kosztowna nowość na owe czasy. Był to piątek ale ponieważ Luteranie nie uznają katolickich obyczajów, w kuchniach poczyniono fantastyczne przygotowania. Pięćdziesięciu kuchcików bez wytchnienia kręciło na rożnach ogromne połcie odyńców, jeleni i innej dziczyzny. W mniejszych piecach smażono kurczęta, bażanty, zające i inną drobną zwierzynę. Powietrze stawało się gryzące od dymu i buchało zapachem korzeni i czosnku. Uczta, obliczona na gust miejscowych panów, nie była wsmak delikatnej królowej. Gdy podczas tych wszystkich zabiegów doszła do kuchni wiadomość, że nikt z gości, ani królowa, ani marszałkowa, ani żadna z dam dworu nie weźmie w piątek mięsa do ust, kucharzy ogarnął popłoch. Zapóźno było jednak zmieniać menu, przyjęcie odbyło się tak jak je przygotowano. Wnoszono półmiski jeden po drugim, zdawało się bez końca. Francuzi nie gustowali w bogatych i przyprawionych korzeniami potrawach. Gdy jednakże królowa opuściła salę, dworzanie dali upust swoim apetytom, niepomni na post.

Wokół krążyły szklanice, raz po raz napełniano dzbany a ostre potrawy podsycały pragnienie. Pieśni stawały się coraz śmielsze, gdzieniegdzie wszczynano kłotnie. Wulgarne wymówki czynione przez ochmistrzów służbie kobiecej podniecały pijanych już trochę kawalerów aż wreszcie uczta zmieniła się w orgję. O świcie głośne chrapanie spłoszyło małych paziów, którzy przyszli zapalić poranny ogień na kominkach.

ROZDZIAŁ VII

Znowu w podróży

Marja Ludwika pożegnała wreszcie gościnnych książąt Oldenburskich i wyruszyła w dalszą drogę. Wiozła ze sobą mnóstwo cennych podarków i przed wyjazdem obdarzyła nimi hojnie wszystkich nowopozyskanych przyjaciół.

Poraz pierwszy ujrzała teraz szare i chłodne fale morza Bałtyckiego, które miało jej przybranej ojczyźnie przysporzyć tyle wstrząsów i trudności, a jej samej tyle bezsennych, ciężkich nocy. Morze było przyczyną nieskończonych waśni i sporów, a o panowanie nad niem, walczyło kilka narodów. Tak było dawniej i tak jest do dnia dzisiejszego. Wielu wybitnych mężów stanu ponosiło w ciągu wieków dotkliwe porażki, starając się utrwalić wpływ swego kraju na tym skrawku wybrzeża, którego znaczenie polityczne było niepomiernie większe, niż jego przestrzeń.

Oldenburska oaza wytchnienia była prawdziwą łaską nieba, niestety, teraz zaczynał się nowy okres ciężkich doświadczeń. Marja modliła się do Madonny z Gołębiem: "Patronko miłości, daj mi siły i wiarę, abym mogła pozostać wierna dewizie mego rodu, i dodaj mi odwagi bym sprostała tradycji mych przodków."

Od Bałtyku wiał mrożący wiatr. Nie wystarczały grzane cegły w powozach, wielkie płaszcze futrzane ani inne okrycia; towarzystwo marzło do kości. Zdawało się, że nawet słowa zamarzały na ustach, śród jadących zapadała cisza tak martwa jak rozpostarty dokoła krajobraz.

Wąsy i brody rycerzy pokrywał lód, policzki mieli czerwone a nosy sine. Mały pokojowiec królowej nie wytrzymał tych mrozów. Gdy zachorował, doktór Jej Królewskiej Mości robił wszystko co było w jego mocy, ale chłopiec nie wyszedł z przeziębienia i ku wielkiemu strapieniu Marji umarł. Wkońcu skierowano się w głąb lądu i niebawem poczet przybył do pierwszego pomorskiego miasteczka, Demmyn.

Wjazd królowej oznajmiły znowu strzały armatnie, opuszczono zwodzone mosty i kawalkada zadudniła głośno pod blankami głównej bramy miasta. Podkowy końskie krzesały iskry o przemarznięte kamienie brukowe. W oknach płonęły już światła a lud zaskoczony niezwykłem poruszeniem, długo przypatrywał się dziwnemu pochodowi. Za szybami ekwipażów widać było obce twarze, które też rozglądały się z ciekawością w mgle zapadającej nocy.

Miasteczko było niedawno świadkiem innego uroczystego wjazdu. Przybył tam wtedy pan Plattenberg, wielki koniuszy nieboszczki królowej polskiej, którego wysłał król Władysław na powitanie nowej małżonki. Król miał niewątpliwie pełne galanterji intencje: jego list do królowej utrzymany był w tonie bardzo serdecznym. Wraz z listem przybył transport skrzyń pełnych wspaniałych futer, zarękawków i ślicznych futrzanych czepeczków dla młodych dam ze świty królowej. Królowa otrzymała od króla płaszcz z czerwonego aksamitu, koloru Polski, zapinany na złote guzy i podbity najpiękniejszemi sobolami. Ponadto pan Plattenberg przywiódł ze sobą wielkie karoce, które stały gotowe do drogi w miasteczku Anklan, dokąd towarzystwo miała przybyć nazajutrz. Wszystko to wydawało się bardzo pocieszające, Marja była zadowolona i pełna ufności. Młode damy, zachwycone i rozbawione, przymierzały nowe polskie kapturki, w których im było nadzwyczaj do twarzy.

Jaki świat jest mały! Dowódcą fortecy w Stralsumm,

broniącej miasta Demmyn od strony wybrzeża, okazał się pułkownik Forbus, który przed wielu laty służył w armji francuskiej pod rozkazami nieboszczyka marszałka de Guébriant. Dzielny oficer przybył ze swej fortecy, aby złożyć hołd królowej a także i wdowie po swym wodzu. Królowa przyjęła go życzliwie i kazała sobie przedstawić żonę i syna. Pułkownik pożegnał królowę i marszałkową po długiej audjencji, składając im w darze wspaniałego odyńca i wiele innych przysmaków przygotowanych w wyszukany i wytworny sposób.

Marja lubiła odwzajemniać się ludziom za ich serdeczność, ale tyle było osób, które chciały złożyć jej hołd i tyle innych, którym należało dziękować, że wielki zapas przygotowanych zgóry podarków zaczynał się wyczerpywać. Kupiła tedy znowu sporo upominków i to za wysoką cenę. Zrobiła to chętnie; w serce jej zaczynała wstępować otucha.

W Anklan, dokąd poprowadził orszak pan Plattenberg, przyjęła hrabiego de Brégy, ambasadora francuskiego w Polsce. Przybył on aby powitać królową i otrzymać listy mianujące go "przedstawicielem Francji na ślubie księżniczki niwerneńskiej z królem polskim." Widząc pana de Brégy, Marja poczuła się naprawdę szczęśliwa; dołożył on przecież tylu wysiłków, aby ustalić wszystkie szczegóły małżeństwa i zapewnić mu powodzenie. Przybył z Warszawy przejazdem przez Gdańsk. Na audjencji hrabia z właściwym sobie optymizmem nakreślił królowej niezmiernie pociągający obraz osoby króla i wielkiej elegancji pałacu królewskiego, który odmalował jako prawdziwy zamek z bajki. Zawsze wesoły i zadowolony lud polski, mówił ambasador, czeka niecierpliwie na przyjazd królowej, chcąc ją powitać chorągwiami i kwiatami.

Przed zapadnięciem nocy Marja udała się z ambasadorem do stajen, gdzie stały trzy wspaniałe karoce przysłane przez króla Władysława. Pojazd królowej miał być ciągniony

przez sześć srokatych koni o grzywach malowanych na kolor czerwony, według polskiego zwyczaju. Orszak powiększył się jeszcze bardziej. W Szczecinie zatrzymano się, aby poczynić ostatnie przygotowania przed wjazdem do Polski.

Oznajmiono tam królowej, że okoliczne drogi nie były zbyt bezpieczne. Wielkie bandy uzbrojonych zbójców napadały znienacka przejeżdżających podróżnych, a często nawet rabowały zamki stojące na ustroniu. Ale jeśli ktoś spodziewał się, że wiadomość ta przestraszy Marję, nie doceniał jej odwagi. Przewidziała ona wszystko zgóry a jej dobrzy doradcy we Francji dali orszakowi osłonę, która stanowiła prawdziwą małą armję. Teraz jednak, gdy droga wiodła ich przez wielkie lasy Marja miała sposobność przekonać się, że smutne bajki bywają prawdziwe: na szlakach spotykano często leżące ciała pomordowanych podróżnych.

Posuwali się niezmiernie powoli, gdyż drogi były zaniesione śniegiem i pokryte lodem, tak że nawet musiano specjalnie podkuć konie. Ponieważ jednak i to niewiele pomogło, na pewnym odcinku drogi trzeba było wszystkie powozy załadować na sanie. Wjechali teraz na zamarzniętą Odrę, po której korowód podróżny pomknął bardzo szybko, jak po gładkiej i równej drodze.

Dojechano wreszcie do Koźlina, gdzie Marja jeszcze raz mogła stwierdzić, jak świat jest niewielki. W tej odległej miejscowości przyjął ją markiz Gonzaga z Mirowa . . . Był to syn polskiego szlachcica, który walczył w Mantui przy boku jej ojca. Miał za to prawo nosić nazwisko Gonzagów obok swego rodzinnego (co często zdarzało się we Włoszech) i umieścić herb Gonzagów na swojej tarczy rodowej. Markiz z Mirowa przyjechał ze swoją żoną w malowniczych saniach, ciągnionych przez szybkie rumaki, wysłanych skórami tygrysów i lampartów; towarzyszył on królowej i jej orszakowi aż do stolicy kraju. Wszystko zdawało się zmierzać ku triumfowi, gdy nagle Marję ogarnął niepokój nerwowy,

którego nie umiała sobie wytłumaczyć. Nie mogła sypiać choć była zmęczona, modliła się tylko do Świętej Panny żarliwie i bez ustanku. Ogarnął ją jakiś nieokreślony lęk, bała się sama nie wiedząc czego. Miała widocznie dar przeczuć, jej zielone oczy niedarmo płonęły tajemniczym żarem. Kiedyś w Nevers studjowała wiedzę tajemną u sławnego profesora, który spędził pewien czas w jej mieście. Uczony uważał się za astrologa i twierdził, że umie odgadywać przyszłość. Wprowadził on Marję w staroegipskie i chińskie tajemnice wróżenia z kart, co w owej epoce było bardzo rozpowszechnione, szczególnie we Włoszech i Hiszpanji. Pewnego dnia stara cyganka, którą spotkała przypadkiem nad brzegiem Loary, kazała jej strzec się pędzących koni. Jaka śmieszna przepowiednia! Czyżby jednak miała się sprawdzić?

Nazajutrz jeden z uczestników misji polskiej powiedział królowej z zachowaniem wszelkiej oględności, że otrzymał list, w którym donoszą mu o ciężkiej chorobie króla. List był datowany z przed wielu dni. Marja usiłowała nie przejmować się nazbyt tą wiadomością i w głębi duszy wierzyła, że w Gdańsku dowie się o polepszeniu królewskiego zdrowia. Niemniej stropiło ją to bardzo. Kto zdradził? Na czem polegała nowa intryga? Dlaczego uknuto ją właśnie teraz? Markiz prosił królowę, aby razem ze świtą stanęła gościną w jego zamku, ale Marja była zanadto niespokojna i chciała coprędzej ruszyć w dalszą drogę. Dojechano do małej wioski, gdzie można było się posilić i natychmiast jechać dalej. Pragnęła jak najwcześniej dotrzeć do Gdańska gdzie spodziewała się otrzymać lepsze wieści z Warszawy. Boże, myślała, nie napróżno chyba zrobiła cały ten wysiłek! Król nie może umrzeć! Okropna myśl!

—Nie, nie, odpoczniemy trochę i ruszymy jak najprędzej w stronę Gdańska,—powiedziała.

Chwilę potem, gdy podziękowała markizowi za zapro-

szenie, poprosił ją o audjencję ambasador francuski. Otrzymał tylko co list od króla i to jeszcze jaki! Król pisał: "Jeśli kiedykolwiek Waszmość Pan zamierzał mi się podobać, proszę sprawić, aby królowa zaniechała dalszej podróży." Biedny hrabia de Brégy! Obracał w rękach nieszczęsny list, czytał go razporaz w nadziei, że się pomylił. Na wszystkie strony oglądał składany arkusz papieru (koperty wtedy nie istniały) ; niestety, nie mógł się łudzić, pieczęć była królewska. Co to wszystko miało znaczyć? Co tak strasznego się stało? Jakże miał oznajmić tę wiadomość królowej i tak już bardzo zdenerwowanej? "Boże, myślał, jeśli mi się teraz nie uda, karjera moja skończona!" Był młody, urodziwy i za wszelką cenę pragnął wywiązać się jak najlepiej ze swej misji politycznej. Mazarin dał mu wybitne stanowisko jak na młodego dyplomatę, jeśli więc zawiedzie jego nadzieje, konsekwencje będą poważne. Hrabia tracił panowanie nad sobą. Trzeba było wszystko powiedzieć królowej i wstrzymać przygotowania do wyjazdu. Naturalnie, list zawierał niezbędne frazesy o zdrowiu króla i t.d., niemniej nie dało się zaprzeczyć, że król napisał list odręcznie, nie był więc umierający.

Gdy rozeszła się wieść o nowym liście, całe towarzystwo ogarnęła konsternacja i przestrach. Pozatem dotkliwie dawały się odczuć trudności związane z postojem. Królowa uchyliła się od wdzięcznego zaproszenia kasztelana ale w wiosce, w której list ich dosięgnął, nie było nawet oberży. Chwycił znów wielki mróz a lodowaty wiatr wył potępieńczo. Trudno powiedzieć co męczyło ich bardziej: chłód fizyczny czy zmrożenie wewnętrzne.

Prusy nigdy nie były bogatym krajem, wieśniacy niechętnie patrzyli na tylu przybyszów, którzy domagali się żywności i dachu nad głową. Sami zaledwie mieli co włożyć do ust. Jeśliby nawet sprzedali wszystko co mieli do sprzedania, nie zdołają zato nic kupić, a do końca zimy jeszcze daleko. Jeśli

pozbędą się bydła, czem będą uprawiali pola na wiosnę, która przecież musi kiedyś nadejść.

Służba udała się na poszukiwania siana i słomy. Nie ulegało wątpliwości, że nawet biskup Orange będzie musiał spędzić noc na nędznem łożu. Podróżni szukali jakiegokolwiek schronienia i lokowali się nawet w zwykłych ruderach nad brzegiem rzeki Slop, gdzie kraczące wrony nie budziły w nikim wesołych myśli. Niepodobna było dłużej zostać w tem lodowatem pustkowiu! Nie, za wszelką cenę trzeba jechać dalej! Zdawało się, że nadszedł wielki post przestrzegany szczególnie surowo; podróżnym dokuczał głód i to tem okrutniej, że pamiętali niedawne uczty w Oldenburgu.

Marja drżała w powozie. Fortuna jakby odwracała się od niej; czyż miała jednak pochylić głowę i poddać się klęsce i cierpieniu? Otrząsnęła się z przygnębienia, odwaga Gonzagów rozgrzała znów jej serce. Wiara była ich dewizą, nie należało ulegać beznadziejności. Gdzie jest pani de Guébriant, potrzebuje jej rady. Gdzie jest marszałkowa? Energiczna marszałkowa wysiadła z powozu i szukała między małemi chatami najmniej odstręczającego pomieszczenia, gdzie Najjaśniejsza Pani mogłaby odpocząć. Jedynem schronieniem jakie udało jej się znaleźć była uboga komora o glinianych i popękanych ścianach. Pani de Guébriant myślała, że nawet anioł nie mógłby nic lepszego wyszukać, bała się jednak czy Marja się tem zadowoli. W chacie porozstawiano wielkie skrzynie a służba usiłowała rozpalić ogień w maleńkiej kuchence, gdzie trudno było przygotować nawet najskromniejszy posiłek dla tak licznego towarzystwa.

—Doprawdy zbiera się na płacz,—westchnęła jedna z młodych dam dworu.

I trudno jej było zaprzeczyć.

Pani de Guébriant ani na chwilę nie straciła głowy. Nie zbrakło jej nigdzie, szybko i bez wahania wydawała niezbędne polecenia. Gdy wreszcie ujrzała królowę siedzącą przy ogniu,

posłała po hrabiego de Brégy. Jedynem oświetleniem komory były butelki wypełnione łojem, które dawały więcej dymu niż światła. Dworski ukłon złożony przez ambasadora przed Jej Królewską Mością, siedzącą na drewnianej, chwiejnej ławie wydawał się w tych warunkach bardziej śmieszny niż uroczysty. Niestety! Sytuacja była dramatyczna!

Marja pragnęła dotrzymać ślubów małżeńskich w pełni i nie chciała buntować się przeciw woli króla nawet gdyby miała przez to cierpieć. Stary kronikarz pisze: "Królowa stawiała swój honor ponad wszystko i od początku postanowiła być powolna królowi, swemu panu, z którym razem miała panować." Ale ambasador francuski i pani de Guébriant patrzyli na te sprawy inaczej.

—Miłościwa Pani,—nalegała marszałkowa—jesteśmy niedaleko od pierwszego miasta twej nowej ojczyzny. Jeśli mamy czekać, uczyńmy to przynajmniej w twem nowem królestwie.

Postanowiono jechać dalej. Podróżni zatrzymali się na jedną noc w zamku księcia Stolpen. Następnego dnia, ku bezmiernej uldze całego towarzystwa poczet ruszył w dalszą drogę. Na szczęście nadeszło również drugie pismo z Warszawy. Król Jegomość zdecydował po rozwadze, że czuje się lepiej. Pomyślał zapewne o swych długach, które mógł teraz spłacić w całości, spojrzał znowu na piękny portret Marji i zdał sobie sprawę, że działał pochopnie i nierozważnie. Madonna z Gołębiem przyszła Marji z pomocą, królowa uczyniła znak krzyża i westchnąwszy odmówiła dziękczynną modlitwę. Pomyślała znowu o ukochanem Nevers i zatęskniła za tamtemi dalekiemi stronami. Żaden kraj nie miał tak pięknych kwiatów. Jakie wspaniałe były tam róże zimowe, które nie lękały się kwitnąć nawet w dni najchłodniejsze; kryła się w nich jakby zapowiedź zmartwychwstania natury odradzającej się na wiosnę. "Roże niwerneńskie, myślała Marja, obietnico boska, dana ludziom pogrążonym w rozpaczy lub smutku! Czy i dla mnie nadejdzie kiedy wiosna?" Liczne

klęski są utajoną zapowiedzią zwycięstwa, powiedział wielki myśliciel. "Będę jak zimowe róże z Nevers—myślała dalej Marja—będę piękna dla mego królewskiego władcy, ożywiona otuchą, pokrzepiona nadzieją." Łza spłynęła po zmarzniętym policzku, łza wdzięczności za wysłuchane prośby. Drżała lekko, słuchając głosu swej duszy: "Pomyśl jakiej męki doznał twój duch i ciało, gdy umarł Cinq-Mars. Pomyśl o wszystkich minionych nocach, wypełnionych cichem łkaniem i ukrywanym niepokojem. Pomyśl o Matce Najświętszej, która cię wspomogła i dodała ci siły. Wzbudź w sobie wiarę, wiarę Gonzagów."

Marja przeżegnała się i nagle, wiedziona dziwnym skojarzeniem myśli, krzyknęła:

—Gdzie jest służba panienki? Czy panienka jest dobrze okryta, nie zaziębiła się, nie kaszle?

Królowa myślała zawsze o wygodzie innych, a skojarzenia bywają tak przypadkowe. . .

—Panienka czuje się dobrze, bawi się nowym zarękawkiem, najpiękniejszym, jaki król przysłał; zarękawek doskonale okrywa jej rączki.

Królowa westchnęła z ulgą, czuła się uspokojona. Pomyślała z ufnością, że jednak wszystko ułoży się pomyślnie. Wprawdzie rozczarowało ją nieco, że król nie mógł przyjechać na jej spotkanie do Gdańska, ale ostatecznie czuł się lepiej i jak sam pisał, gorączka go opuściła. Sławny historyk Waliszewski, który wiele uwagi poświęcił czteroletniej damie dworu, twierdzi z naciskiem, że list króla i jego stan nerwowy zostały wywołane jedynie atakiem podagry i że inne domniemane przyczyny nie wytrzymują krytyki.

Przyjrzyjmy się teraz rycerzowi, który dzień i noc bez przerwy galopował przez te same lodem pokryte drogi. Niejeden rumak padał pod ostrogami jeźdźca, ale kupić innego konia nie było trudno: jeździec musiał przybyć do celu za wszelką cenę. Nienawiść i pragnienie zemsty, najstra-

szliwsze ze wszystkich namiętności, dodawały sił zarówno jego sercu jak i ostrogom. Pędził bez wytchnienia, jadł i pił tylko tyle, aby wzmocnić się przed dalszą drogą. Ale dlaczego?

Gdy poczet królowej będzie przygotowywał się do wjazdu do Gdańska, pierwszego wielkiego miasta w królestwie polskiem, my pośpieszmy za tajemniczym rycerzem. Nazywał się hrabia de Bois-Dauphin, był dworzaninem króla francuskiego i nienawidził królowej Polski. Z jakiego powodu? Przypominamy sobie, że piękna hrabina de Choisy, bliska przyjaciółka królowej, nie dała się nakłonić, aby opuścić męża i towarzyszyć Marji w podróży a z orszakiem królewskim rozstała się na granicy Francji. Rok przedtem kawaler de Bois-Dauphin zapałał gwałtownem uczuciem do tej zachwycającej osoby. Jej piękne złote włosy, słodki uśmiech i nieskalana cera oczarowały go tak bardzo, że postanowił zdobyć względy pięknej pani. Księżniczka de Nevers miała jednak szczególną niechęć do hrabiego de Bois-Dauphin i robiła co tylko mogła, by odstręczyć ją od tych zalotów. Być może Marję skłaniały do tego jej własne cierpienia, doznane w młodości z powodu Gastona Orleańskiego. Pani de Choisy z powagą słuchała przyjaciółki, a że szczerze kochała swego męża, nie trudno jej było przyjmować hrabiego de Bois-Dauphin chłodno, a później przestać go widywać zupełnie. Wzgardzone uczucie zmienia się często w głęboką nienawiść. Mówi się, że niema w piekle nic straszniejszego niż wzgardzona kobieta. Tak samo zaciekła jest mściwość ambitnego mężczyzny, którego miłością wzgardzono, zwłaszcza jeżeli myślał, że bez wpływu potężnej przyjaciółki zdobyłby upragnioną osobę. Ogarnięty nienawiścią, wiedziony pragnieniem zemsty, rycerz przybył na zamek króla polskiego i podając się za posła królowej, wysłanego w awangardzie, uzyskał natychmiast posłuchanie u króla.

Kawaler de Bois-Dauphin, jako syn sławnej pani de Sablé, wiele bywał na dworze francuskim. Król ujęty jego gładkiemi manierami, przyjął go bardzo serdecznie. Ze swobodą i z iście szatańską przebiegłością opowiadał drobne plotki na temat Marji Gonzaga, krążące po salonach paryskich; nie pominął niczego a niejedno przesadził. Gdy doszedł do historji Cinq-Marsa, podkreślił okoliczności wyjaśniające pewne fakty i aby dopełnić skandalicznego opowiadania nie omieszkał zwrócić uwagi króla, że nawet księżniczki krwi nie podróżowały zazwyczaj z czteroletniemi damami dworu. Zestawił zręcznie szczegóły i daty, i nie pominął niczego, co mogło nasunąć królowi najgorsze domysły. Wiele osób skazano na podstawie obciążających okoliczności, a nienawiść nigdy nie jest sprawiedliwa. Król czuł się w najwyższym stopniu wzburzony i przybity. Zdenerwowanie nie pomaga w chorobie, bóle się ponowiły. Położył się do łożka oburzony, rozgoryczony i gniewny, ze zwątpieniem w duszy. Im bardziej się dręczył, tem dotkliwsze stawały się bóle. Wreszcie którejś nocy nie panując dłużej nad sobą, zadzwonił na służbę, zażądał papieru, chwycił gęsie pióro i napisał do hrabiego Brégy list, w którym rozkazywał królowej przerwać swą podróż.

Kilka dni upłynęło, gdy król przypomniał sobie wielki posag Marji i pomyślał o swoich długach. Może również portret królowej znajdujący się w komnacie, pomógł mu zmienić postanowienie. Im dłużej przypatrywał się podobiźnie Marji, tem więcej podziwiał delikatne i arystokratyczne rysy księżniczki niwernenskiej. Przypomniał sobie też słowa królowej-regentki, gdy doniesiono jej plotki krążące na temat Marji: "Uważałaby się za uprawnioną do wniesienia skargi na króla polskiego, gdyby kiedykolwiek wyobrażał sobie, że ona Anna Austrjacka, regentka Francji, popierałaby małżeństwo osoby, której możnaby cokolwiek zarzucić."

Czemu wreszcie dawać wiarę złośliwemu językowi niezna-

nego kawalera francuskiego? Im dłużej przemyśliwał nad tem król Władysław, tem lepiej zdawał sobie sprawę, że dręczony podagrą, postąpił zbyt pochopnie, a spojrzawszy raz jeszcze na portret Marji, postanowił ją zobaczyć. W każdym razie jest osobą pełną iście królewskiej godności. Nie powinien był ulegać podszeptom tego zarozumiałego Francuza; teraz będzie musiał tłumaczyć się przed królową.

Król wezwał brata swego Karola, biskupa płockiego, i dał mu szczegółowe polecenia dotyczące przyjęcia, jakie należało wydać na przybycie królowej do Gdańska, miasta polskiego, dokąd sam pierwotnie zamierzał wyjechać na jej spotkanie. Podagra przestała mu dokuczać, ale pogoda była okropna i bóle mogły wrócić lada chwila. Gdzieś w głębi duszy błąkał się w nim ciągle jeszcze cień niemiłego podejrzenia, które odpędzał od siebie jak mógł, i które uważał za przyczynę swych bólów. Nie, nie pojedzie do Gdańska. Będzie oczekiwał królowej na zamku, gdzie obok niego miała panować. Takie wyjście nie będzie pozbawione majestatu, a jednocześnie kurtuazji.

Brat królewski, książę biskup, wywiązał się świetnie ze swej misji; oczekiwał przybycia królowej do Gdańska śród przepychu i okazałości, w otoczeniu licznych oddziałów wojskowych.

ROZDZIAŁ VIII

Droga do tronu

Ósmego lutego 1648 roku, popołudniu, Ludwika Marja Gonzaga nie bez wzruszenia przeprawiła się przez rzekę Lipę, dzielącą ją od Polski. Po drugiej stronie rozpościerało się jej królestwo, które przy lepszej już teraz pogodzie wydało się królowej i jej towarzystwu krajem piękniejszym, niż wszystkie inne widziane w podróży.

W czasie gdy przygotowywano uroczysty wjazd do Gdańska, królowę podejmował nasamprzód wojewoda Denhoff, potem pewien bardzo surowy i uczony biskup, który zamiast przemówienia wypowiedział tylko parę słów po łacinie:

—Miej wyrozumiałość, bądź szczęśliwa i panuj!

Nieco później, w sposób o wiele wdzięczniejszy przyjął królowę książę biskup Karol, jej szwagier, w otoczeniu świty we wspaniałych polskich strojach. Po długiej, mroźnej i męczącej podróży, nareszcie była świadkiem wspaniałego przyjęcia. Kronikarz owych czasów pisze: "Możnaby pomyśleć, że nietylko lud gdański, ale mieszkańcy całej Polski przybyli, aby złożyć hołd królowej."

Żadne może miasto w Europie nie przeszło tylu przewrotów co Gdańsk, o którego posiadanie walczyło wiele narodów. Gdańsk leży na lewym brzegu Wisły w odległości pięciu kilometrów od jej ujścia i prawie 500 kilometrów na północo-wschód od Berlina. Przez miasto przepływa rzeka

Motława, która rozszczepia się na dwie odnogi i wpada do Wisły tuż za miastem. Gdańsk jako port o szczególnem położeniu geograficznem, posiadał zawsze silne fortyfikacje. Początki miasta są nieznane, ale już od 997 roku port gdański nabiera znaczenia. Stanowiła o tem nietylko żegluga na morzu Bałtyckiem, ale i na Wiśle, już wówczas bardzo ożywiona. Wydarty Polsce przez Zakon Krzyżacki w roku 1308, Gdańsk był jednem z miast Ligi Hanzeatyckiej utrzymującej stosunki handlowe a Flandrami i Anglją. Wszystkie wielkie porty świata mają ludność bardzo mieszaną, która zwykle przyczynia się do wysokiej kultury miasta; Gdańsk przez długie wieki znany był ze swych naukowych instytucji i zakładów.

Przez traktat toruński w roku 1466 Gdańsk wyzwolił się spod jarzma Zakonu i z własnej woli, wraz z całemi Prusami Zachodniemi, wrócił do korony polskiej. Polska okazała się wspaniałomyślna i przyznała Gdańskowi prawa wolnego miasta; przedstawiciele gdańscy przyjeżdżali na sejmy polskie i brali udział w elekcji króla. Wolne miasto obejmowało nietylko sam Gdańsk ale więcej niż trzydzieści wsi okolicznych. Prusy weszły w posiadanie Gdańska dopiero w 1793 roku po drugim rozbiorze Polski; nie można więc twierdzić, że Gdańsk jest pochodzenia pruskiego. W roku 1807 podczas wojny Francji z Prusami miasto było zdobyte przez marszałka Lefèvre'a, który otrzymał od cesarza Francuzów tytuł księcia Gdańskiego. Zawierając pokój w Tylży, Napoleon ogłosił Gdańsk wolnem miastem. Po upadku cesarstwa w roku 1814 Gdańsk włączony został do Prus.

Marja, obdarzona instynktem prawdziwego męża stanu, zdawała sobie sprawę ze znaczenia tego pięknego i bogatego miasta, należącego do jej królestwa. Głębokie wrażenie wywarła na niej gotycka architektura ratusza z roku 1379 i wiele innych budynków. Zapał, z jakim ją tutaj powitano, był najbardziej pokrzepiającym momentem z całej dotych-

czasowej podróży. Dla jej powodzenia było rzeczą równie ważną podbić Gdańsk, jak podobać się w Warszawie; zdawała sobie z tego sprawę, ale nie spodziewała się tak wspaniałego przyjęcia, które po niedawno przeżytych zmartwieniach i przygnębieniu z powodu listów królewskich wydało się jej jeszcze świetniejsze.

Poza fortyfikacjami miasta, jak sięgnąć okiem, rozciągał się obóz wojskowy. Żołnierze w barwnych mundurach, odmiennych dla każdego pułku, tworzyli na tle śniegu niezapomniany obraz. Szable połyskiwały w mroźnem powietrzu, salwy armatnie podkreślały uroczysty charakter przyjęcia. Na czele królewskiego orszaku kroczyli żołnierze księcia Karola a defilada ta potrzebowała ośmiu godzin, aby się rozwinąć. Ogółem było czterdzieści osiem kompanji liczących około 5760 ludzi. Za nimi szło 130 karabinjerów, ubranych według mody francuskiej w czerwone kaski, i 400 rycerzy gdańskich, opisanych naiwnie przez ówczesnego kronikarza: " Dwustu-pięćdziesięciu nie było jeszcze żonatych a resztę stanowili bardzo młodzi ojcowie rodzin." Młodzi rycerze byli odziani czarno, mieli wielkie złote łańcuchy na szyi i futrzane czapy o wielkich czaplich piórach przypiętych kosztownemi sprzączkami. Konie polskie ze swą uprzężą i czaprakami, które były haftowane złotem i srebrem i wysadzane drogimi kamieniami, wyglądały zawsze bardzo efektownie. 300 dragonów w jaskrawo niebieskich strojach z muszkietami i lancami poprzedzało żołnierzy biskupa warmińskiego, którym towarzyszyło 100 rycerzy, 100 strzelców i 100 hajduków węgierskich w malowniczych strojach, niosących łuki, szable i rusznice. Dalej jechali dragoni biskupa kamienieckiego, podkanclerza koronnego. Najbardziej malownicza była osobista gwardja księcia Karola, złożona z kozaków w turkusowych strojach, bramowanych sobolami i błyszczących od drogich kamieni. Dalej jechały rodziny dygnitarzy królestwa, senatorzy, szlachta i rycerstwo; śród

nich wszystkich świetnością strojów wyróżniała się świta księcia Stanisława Radziwiłła, kanclerza litewskiego.

Gdańsk nigdy nie oglądał tak imponującego pochodu, na ulicach ludzie dusili się w tłumie. Wszystkie okna, aż po dach, i nawet dachy wypełnione były ciżbą ciekawych.

Możni panowie mieli na sobie tradycyjne stroje rodowe ze wspaniałych tkanin, bogate w kolorze. Aksamity obszyte były najpiękniejszemi futrami a niektórzy na przebogate zbroje narzucali jeszcze skóry lamparcie. Futrzanym kołpakom dodawały malowniczości wielkie czaple pióra, spięte broszami o wspaniałych szmaragdach i rubinach. Rękojeści pałaszów wykładane były emalją i inkrustowane djamentami. W orszaku widać było jeszcze panów, którzy nosili przerzucone przez ramię kołczany, haftowane srebrem i spinane djamentowymi guzami.

Za rycerstwem podążali biskupi: kujawski, kamieniecki i biskup Orange; potem książę Karol i wreszcie hrabia Brégy, w swym obcisłym czerwonym fraku haftowanym w złote kwiaty, znowu szczęśliwy, zadowolony i promienny jak słońce. Hrabia Denhoff z dumą dzierżył laskę wielkiego mistrza ceremonji, wysadzaną drogimi kamieniami. Cały ten kwiat rycerstwa, stanowiący chlubę Polski, poprzedzało sześciu trębaczy, którzy dźwiękiem srebrnych trąb oznajmiali przybycie orszaku.

W tłumie rozlegały się gorące okrzyki. Nadjechała wreszcie królewska karoca, tocząca się na wysokich kołach, w asyście gwardji złożonej z pięćdziesięciu ludzi, uzbrojonych w wielkie halabardy i ubranych w szafirowe mundury haftowane srebrem, z wielkimi koronkowymi kołnierzami. Powóz wybity był szafirową materją, a poduszki obszyte srebrną frendzlą. Królowa, otulona we wspaniały płaszcz gronostajowy, siedziała na głównem miejscu, mając po lewej stronie panią de Guébriant. Za niemi jechały pojazdy księżniczek francuskich i znakomitych dam polskich, a koro-

wód kończyło 300 hajduków węgierskich, 200 kozaków i łuczników, 300 dragonów, 500 pieszych zbrojnych w rusznice i halabardy.

U wrót Gdańska czterech dygnitarzy miejskich ofiarowało królowej na srebrnej tacy klucze miasta. Wzdłuż ulic wznosiły się wielkie łuki triumfalne; widniały na nich łacińskie napisy, głoszące chwałę Polski i domu Gonzagów. Pierwszy z tych łuków podtrzymywały dwie kolosalne figury Atlasa i Herkulesa, poruszające się przy pomocy mechanizmów, w których budowie Polacy szczególnie celowali; figury wyglądały jak żywe i kłaniały się w pas przejeżdżającej królowej. Nieco dalej stał jeszcze większy łuk z dobudowanym doń balkonem; chór dzieci gdańskich śpiewał pieśni pochwalne na cześć królowej.

Marja Ludwika czuła się teraz naprawdę królową. Starała się zapomnieć o niepokojach dni minionych. Przy jej delikatnem zdrowiu nie było łatwo zdobyć się na uniesienie, jakiego wymagała podobnie uroczysta chwila, uśmiech jej jednak czarował wszystkich jak zawsze. Wyglądała w istocie po królewsku i pięknie. Jej zachowanie było proste i jednocześnie pełne godności: tylko piękna i mądra kobieta mogła zdobyć się na taki urok i powagę.

Dni mijały. W pięknem, odświętnie udekorowanem mieście, odbywały się uroczystości jedna po drugiej. Wielcy i mali, szlachta i lud bawili się do woli, tańczyli wieczorami, słuchali pięknej muzyki i przyglądali się przedstawieniom teatralnym. Pomysłowi mechanicy polscy przygotowali niezwykły pokaz, podczas którego tancerze wznosili się w powietrze a magicznie zmieniające się sceny mogłyby zadziwić nawet dzisiejszych widzów. Balet zaczynał się od prologu bogów, którzy zgromadzili się jakgdyby na tle wspaniałego nieba, w towarzystwie dworzan: słońca i gwiazd. Ziemia przedstawiona była w dole, jako pejzaż z wielką góra po-

środku. Nad nią na wzniesieniu siedział bóg Mincio, duch opiekuńczy rzeki przepływającej przez Mantuę. Obok stały upozowane prześliczne nimfy, które potem brały udział w balecie. Wielka góra wyobrażała Olimp; na ołtarzu widniało słowo "Fides", co było hołdem dla rodu Gonzagów z Nevers i Mantui.

Marji zdawało się, że pobyt w Gdańsku był czarodziejską wizją, gdzie przepych i malowniczość zabaw łączyły się z tak wielkiem dla niej uwielbieniem, że wszystkie dni straszliwego niepokoju i dokuczliwych niewygód zaznanych w nędznych lepiankach, wydawały się teraz przywidzeniem ze złego snu.

Wieczorami puszczano sztuczne ognie, które strzelały snopami światła wysoko pod niebo i odbijały się w wodach wielkiej rzeki. Marja mogła podziwiać gry świateł z salonu swego pałacu. Widziała sama siebie wyobrażoną w orszaku syren i nimf, jadącą w powozie, na tle obłoków z kolorowych ogni i otoczoną gwiazdami, co chwila strzelającemi światłem. Każda zabawa rozpoczynała się od wielkich oracyj, wysławiających jej zalety i piękność. Mowy były zazwyczaj wygłaszane po łacinie a biskup Orange, uszczęśliwiony, że nie musiał już spać na sianie, odpowiadał polskim biskupom z równą im elokwencją. Niektóre przemówienia wygłaszano w języku włoskim, którym Marja, obdarzona zdolnościami lingwistycznemi, mówiła bardzo płynnie. Zdawała sobie sprawę, że potrzebne jej są wszystkie talenty, cała inteligencja i wdzięk, aby zdobyć pozycję, którą jej ofiarowano. Wielu polskich panów otwarcie wyrażało zdziwienie, że tak piękna księżniczka francuska dała się nakłonić do porzucenia swego rodzinnego kraju, aby zamieszkać na mroźnych ziemiach Polski. Niemniej widząc jej wdzięczność i szczere zadowolenie, zapominali o tem i wyrażali jej hołdy tem serdeczniej. Marja czuła się szczęśliwa, widząc ich oddanie i odzyskiwała pewność siebie. Kłopoty i niepokoje należały teraz do przesz-

łości, jej uroczy uśmiech był tak radosny, jak przyjęcie dworzan.

Gdyby kto chciał dobrze przyjrzeć się zebranym, dostrzegłby pośród szlachty osobnika o posępnej twarzy, w czarnym stroju, notującego skwapliwie każdy szczegół. Ten powściągliwy i milczący gość, wmieszany w tłum rozochoconej szlachty, uchodził jednak powszechnej uwagi. W smutnym uśmiechu i cynicznem spojrzeniu było coś z odbicia jego myśli: on i jego naród przygotowywali Gdańskowi inne losy. Fryderyk Wilhelm, elektor brandenburski, który pierwszy położył podwaliny pod wielkość Prus niechętnie teraz patrzył na triumf księżniczki francuskiej. Niewidziany przez nikogo, przyglądał się pilnie wszystkiemu i przemyśliwał nad czemś głęboko. Rychło potem opuścił Gdańsk. Sprytny człowiek wiedział niewątpliwie, że ta polityka wprowadzająca wpływy francuskie do Polski, pospołu z bogatą królową, nie będzie dla Prus pomyślna.

Wszystko na tym świecie ma swój początek, wszystko też musi się skończyć. Uroczystości w Gdańsku zbliżały się do kresu, królowa nanowo gotowała się do drogi.

Marja opuściła Gdańsk olśniona przyjęciem. Ale jeszcze raz miała się spotkać z mroźną rzeczywistością podróży. Panowały wówczas tak wielkie zimna, że w pewnem mieście pruskiem dwu żołnierzy stojących na warcie przed domem królowej zamarzło na śmierć, mimo że warty zmieniano co pół godziny. Widziano w tem złą wróżbę, Zostawiwszy za sobą zbytek i zabawy, królowa podróżowała teraz przez kraj wyniszczony niedawnemi wojnami; zewsząd wyzierała nędza, którą powiększały jeszcze katastrofalne mrozy. Grupy niepozornych domów rozsypanych bez planu, które we Francji nazywanoby wsiami, tutaj uważano za miasta. Nie spotykali już mostów na rzekach, trzeba było przeprawiać się śród pływającej kry na łodziach albo wbród, często z narażeniem życia. Biedna Marja myślała wtedy o wierszu, który Adam

Billaut, niwerneński poeta-stolarz, napisał na jej odjazd do Polski:

Je vous remontrerois que ce climat barbare
Est indigne de voir une beauté si rare,
Que ce n'est qu'à regret que le soleil y luit,
Que le plus beau des jours y vaut moins qu'une nuit
Et qu'une simple fleur que la France nous donne
Vaut mieux que tout l'esclat qui brille en sa couronne.

Raz jeszcze musiała zebrać wszystkie siły, aby zwalczyć rosnący niepokój i nowe wątpliwości. Raz jeszcze uciekła się do wiary Gonzagów i modliła się nawpól żywa z zimna, do Świętej Panny z Gołębiem. Otulona w wielkie futra, w powozie wiozącym ją do męża, którego nigdy przedtem nie widziała, czuła, że duszę jej tak samo przenika chłód mrożący. Głos wewnętrzny mówił jej: "Nie drżyj, Marjo. Przeszłaś wiele prób, ale to, co wycierpiałaś jest niczem w porównaniu z tem, co jeszcze cię czeka. Odwagi. Miej silną wiarę, tylko wiara i odwaga może cię zbawić."

Drżała patrząc na bezlistosny śnieżny pejzaż i myślała z niepokojem, co też głos ten mógł oznaczać. Nie bała się żadnych realnych przeciwności, czuła tylko daleki lęk przed lękiem.

Orszak przybył do Warszawy 10 marca. Wszystkie wieści, które Marja otrzymała w czasie przyjęć w Gdańsku, brzmiały pocieszająco: król czuł się lepiej i niecierpliwie oczekiwał jej przybycia. Późniejsze jednak listy budziły mniej zapału, bóle powróciły, król nie odzyskał zdrowia. Le Laboureur pisze: "Wielki książę, który był stary, chory i przygnębiony, cierpiący na podagrę i otyłość, postanowił nie urządzać uroczystego powitania królowej." W istocie po przebyciu uciążliwej podróży Marja wjechała do Warszawy przyjęta przez niewielki przemarznięty tłum, stojący za szeregami straży kozackiej. Nie było tu łuków triumfalnych, jak w

Gdańsku wprawdzie zaczęto budować jeden u wjazdu do miasta, ale, że wobec choroby króla charakter uroczystości nie był ustalony, budowli nie ukończono i wielki orszak przejechał tylko przed gwardją honorową prezentującą broń. Marja oczywiście była zdziwiona tem chłodnem przyjęciem nieznanej dotąd stolicy. Spostrzegła, że miasto nie miało murów obronnych, że większość domów zbudowano z drzewa a tylko nieliczne z cegieł lub gliny. Nawet kościoły były drewniane. Wszędzie krzątali się uliczni przekupnie. Miasto położone nad brzegiem Wisły szerokiej na pół kilometra, z powodu tej szerokości i wartkiego prądu nie było połączone z drugim brzegiem żadnym mostem. Oto jak wyglądał wspaniały gród, który hrabia Brégy opisywał z takim entuzjazmem, stolica jej przyszłego królestwa.

Marja przypomniała sobie głos swej duszy. Poczuła się przybita jak nigdy w życiu.

O piątej popołudniu po dniu wyjątkowo zimnym, długi orszak przybył przed kościół Świętego Jana, najpiękniejszy w mieście. Kościół połączony był z zamkiem królewskim. Marja z przyjemnością zauważyła, że był zbudowany z kamienia, jak zresztą i zamek, który rozciągał się od brzegów Wisły aż do środka miasta. Karoca zatrzymała się przed drzwiami kościelnemi. Pani de Guébriant, pomna na swą misję i szczerze oddana Marji, szepnęła jej teraz z czułością, która przepełniała jej serce:

—Odwagi, Najjaśniejsza Pani, odwagi!

Marja potrzebowała jej w istocie. Zanim opuściła powóz, aby wejść do ciemnego i zimnego kościoła, oświetlonego tylko wielkiemi świecznikami, i zanim uczyniła pierwsze kroki w kierunku nawy, gdzie miała dopełnić ślubów i być przyjęta przez swego króla i władcę, zdaleka popatrzyła na męża, którego za chwilę miała poznać.

ROZDZIAŁ IX

Król Władysław IV

Władysław IV, z łaski Boga król polski, wielki książę litewski, pruski, mazowiecki, żmudzki, inflancki, smoleński i czernichowski, dziedziczny król Szwecji, Gotów i Wandalów, drugi przedstawiciel polskiej linji Wazów, łączył w swej mało wdzięcznej postaci charakterystyczne cechy, któremi odznaczał się jego ojciec Zygmunt III, żarliwy katolik, ambitny i chorobliwie nieufny człowiek, oraz poprzednik Zygmunta, Stefan Batory, wielki i okryty chwałą władca, wybrany na tron polski po Henryku Andegaweńskim, późniejszym królu Francji.

Historja Polski z owej epoki jest jednocześnie historją Europy. To czego nie spodziewali się mężowie stanu i politycy owych czasów, stało się rzeczywistością: Zygmunt, który był królem o niezmiernych ambicjach, rozpoczął wiele rzeczy, ale nie ukończył z nich żadnej, jeśli utraty korony szwedzkiej nie uważać za wypadek decydujący o losach Europy. Zamiarem Zygmunta jednak było utrzymać obie korony i móc w ten sposób panować nad całą Europą północną. Wydawało się to rzeczą łatwą bo Rosji brakło przywódców i jakiejkolwiek organizacji. W roku 1598, gdy król ze swemi wojskami wylądował na wybrzeżu szwedzkiem, Polska była świadkiem klęski swego władcy pod Stangebro. Widząc, że król będzie musiał skapitulować przed potęgą Szwecji, Polacy zdali sobie sprawę, że jeśli polityka polska nie będzie prowadzona mocną ręką i w najzręczniejszy sposób, staną w obliczu

poważnych trudności. Na szczęście Zygmunt miał bardzo dzielnych wodzów, jak Zamojski, Radziwiłł i Chodkiewicz, który pobił Karola Sudermańskiego pod Kirholmem i do pewnego stopnia przywrócił Polsce dawną powagę i znaczenie.

Władysław miał więcej siły, niż jego ojciec, ale mniej polotu, niż Batory. Niezwykłego zdrowia za młodu, żył wesoło i swobodnie, jak na księcia przystało. Polował zawzięcie, bił się dzielnie, dowodził wojskami znakomicie, ale lubił też wino, śpiew i kobiety. Oddawał się tym swawolom z zapałem króla, który nie przywykł powściągać swych namiętności. Nadużywał swych sił, sądząc, że jego żywotność nigdy nie osłabnie; zdrowie upomniało się o swoje prawa właśnie w chwili, gdy oczekiwał nowej małżonki. Natura nigdy nie zapomina swych dłużników i zawsze żąda spłaty zaciągniętych długów. Teraz właśnie, mając lat pięćdziesiąt, król okupywał swą niewstrzemięźliwą młodość. Był jeszcze silny, o gładkich manjerach, może zbyt nadskakujący, bardziej porywczy niż wytrwały, a niekiedy twardy i sarkastyczny.

Z okresu jego pierwszego małżeństwa z arcy-księżniczką Cecylją Renatą zachowała się następująca charakterystyka Władysława: "Postać jego jest tak rycerska i zarazem tak pełna czaru, że trzeba go zobaczyć, aby ocenić jak łączy w sobie te przymioty. Wysokiego wzrostu, o budowie proporcjonalnej, jest gładki jak dworzanin i silny jak wojownik. Jego fascynująca osobowość zwraca powszechną uwagę. Bardziej wspaniały w swym przepychu, niż jakikolwiek inny książę, jest człowiekiem szczodrym a nawet rozrzutnym; dochody rzadko starczają mu na pokrycie wydatków. Mówi wielu językami, po łacinie, po włosku, po niemiecku, po francusku i po polsku. Ubiera się na modłę francuską, a jego ruchy i zachowanie bardzo przypominają francuską wytworność; wydaje się dziwne, że nie urodził się we Francji lecz w Krakowie." Władysław bardzo rad był ze swego

austrjackiego małżenstwa; miał z niego syna. Nie był jednak ani zbyt kochający and zbyt kochany. Należał do ludzi pociągających, nawet uroczych, ale nie umiał nikogo do siebie przywiązać. Miłość zjednywa miłość, nie mógł więc otrzymać tego, do czego sam nie był zdolny.

Ze śmiercią Cecylji Renaty poczuł się postarzały i bardziej doświadczony. Długi jego były wielkie a szkatuły puste. Przed laty, gdy w 1636 i 1637 roku Richelieu a potem Mazarin proponowali mu małżeństwo z Francuzką oglądał z zachwytem portret księżniczki Marji Gonzaga, ostatecznie jednak wolał zwrócić się ku Austrji, której interesy były zręczniej reprezentowane.

Teraz zamiast pięknego mężczyzny, światowca i rycerza, Marja dostała za męża człowieka, który był chory na podagrę, otyły, nerwowy i ponad miarę rozdrażniony. Gniewało go to, że musiał przyjąć tę wytworną księżniczkę francuską, która miała mu się podobać i w dosłownem znaczeniu płaciła za to, żeby zdobyć jego łaski i serce.

Myśl, że miał powitać swą nową małżonkę leżąc w łóżku, wsparty o wielkie poduszki, nie odpowiadała jego bujnej naturze. Cierpiał dtkliwie z powodu bólów i to wyczerpywało go nerwowo. Wydawał rozmaite rozkazy i po chwili zmieniał je zupełnie. Rozważał czy może przyjąć Marję w swoim zamku, jest przecież królem Polski, grzeczność na tem nie ucierpi. Po namyśle zdał sobie sprawę, że zanim odbędzie się przyjęcie na zamku, musi swą obecnością w katedrze potwierdzić małżeństwo zawarte w Paryżu przez prokurację. Wpadł w zły humor, wezwał pokojowców i kazał się ubrać. Nałożył pyszny płaszcz podbity srebrną lamą, wielki polski futrzany kołpak z nieuniknionem czaplem piórem, opasany wspaniałymi sznurami brylantów, wszystkie ordery itd. Potem usiadł przy oknie i czekał na przybycie orszaku. Gdy go wreszcie ujrzał zdaleka, z nerwowym pośpiechem podążył na swych podagrycznych nogach do katedry

i zajął miejsce w wielkim fotelu królewskim. Minął kwadrans, minęło pół godziny i trzy kwadranse, księżniczka de Nevers nie nadjeżdżała. W kościele było zimno a bóle stawały się coraz dokuczliwsze. W głębi duszy przeklinał cały świat i pragnął tylko wrócić do ciepłego łóżka i do swoich okładów. W takim nastroju ujrzał wreszcie otwierające się drzwi kościoła, długo oczekiwana księżniczka kroczyła zwolna ku niemu środkiem nawy. Gdy Marja podeszła do króla, uklękła przed nim i pocałowała go w rękę.

Władysław przyjął to miłe powitanie bez śladu wdzięczności. Przyglądał się Marji badawczo, raczej okiem surowego krytyka niż niecierpliwego małżonka. Wreszcie nie powiedziawszy do niej ani słowa, zwrócił się do ambasadora francuskiego, który stał u jego boku i rzekł głośno:

—Więc to jest ta piękność, o której mi pan tyle opowiadał!

Marszałkowa de Guébriant wspominała później pani de Motteville, że w chwili gdy biedna Marja, zmęczona zimnem i podróżą, doznała od męża tej zniewagi i tak niegodnego przyjęcia, zmieszała się niepomiernie, co zresztą łatwo można sobie wyobrazić. Rumieniec wstydu nie zdobi twarzy kobiecej, dodaje policzkom sztucznego koloru a oczy pozbawia blasku. Pani de Guébriant pisze dalej w swym liście: "To okropne przyjęcie połączone ze zmęczeniem po długim i zimnym dniu podróżnym zmieniło naprawdę twarz królowej a doznana przykrość i zakłopotanie odjęły jej dużo urody."

Władysław zdecydował się wreszcie wstać z fotela i utykając ruszył ku ołtarzowi, gdzie w obecności celebrujących biskupów dokonano formalnego potwierdzenia małżeństwa. Ołtarz był ozdobiony bardzo skąpo a chór składał się z niewielu skromnie odzianych osób. Gdy odśpiewano kilka psalmów, Władysław tak samo wyniosły i nieprzyjemny jak przedtem, poprowadził królowę do zamku. Marję spotkał bolesny zawód i przykra niespodzianka, los gotował jednak

dla naszej bohaterki o wiele więcej goryczy.

Zamek był istotnie piękny. Posiadał długie marmurowe galerje, mnóstwo ciekawych i niezwykłych fresków, najwspanialsze wschodnie kobierce. Na ścianach widać było trofea wielkich zwycięstw polskich i zdobyte w bojach sztandary, porozwieszane ze smakiem i rzęsiście oświetlone.

Marja minęła wielką salę, pośrodku której stała ogromna srebrna fontanna z niezwykle pomysłowym mechanizmem. Skonstruowana była w ten sposób, że z dwu jej stron tryskały na zmianę rozmaite perfumy, ze środka zaś płynęło czerwone wino. Zasłonę przy drzwiach podnosiły mechaniczne postacie. Figury te nie były ładne, ale poruszały się tak sprawnie, że wydawały się jak żywe. Kanclerz koronny miał przy sobie chłopca, który przebrany był za dziewczynkę i sprawiał wrażenie niedorozwiniętego. Mniej może nieprzyjemny ale nie mniej zadziwiający był widok dwu karłów, którzy trzymali na smyczy sforę psów, podczas gdy trzeci prowadził wielkiego lamparta. Lampart wprawiał psy w takie przerażenie, że wyły bez przerwy. Za drzwiami słychać było krzyki służby. Marja, z natury wrażliwa i jeszcze pełna wspomnień o swoich pałacach w Paryżu i w Nevers, poczuła się przybita i zarazem zdumiona.

Królowa musiała wziąć udział we wspaniałej uczcie wydanej w długich galerjach zamku, zdobnych w dywany i futra i oświetlonych ogromnemi pochodniami. Ciemne mięso dziczyzny przyprawiane korzeniami i podane z ciężkiem winem, nie przypadło Marji do smaku. Uczta trwała długo, pito coraz więcej, aż kilku podchmielonych dworzan ściągnęło ze stołów obrusy szyte ze złotogłowia i strąciło wspaniałe kryształy z hałasem na podłogę. Marja skorzystała z ogólnego zamieszania i schroniła się razem z panią de Guébriant do apartamentów królewskich, przygotowanych dla niej z przepychem. W swojej komnacie mogła wreszcie odpocząć po wielkiem napięciu i ukoić wyczerpane nerwy. W czasie

tego trudnego wieczoru okazała taką siłę i takie panowanie nad sobą, że teraz wybuchnęła płaczem i rzuciła się w ramiona pani de Guébriant, wołając poprzez łkania:

—Może naprawdę lepiej było zostać we Francji.

Marszałkowa objęła ją, uścisnęła czule i szepnęła ze współczuciem:

—Moje biedne dziecko.

Marszałkowa była dobrą i współczującą przyjaciółką, ale ani na chwilę nie zapominała o celu swej podróży i powadze swej misji. Pocieszała Marję jak umiała i starała się wytłumaczyć jej przyczyny wszystkich trudności, które nieszczęsnem zrządzeniem losu sprawiły, że spotkało ją tak przykre przyjęcie. " Koniec końców,—rozumowała—król był bardzo chory, a mężczyźni podczas ataków podagry nie panują nad nerwami. Zamek był jednak wspaniały a uczta wystawna. Kraj ten ma surowy klimat a podczas mrozów ludzie piją więcej. Wkońcu jednak Marja jest królową Polski. Tyle trudności pokonała tak dzielnie, że nie powinna teraz się zachwiać. Złe początki wróżą dobry koniec, marszałkowa była tego pewna. Jeszcze trochę cierpliwości a wszystko pójdzie dobrze. Czyż królowa nie przybyła tu poto właśnie, aby wprowadzić konieczne choć może niełatwe zmiany? Marja powinna zawsze pamiętać o Francji i o tem, czego od niej oczekiwano."

Słowo "Francja" podziałało na zmęczone uszy Marji jak balsam. Podniosła dumną głowę, otarła łzy i nadsłuchiwała głosu swej duszy: "Dobrze, moja droga, znajdziesz w sobie siły i natchnienie, aby iść właściwą drogą. Będziesz wierna Francji i przysłużysz się twemu nowemu krajowi. Uczynisz życie swe godne obu narodów i choć dużo przecierpisz, odniesiesz wkońcu zwycięstwo."

Słuchając tego głosu zapadała zwolna w sen, który miał jej przynieść tak bardzo potrzebny wypoczynek i tak niezbędną pomoc.

ROZDZIAŁ X

Królowa Polski

Gdy następnego ranka Marja otworzyła oczy, przespawszy noc w głębokim ale niespokojnym śnie, ujrzała ogromną, umeblowaną ze smakiem komnatę. Był to jeden ze wspaniałych apartamentów królewskich na zamku, który odrestaurował, powiększył i przyozdobił Zygmunt III, gdy po swej elekcji na tron polski, przeniósł stolicę królestwa z Krakowa do Warszawy. Warszawa wyglądała w słońcu inaczej, niż w mrokach wczorajszego wieczoru.

Marja przyszła na świat we wrześniu. Cechą ludzi urodzonych w tej porze roku jest krytycyzm w stosunku do samego siebie. Mimo że rzadko przyznają się do tego, proces wewnętrznej analizy odbywa się w nich prawie automatycznie; ludzie ci dzięki niestrudzonemu śledzeniu własnych błędów dochodzą do słusznych wniosków o sobie. Ta praca nad sobą częstokroć przynosi im niezwykłe sukcesy.

Marja poczęła wprowadzać ład w swoje myśli i układać w duchu plany postępowania. Ostatecznie, jak powiedziała pani de Guébriant, była królową Polski, to jest niezaprzeczone. Była bajecznie bogata i wbrew pewnym relacjom obcych, nieżyczliwych Francji historyków, miała naturę szczodrą i serdeczną.

To prawda, że należała do osób bardzo ambitnych. Z pewnem wahaniem używam tego słowa, które tak jak słowo "miłość" nieraz bywa nadużywane i jeszcze częściej stosowane niewłaściwie. Jeśli dziecko nieświetnie się uczy, słyszy się surowe zdanie: "Biedak, nigdy do niczego nie dojdzie,

bo nie ma ambicji." Jeśli władca stara się zrobić wszystko możliwe dla dobra swego kraju, zazdrośni rywale potępią go ze wzgardą, jako ambitnego człowieka. Sprawiedliwość jest rzadko przymiotem historyków i niestety tylko nieliczni spośród nich umieją pokonać swe osobiste uprzedzenia, aby bezstronnie ocenić dostępne im fakty i relacje współczesnych.

Faktem jest, że Marja Gonzaga posiadała umysł niepospolity i bystrą przenikliwość w sprawach politycznych, była też naturą szczerze religijną; stoi to w sprzeczności z twierdzeniem pewnych pisarzy, że należała do osób wyniosłych i jako królowa była obojętna na losy kraju. Nietylko wniosła swojej nowej ojczyźnie wielką fortunę, nietylko spłaciła długi swego królewskiego małżonka, ale gotowa była poświęcić wszystko, aby mu pomóc w sprawowaniu władzy i otoczyć je blaskiem i pomyślnością.

Przesada może zniweczyć walory i korzyści każdej sprawy. Przerost ambicji, który znamy już ze śmierci Juljusza Cezara, była zawsze w ciągu historji świata, śród niezliczonych, mniej lub więcej ważnych okoliczności wykorzystywany przez zazdrosnych przeciwników, jak wówczas przez Brutusa. Jeśli wysoki dygnitarz nie stara się doskonalić i ulepszać sytuacji, w której się znajduje, brak mu inteligencji godnej jego stanowiska. Naturalny impuls, by iść naprzód a nie cofać się jest niezbędnym warunkiem powodzenia w każdem przedsięwzięciu. Marja po namyśle postanowiła pójść za wskazaniem francuskiego przysłowia: "Szczęśliwy umiar we wszystkiem." Tak, będzie to dewizą jej panowania w Polsce. Patrząc teraz na malowniczą Warszawę, położoną wysoko nad brzegiem Wisły, zdała sobie lepiej sprawę ze swych licznych możliwości i nabierała przeświadczenia, że będzie mogła zdziałać tu wiele dobrego. Gdyby nawet nie była tak oddana swej ukochanej Francji i Kościołowi, dostatecznie dobrze orjentowała się w sytuacji europejskiej, aby rozumieć, że wpływy francuskie mogły przyczynić się tylko do

postępu Polski. Na myśl o wszystkiem, czego pragnęła dokonać, aby służyć nowej ojczyźnie, jej piękne jasne oczy rozświetliły się blaskiem szczęścia.

Gdy wspomniała o. Władysławie, ogarnął ją chłód, jakgdyby wiatr od Wisły przebił wielkie okna i zmroził nagle jej entuzjazm i wiarę w powodzenie. Uprzytomniła sobie straszliwy wstyd i okrutne upokorzenie, doznane dnia poprzedniego, gdy Władysław znieważył ją wobec polskich i francuskich dworzan. Odwróciła się od okna i uklękła na klęczniku:

"O Swięta Panno Niwerneńska, opiekunko Dobrej Miłości, pomóż mi, pomóż mi się spodobać! Daj mi cierpliwość, abym mogła zdobyć uczucie tego dziwnego człowieka, który tak głęboko zranił moją dumę, moją godność a pośrednio także obraził moją ojczyznę."

Podniosła się i zawołała na służbę. Nie powinna płakać, powinna być godna Gonzagów; musi mieć wiarę i odzyskać swą piękność. Łzy nigdy nie dodają urody. Raz jeszcze wspomniała francuskie przysłowie: "Miłości i nudy nie da się opanować przemocą." Nie, musi zdobyć nietylko przywiązanie ale i miłość Władysława i zdobędzie je!

Polacy, rozważała, są narodem rozumnym, niepodobnym pod żadnym względem do swych wrogów Tatarów. Polacy w swem pragnieniu zdobycia cywilizacji zachodniej, czego dowodem ich wielkie uwielbienie dla Francji, stanowili zawsze awangardę Europy na Wschodzie. Czyż nie była księżniczką francuską i jednocześnie królową tego inteligentnego narodu? Pozna ich sposób życia i obyczaje a jednocześnie wniesie im wdzięk sztuki, literatury, muzyki i zwyczajów francuskich. Zwolna dwór polski to polubi. Chciała tego dokonać i dokona! Postawiła sobie to za cel i dopnie tego; być może czekają ją nowe przejścia, ale przecież nie boi się cierpień.

Nie były to jednak proste sprawy. Choroba króla z jednej

strony i nieszczęsne zmęczenie Marji z drugiej sprawiły, że odnieśli oboje ze swego pierwszego spotkania jak najgorsze wrażenie. A pierwsze wrażenia nie zacierają się łatwo.

Prócz tego wszystkie kobiety na dworze ogarnęła zazdrość, najstraszliwszy demon tej planety. Patrzyły na wytworną księżniczkę francuską, jak na wyniosłą intruzkę, a nie jak na królowę swego kraju. Ileż księżniczek opuszczających własny kraj, aby zasiąść na obcym tronie, cierpiało tak samo? Karty historji pełne są podobnych okoliczności, los Marji nie był wyjątkowy.

Piękna panna Eckenberg, której udało się zdobyć sympatję Władysława po śmierci jego żony, nie miała zamiaru zrezygnować z tytułu oficjalnej metresy królewskiej. Postanowiła bronić swego stanowiska na dworze wszelkimi sposobami. Nie należy przypuszczać, że nieżyczliwy rycerz spełniając na kilka dni przed przyjazdem Marji szatańską misję, pominął piękną pannę i nie opowiedział jej skandalicznych historji, z któremi przyjechał do króla. Umiał dokonać właściwego wyboru między dworskiemi damami. Zazdrosna osóbka przy każdem spotkaniu z królem powtarzała plotki kawalera de Bois-Dauphin, nie szczędząc od siebie dwuznacznych aluzji i nowych szczegółów.

Pozatem Władysław, choć nie chciał przyznać się do tego przed samym sobą, był jakby onieśmielony wytwornością i nieco wyniosłem zachowaniem Marji, które królewska przyjaciółka określiła, jako arogancką pychę Francuzów. W ciągu wielu tygodni życie Marji było więcej niż nieprzyjemne, królowa jednak znosiła spokojnie wszystkie przykre incydenty —pomna na przysłowie zasłyszane w Mantui: "Fare l'imbecile per conquistare alle fine. (Udawać głupiego, aby wkońcu zwyciężyć.) Udawała więc, że nie słyszy złośliwych docinków i nie widzi drobnych afrontów. Nie zwracała też zupełnie uwagi na małostkowość panny Eckenberg, co było najlepszym sposobem, by ją osadzić na miejscu.

Szczęśliwie dla Marji marszałkowa de Guébriant była zawsze koło niej. Nic nie uchodziło jej uwagi; działała teraz nietylko aby wywiązać się ze swej misji, ale z prawdziwej miłości i szczerego uwielbienia dla królowej. Mówią, że w podróżach i grze ukazuje się prawdziwa natura człowieka. Pośród trudności i triumfów podróży Marja dała tyle dowodów odwagi, cierpliwości, troski o innych i pogody ducha, że pani de Guébriant nabrała szczerego podziwu dla charakteru królowej. Pełne zaufanie Marji do jej przyjaźni i częste odwoływanie się do jej rad wzruszało marszałkową głęboko. Rozumiały się doskonale a w obecnej sytuacji pani de Guébriant była poprostu nie do zastąpienia. Do wszystkich się uśmiechała, wszystkim miała coś do powiedzenia, jednym uprzejme słowo, innym dowcip i w ten sposób często uprzedzała zamierzone złośliwości. Po paru tygodniach panna Eckenberg ku zdumieniu wszystkich i ku jej własnemu zadowoleniu wyszła zamąż za młodego, bardzo bogatego szlachcica, który zabrał młodą małżonkę do swych posiadłości oddalonych przypadkowo (?) o setki kilometrów od Warszawy. Pierwsza trudność została pokonana.

Ale, bo zawsze jest jakieś "ale", dwaj najbardziej niechętni dworzanie, ci sami, który ułatwili pannie Eckenberg zajęcie jej dwuznacznej pozycji przy królu, nie zamierzali stracić swych drobnych wpływów i faworów szkatuły królewskiej. A że dość było młodych i pięknych kobiet śród dam dworu królowej, nędzni dworacy, Platz i Plattenberg, starali się wszelkimi sposobami ściągnąć uwagę króla na fraucymer jego małżonki. Młodziutka panna de Mailly, która pewnego razu udała się z królową na jedno z przedstawień teatralnych, często dawanych na dworze od czasu jej przyjazdu, poczuła się niemile zaskoczona, gdy wysłaniec królewski zawiadomił ją, że monarcha pragnie pomówić z nią na osobności. Zasłony wielkiej pustej loży były starannie opuszczone, król przyjął młodą damę z przesadną galanterją. Gdy jego zachowanie

minęło granice pochlebczej kurtuazji, panna de Mailly złożyła przed królem głęboki ukłon i rzekła:

—W sposobie, w jaki Wasza Królewska Mość zwraca się do mnie, jest coś trudniejszego do zrozumienia niż mowa polska.

—To dziwne, bo grzeczności pana Krasińskiego waćpanna rozumie bez trudu—odpowiedział król.

Pan Krasiński był bardzo urodziwym młodym szlachcicem, który zaręczył się z panną de Mailly, co trzymano jeszcze w tajemnicy.

Na to panna bez wahania:

—Pan Krasiński jest zwykłym szlachcicem. Aby pojąć w pełni słowa króla, trzeba być królową. Jeżeli Jego Królewska Mość pozwoli, zapytam Najjaśniejszą Panią, jak mam rozumieć naszą rozmowę.

—Widzę, moja panno,—wykrzyknął król—że nie powinienem powiedzieć ani słowa więcej.

Podczas tej schadzki w loży, teatr rozbrzmiewał oklaskami zachwyconych i oczarowanych widzów. Przemyślni technicy polscy dokazywali cudów w organizowaniu rozrywek na cześć nowej królowej. Zamiłowanie do mechaniki zaszczepiła w Polsce żona Zygmunta I, Bona Sforza, nosząca nazwisko jednego z najpotężniejszych rodów lombardzkich w Średniowieczu. Królowa włoska poślubiwszy króla polskiego, podobnie jak Marja Gonzaga, sprowadziła ze sobą wielu współziomków, między którymi znaleźli się także różnego rodzaju specjaliści techniczni. Zdolni Polacy nie zmarnowali tej lekcji i pilnie uczyli się nowych rzemiosł a zwykle trzeba na to sporo czasu; dobrego mechanika można wychować dopiero w ciągu trzech pokoleń. Marja zorjentowała się, że znajduje się w kraju, którego mieszkańcy odznaczają się niezwykłą pomysłowością i bardzo rozwiniętym smakiem artystycznym. Patrzyła teraz na scenę wielkiego teatru i podziwiała jak podnosi się w górę lub opuszcza na dół. De-

koracje zmieniały się jak za dotknięciem rożdżki czarodziejskiej i przesuwały się lekko z miejsca na miejsce. Wyobrażały one obłoki i niebo i dawały wspaniałe efekty świetlne, na owe czasy wręcz niepojęte. Miała wrażenie, że ogląda niebo w pełnym blasku dnia, potem znów noc oświetloną księżycem i błyszczącemi gwiazdami. Przedziwne urządzenia pozwalały przedstawiać na scenie piekło płonące prawdziwym ogniem, po chwili zaś morze pełne prawdziwej wody, po której pływały niewielkie okręty. Tancerze i tancerki baletu fruwali w powietrzu, unoszeni i opuszczani przy pomocy odpowiednio przeciągniętych niewidzialnych sznurów.

Jedną z tych niezwykłych scen opisał Polak Jarzemski. Na scenie widać było piękny ogród z kwitnącem drzewem pośrodku. Nagle przed olśnionymi widzami drzewo otworzyło się a z jego wnętrza wyszła piękna nimfa w zwiewnych szatach, połyskując kosztownemi kamieniami wplecionemi w warkocze. Była to najlepsza ówczesna śpiewaczka obdarrzona iście anielskim głosem.

Na dworze polskim dawały przedstawienia także słynne balety włoskie, równie doskonałe jak balety teatrów paryskich. Wszystko to przypadło Marji niezmiernie do gustu, czuła, że w dziedzinie sztuki będzie mogła dokonać wielu rzeczy. Później po opanowaniu języka polskiego zdobyła przyjaźń wojewody mazowieckiego Andrzeja Morsztyna, który poświęcił jej nawet swój wierszowany przekład "Cyda" i "Andromaki".

Cudowne sceny i żywe oklaski dały pannie de Mailly sposobność, aby niepostrzeżenie i ku wielkiemu swemu zadowoleniu wrócić de loży królowej. Ale przewrotność ludzka nie dała za wygraną a śród fraucymeru królowej dość było nadobnych panien. Platz i Plattenberg spiskowali dalej aż udało się im skierować uwagę królewską na inną osobę. Tym razem była to siostrzenica samej pani de Guébriant! Co za potworny pomysł! Wprawdzie pani de Guébriant znała ją

bardzo dobrze, ale wolała nie igrać z niebezpieczeństwem. Postanowiła wydać ją natychmiast zamąż. Wszystko to było naprawdę zawiłe i trudne!

Od przyjazdu królowej minęło już wiele tygodni a król wciąż ociągał się z dopełnieniem swych powinności małżeńskich. Pani de Guébriant ze swej znów strony nie zamierzała spędzić całego życia w Polsce, zdecydowała więc załatwić sprawę na swój sposób. W jednym z listów tak wyjaśnia swoją decyzję w sprawie dziwnego małżeństwa, którego losy wydawały jej się niepewne: "Wobec tego stanu rzeczy uważałam za swój obowiązek dać Jego Królewskiej Mości do zrozumienia w słowach tak delikatnych jak tylko na to pozwalały okoliczności, że nie mogę opuścić Polski dopóki nie będę pewna, że śluby małżeńskie zostały naprawdę spełnione. Moje uwagi i żądania nie rozgniewały króla, przeciwnie, następnego dnia zapowiedzał swą wizytę u królowej. Niemniej, uważałam, że będzie przezorniej, jeżeli i ja znajdę się tam w odpowiednim momencie. Zakrzątnęłam się dyskretnie, aby pozostać w małżeńskiej sypialni aż do czasu, kiedy mogłam sama zapuścić zasłony dokoła łoża królewskiej pary."

Opuśćmy i my zasłonę na ostatnie dni pobytu wielkiej ambasadorki w Polsce. Misja jej została wykonana, niewiele już mogła tam zdziałać. Postanowiła opuścić dwór polski razem z biskupem Orange. Pobyt na dworze sprawił jej wiele kłopotów ale z drugiej strony przyniósł jej wiele zaszczytów. U wszystkich zostawiła niezapomniane wspomnienie taktu, kultury, elegancji, dobroci i rozumu. Szczególnie poważnie traktowała swą misję i była całkowicie oddana Marji, Francji i swemu królowi.

Niektórzy kronikarze jej życia twierdzą, że wyjechała niezadowolona z nagród za poniesione trudy i że wszystkie dary polskiego dworu nie wydawały się jej dostatecznie hojne. Było śród nich napewno wiele podarków od Marji dla jej

anioła-stróża, o których kronikarze nie wspominają przez dyskrecję. Ale najgłębsze uczucia, najcenniejsze dary i najpiękniejsze słowa nie są nigdy wymieniane w oficjalnych sprawozdaniach. Pani de Guébriant opuściła zamek królewski w Warszawie żegnana przez biskupa poznańskiego ubranego w szaty pontyfikalne a na schodach zamkowych, zanim wsiadła do karety, otrzymała jeszcze jego błogosławieństwo. Przywileju tego dostępowali tylko monarchowie, ale Władysław nalegał na ten ceremonjał, aby okazać znakomitej damie jak wielki dla niej żywił szacunek.

Do powozu marszałkowej przypięto z tyłu ogromne kufry, w których mieściły się wspaniałe wschodnie kobierce, przetykane złotem i jedwabiem. Biskup Orange otrzymał piękne srebrne upominki, cyzelowane i ryte według polskich wzorów. Dla ukochanej pani de Choisy królowa, która nigdy nie zapominała o przyjaciołach, wybrała także kosztowne i prześliczne podarunki.

Pani de Guébriant miała uczucie głębokiego zadowolenia, że udało się jej spełnić trudną misję. Towarzyszył jej kronikarz, Jean Le Laboureur, który opisał podróż powrotną szczupłego orszaku hrabiny przez Europę do Francji, równie szczegółowo jak poprzednio drogę do Polski.

Marja z początku czuła się bardzo osamotniona i pozbawiona opieki. Jej piękny wygląd, o który dbała teraz, jak o zdrowie, jej takt i wdzięk wywoływały jednak szczery podziw u wszystkich i wzbudziły nawet—można to teraz powiedzieć—miłość trudnego małżonka. Ubierała się wytwornie, błyszczała zawsze dowcipem i inteligencją: była żoną i kochanką Władysława, króla Polski. W lecie 1646 Władysław i Marja udali się w podróż do Krakowa, gdzie zostali uroczyście koronowani, jako królewska para Polski. Podróż odbyli razem w tym samym powozie i dla wszystkich stało się teraz widoczne, że są ze sobą naprawdę szczęśliwi. Zapewne zdarzało się czasami, że Marja ulegając podszeptom

serca, wracała myślami do przeszłości, jednakże, jak wyraziła się w liście do przyjaciółki, "nie chciała spoglądać wstecz ani ulegać melancholijnym nastrojom, choć niekiedy trudno jej było pogodzić się ze zwyczajami, do których nie zdołała jeszcze przywyknąć."

Trzeba zaznaczyć, że miejsce pani de Guébriant zajął brat króla, kardynał, urodziwy Jan Kazimierz. Starał się pomagać Marji w trudnych chwilach, szczególnie gdy króla nękała podagra albo gdy wpadał w zły humor. Niestety z powodu swoich podróży nie mógł być często przy niej, ale kiedy to było możliwe, bardziej usiłował podtrzymać na duchu szwagierkę, niż pomóc bratu.

Bywały jednak dni, gdy Marję ogarniała wielka tęsknota za ukochaną Francją. Patrząc z balkonu zamkowego na majestatyczną Wisłę, prawie podświadomie i z pewnym smutkiem wracała myślami do pięknej i uśmiechniętej Loary, z którą wiązały ją głębsze i słodsze wspomnienia. Szerokie równiny Polski nie były podobne do kwitnącej Niwernji. Brakowało jej Fontainebleau, gdzie mogłaby spędzać jesień. Chociaż galerje zamkowe były piękne i wielkie, z westchnieniem wspominała mały balkonik swego pałacu w Nevers i piękny widok, który roztaczał się z okien na tę uroczą część Francji, gdzie wszystko było pokojem, dosytem i pięknem.

Jako królowa Polski Marja prowadziła nadal regularną korespondencję z Mazarinem, posługując się przeważnie szyfrem. Nie wahała się wyrazić mu swego zdziwienia co do wielu rzeczy, ani swych obaw o przyszłość Polski. Kardynał odpowiadał jej jasno i zawsze bardzo serdecznie, podkreślał jednak by przedewszystkiem dbała o dobre stosunki małżeńskie z Władysławem.

Marja Gonzaga wyczuwała instynktownie sytuację polityczną, niebawem też zdała sobie sprawę z poważnych niebezpieczeństw grożących jej nowej ojczyźnie. Wyprawa Władysława przeciw Moskwie zakończyła się wprawdzie

zwycięstwem, ale przez niezrozumiałą obojętność król nie zjawił się na Walnym Sejmie. Na mocy traktatu w Polanowie Władysław zrezygnował ze wszystkich swych praw suwerenności nad Moskwą. Trudną, a właściwie prawie niemożliwą rzeczą było ukrócić samowolę szlachty. U granic Polski Turcy i Moskale zaczynali się burzyć. Marja ocknęła się nagle w kraju o stale wzrastających trudnościach wewnętrznych i otoczonym ludami w stanie prawie jawnego buntu. Władysław, jako prawdziwy żołnierz, uważał, że nadchodzi czas, kiedy trzeba pokazać siłę. Nie był on jedynym człowiekiem u władzy, który myślał, że najlepszym sposobem, żeby zapewnić spokój wewnątrz kraju jest prowadzić wojnę na zewnątrz. Puszczanie krwi było w modzie; wojna zdawała się nieunikniona. Francja w owym czasie nie sprzeciwiała się temu zamiarowi, przeciwnie, wydawało się jej rzeczą pożądaną, aby Polska przez wojnę odzyskała wewnętrzną jedność. Mazarin miał nietylko szczery zamiar poprzeć króla polskiego w jego wojennych zamysłach, ale liczył także na Marję, której Władysław tyle zawdzięczał, że wesprze króla dobrą i mądrą radą.

Marja jednak nie chciała wojny. Mazarin z niemałem zdziwieniem dowiedział się od swego ambasadora, hrabiego de Brégy, o zdecydowanej postawie królowej, która zamierzała uczynić wszystko, co było w jej mocy, aby uniknąć konfliktu i przelewu krwi. Czas nie naglił, myślała, a rozpoczynać wojnę i do tego wojnę o niepewnym wyniku, znaczyło to samo co ogołocić skarbiec królewski, który niedawno napełniła swem złotem. Nie, tego nie chciała!

Wojsko polskie trzeba było zreorganizować, a jedynym funduszem króla była osobista fortuna Marji, owe 700 tysięcy funtów sterlingów w złocie, które spadły do szkatuły królewskiej, gdy podwoje zamku warszawskiego otwarły się przed córką księcia de Nevers. Marja należała do hojnych osób, ale jako Francuzka nie lubiła trwonić pieniędzy a for-

tuną swą umiała mądrze zarządzać. Uważała, że pożyteczniejszą rzeczą będzie otoczyć opieką lud polski. Przyjął ją tak serdecznie i rozumiał coraz bardziej; ona też zaczynała go kochać naprawdę. Chcę pokreślić te fakty, ponieważ pewni historycy nie oddali należytej sprawiedliwości tej szczodrej, inteligentnej i dzielnej Francuzce, która w chwili prawdziwej potrzeby oddała swej przybranej ojczyźnie samą siebie i całą swą fortunę. Marja uważała obowiązki królowej za najwyższy cel życia. Była kobietą godną podziwu. Kochała Francję, ale została królową Polski. Nie zdradziłaby nigdy kraju swego dzieciństwa, ale sądziła że przedewszystkiem musi brać pod uwagę interesy nowej ojczyzny. Była gotowa uczynić ze swego osobistego życia ofiarę, gdyby to było potrzebne narodowi polskiemu. Starała się nie zrobić nic, co wyszłoby na szkodę Francji, przedewszystkiem jednak myślała o Polsce. W jednym ze swoich słynnych listów pisała: "Sejm skończony. Wojenne zamysły króla zakłóciły bardzo spokój Rzeczypospolitej. Gdyby nie udało się usunąć pewnych rzeczy, nie osiągnęłabym moich zamierzeń. Cały ranek rozmawiałam z przywódcami różnych stronnictw i w dwie godziny potem, ku mojej wielkiej radości, miałam wszystkie głosy za sobą bez żadnego sprzeciwu ani odmowy."

Krytycy polityczni rozstrząsali długo wspomniane wydarzenia. Sądzili oni, że Marja Gonzaga nie miała doświadczenia politycznego, co było dalekie od prawdy, gdyż w ciągu całego życia stykała się z najznakomitszymi mężami stanu i największymi umysłami swej epoki. Widzieliśmy ją, jako młodą dziewczynę, przy boku ojca w Nevers i w czasie walk w Mantui, podczas zamieszek religijnych i w okresie dyskusyj nad nieszczęsnym traktatem hiszpańskim Cinq-Marsa. Niemniej wydaje się zdumiewające, że Marja zdobyła w krótkim czasie tak wielki wpływ na sprawy polskie. Miała utrwaloną pozycję, o czem świadczył rosnący jej autorytet śród szlachty, która odnosiła się do niej z coraz większym szacunkiem.

ROZDZIAŁ XI

Wielkie zmiany

Powodzenie i spokój, jak zawsze w życiu Marji, przeminęły rychło. W 1647 roku, zaledwie w rok po koronacji Władysław stracił jedynego syna, ośmioletnie, jasnowłose i pełne wdzięku dziecko, które miał z Cecylją Renatą. Od roku 1573 król był obieralny a syn królewski niezawsze dziedziczył koronę. Polacy mieli jednak szczególne przywiązanie do młodziutkiego królewicza i według wszelkiego prawdopodobieństwa osadziliby go na tronie. Król był bardzo przybity śmiercią syna a Marja, zawsze pełna współczucia a teraz przejęta sytuacją polityczną, martwiła się niemniej. Małżeństwo z Władysławem nie przyniosło jej dziecka, losy korony wydawały się niepewne.

Władysław rozdrażniony, że nie mógł wyruszyć na wojnę, jak tego pragnął, starał się rozerwać podróżując po swem królestwie i urządzając stale polowania, nawet w okolicach, gdzie lasy nie były bezpieczne. Marja przyjmowała wszystko z niezmiernym spokojem, coraz częściej tylko uciekała się do rad szwagra-kardynała, do którego odnosiła się ze szczerym podziwem. Starała się wmówić w siebie, że był to tylko podziw, ale głos wewnętrzny powtarzał jej niemiłosiernie, że jest to coś całkiem innego. Podczas gdy król gonił w kniejach za dzikami udało jej się doprowadzić do końca rzecz ważną i trudną: zorganizowała regularną pocztę między Francją a Polską. Była to naprawdę wielka zdobycz.

Mijały miesiące. Władysław zdawał sobie sprawę z ros-

nącego osłabienia kraju a także coraz bardziej rozpaczał z powodu śmierci syna, nie przerywał jednak swoich polowań, które nadal były głównem jego zajęciem. Z każdym dniem stawał się bardziej nerwowy. Miał zresztą dość powodów do niepokoju. Nie widział żadnego sposobu jak ukrócić samowolę panów ani jak zaradzić coraz większym komplikacjom powodowanym przez wrogów: Kozaków, Turków i Tatarów.

Trzeba tu dodać, że za owych czasów polowanie nie było w Polsce tylko sportem lecz często koniecznością: przez wytrzebienie dzikiej zwierzyny przywracano bezpieczeństwo mieszkańcom ogromnych obszarów, zagubionych w borach i puszczach. Król i szlachta oddawali się łowom z prawdziwą namiętnością. Przedewszystkiem znajdowali w nich wytchnienie od spraw publicznych. Powtóre stanowiły one jakby imitację wojny, jedynej zmiany w nieznośnej monotonji wiejskiego życia, daleko od wielkich zamków i rozrywek.

Z nudów można się powiesić, cóż dziwnego, że szlachta wolała polować na odyńce, wystawiając się na niebezpieczeństwo, niż prowadzić dostatnie życie nic nie robiąc. Z nadejściem jesieni, gdy bydło zamknięto już w oborach, ci mocni, zdrowi ludzie potrzebowali jakiegoś wysiłku, by wyżyć się i zabawić. W starych książkach polskich czytamy, że "nawet panowie, którzy mieli tylko pięć, sześć wsi, uważali łowy za rzecz konieczną." Polowania służyły ponadto do zaprawy pachołków, którzy w przyszłości mieli być użyci jako żołnierze. W polowaniach brali udział łowcy, dojeżdżacze, konie i psy. Podobnie jak księcia sądziło się według wystawności jego dworu, magnata można było ocenić z liczebności orszaku, z którym ruszał na nieprzyjaciela, choćby to był tylko wilk, dzik czy niedźwiedź.

Jeden ze starych kronikarzy powiada, że "gdy przejeżdża się przez kraj słowiański w dzień Świętego Michała albo w wigilję Bożego Narodzenia, słychać tylko trąbkę myśliwską, szczekanie psów i echa wystrzałów. Dzikie zwierzęta uchodzą

przed niebezpieczeństwem, za niemi gonią psy i konie; ma się wrażenie, że cały kraj, ludzie i zwierzęta ogarnęło szaleństwo; po wsiach za przejeżdzającymi pokrzykują kobiety, dzieci i starcy." Przybory myśliwskie, stroje i broń odznaczały się, jak wszystko w Polsce, wielką wystawnością. Lasy, pełne przeróżnej zwierzyny, dostarczały zapalonym myśliwym prawdziwej rozkoszy.

Jedno z takich polowań stało się prawie legendarne. Odbyło się w lasach księcia Hieronima Radziwiłła, magnata litewskiego. Pan ten pragnąc uczcić koronację królewską, zaprosił monarchę do siebie i zapytał, czy zechciałby wziąć udział w połowaniu. Miało ono się odbyć na równinnych, bezdrzewnych polach, rozciągających się koło książęcego zamku. Władysław odpowiedział z uśmiechem, że trudno myśleć o łowach, gdy wokół nie widzi się lasów.

—To nic nie szkodzi,—odrzekł książę,—zapraszam Jego Królewską Mość na dziki, jelenie i łosie.

Gdy nazajutrz zajechały sanie królewskie wraz z pocztem dworzan i pięknych pań, król spostrzegł, że tam gdzie poprzednio rozciągała się bezdrzewna równina, wyrósł nagle wielki las. Pośrodku stał pawilon z kutego żelaza, wewnątrz urządzony z przepychem. Król i książęta zajęli tam miejsca i w otoczeniu dworu przyglądali się malowniczym łowom. W pewnej chwili ku bezmiernemu swemu zdziwieniu widzowie ujrzeli jak ze wszystkich stron nadciągają niedźwiedzie, wilki i dziki, niczem w dziewiczej puszczy. Polowaniem kierowało osiemdziesięciu łowczych Radziwiłła, ubranych w bogate stroje. Specjalnie tresowane psy naganiały zwierzynę w stronę pawilonu, skąd myśliwi strzelali do niej bez pudła. Król sam zabił trzy dziki. Książę miał na rozkładzie kilka sztuk grubego zwierza, śród nich niedźwiedzia, 'którego powalił walcząc z nim wręcz, co zyskało mu wielką sławę. Łowy rozpoczęły się o dziesiątej rano i trwały do czwartej popołudniu, poczem odbyła się wielka uczta.

Kronikarz podaje następujący komentarz do opisywanego polowania. "Radziwiłł chciał roztoczyć przed królem i dworem całą swą wspaniałość i potęgę. Na kilka dni przed łowami przeprowadził wszystkie niezbędne do nich przygotowania. Tysiące ludzi wykopywało w lasach drzewa z korzeniami i przewoziło je pod zamek, gdzie znów tysiące innych pracowało nad tem, by płaskie pola pokryły się prawdziwym lasem. Drzewa przesadzono w ciągu jednej nocy. Zwierzynę pojmaną w sieci sprowadzono z lasów litewskich. Oczywiście kosztowało to istną fortunę, ale Radziwiłł lubił chełpić się swem bogactwem."

Królowie polscy mieli w zwyczaju posyłać wszystkim monarchom europejskim wędzone mięso żubrów i innej dziczyzny, przyrządzone z przeróżnymi korzeniami na sposób polski. Tak oto Władysław polował, pił i nie oszczędzał szkatuły, by zapomnieć o troskach i znaleźć spokój dla starganych nerwów.

Pewnego dnia wrócił z podróży do Rzymu Jan Kazimierz i poprosił o audjencję u swej czarującej szwagierki. Świeciło wiosenne słońce, pola pokryła pierwsza zieleń a w powietrzu unosił się zapach ockniętej ziemi. Jan Kazimierz rad był z powrotu do kraju i cieszył się (nawet bardziej, niż chciał się do tego przyznać), że znowu zobaczy Marję.

Władysław wrócił właśnie z wielkich łowów, ostatnich w tej porze roku. Był coraz bardziej nerwowy i dokuczliwy. Marja znosiła cierpliwie i spokojnie wybuchy jego gwałtowności, ale często zdawało się jej, że nie wytrzyma już dłużej. Nigdy nie wiedziała kiedy król wróci z polowania ani w jakim nastroju. Z dzikim krzykiem wydawał wtedy rozkazy, gniewał się na służbę i potrząsał rajtpajczą na wszystkie strony. Stawał się doprawdy nie do zniesienia. Zły jego humor trwał zwykle do obiadu a pogarszał się jeszcze po wypiciu kilku szklanic przy posiłku.

Jan Kazimierz przybył do Warszawy rankiem i nie zwleka-

jąc zgłosił się do królowej. Marja ucieszyła się niezmiernie na wiadomość, że znów będzie miała przy sobie swego opiekuńczego ducha. Pomijając już trudne pożycie z Władysławem, czuła się w ostatnich miesiącach zmęczona i pełna goryczy. Wiedziała, że w sprawach publicznych zaniedbywano wiele rzeczy, ale sama nie umiała złemu zaradzić. Pragnęła widzieć kardynała, pomówić z nim o wszystkiem i spytać go o radę. Ten dobry i rozumny człowiek z pewnością jej pomoże. Jakże się cieszyła z jego powrotu! Postanowiła poprosić go aby spożył z nią posiłek. Jeśli król wróci w tym czasie z łowów, może brat zdoła wpłynąć na niego i jakoś go uspokoić. Co za szczęście!

W chwili gdy usłyszała, że pokojowcy otwierali wielkie drzwi apartamentu królewskiego i pomyślała, że za chwilę ujrzy znowu Jana Kazimierza, zarumieniła się z radości, choć był to może żywszy rumieniec, niżby przystało na wizytę kardynała. Stropiona swem podnieceniem spojrzała w wielkie weneckie lustro, w którem odbicie jej postaci promieniało pełnym blaskiem urody. Czemu jej zielone oczy błyszczały takiem światłem a uśmiech jej był tak radosny? Nie umiała na to odpowiedzieć i nie miała czasu o tem myśleć, bo usłyszała, że nadchodzi Władysław, krzycząc głośno na służbę, która zbyt powoli zdejmowała z niego opończę. "Boże, myślała Marja, nic mi się nie udaje. Nie mogę nawet spędzić paru chwil na spokojnej i miłej pogawędce z kardynałem. Może w obecności Jana Kazimierza król będzie spokojniejszy i mniej brutalny. To jedno czego mogę się jeszcze spodziewać."

Stała spokojnie czekając na jego wejście. Z kurytarza wciąż było słychać łajania Władysława, wreszcie król wpadł do salonu; w tej samej chwili brat jego słysząc zdaleka hałasy i krzyki, pośpiesznie wszedł przez drzwi z przeciwległej strony. Bracia zmierzyli się wzrokiem, potem popatrzyli na Marję. Jakieś niewytłumaczone napięcie zatrzymało ich przez

chwilę na miejscu. Z kłopotliwej sytuacji wybawiła ich królowa. Zbliżyła się do Jana Kazimierza, skłoniła się przed nim głęboko i rzekła:

—Oboje z królem jesteśmy bardzo szczęśliwi, że możemy gościć Jego Eminencję.

Władysław z trudem hamował swą wściekłość, ale wobec brata nie śmiał urazić królowej. Podniesionym głosem dał służbie rozkazy dotyczące koni i stajen, potem rzucił się na fotel i wskazał miejsce kardynałowi.

Trzeba pamiętać, że Jan Kazimierz należał do zakonu Jezuitów zanim został kardynałem. W rozmowie, która potoczyła się teraz, bronił księży jezuickich na Ukrainie, którzy próbowali nawracać Kozaków na katolicyzm, używając zbyt ostrych metod.

—Nigdy już nie odzyskamy zaufania Ukrainy po wszystkiem co zaszło w roku 1638,—gniewał się Władysław.—Dlaczego księża jezuiccy nie działali spokojniej i z większym taktem? Nie można przecież tak nagle zmienić tradycji ludu.

Było to powiedziane z wyraźnym zamiarem podrażnienia brata. Jan Kazimierz wiedział dobrze, iż Jezuici starali się z nadmierną gorliwością zmusić Kozaków do porzucenia dawnej wiary i że pod wpływem szlachty próbowali odebrać im swobodę wyznań. Podniósł się i podszedł do okna, aby uspokoić wzburzenie i przygotować odpowiedź:

—Wydaje mi się, drogi bracie, że byłoby znacznie lepiej, gdybyś mniej uwagi poświęcał moim księżom na Ukrainie a starał się raczej ukrócić samowolę twojej szlachty. Jeżeli nie będziesz ostrożny, obezwładnią cię zupełnie. O ile dążysz do zbrojnej wyprawy, pierwszą rzeczą jest przekonać poddanych o obowiązku lojalności wobec kraju. Odniosłeś łatwe zwycięstwo nad Rosjanami, ale kto wie, czy ten naród zechce dotrzymać obietnicy i zostawi w spokoju Inflanty i Kurlandję i inne kraje wymienione w traktacie? Pamiętasz niewątpliwie, że pod bokiem masz Tatarów, którzy jeśli nie zaczniesz dzia-

łać, połączą się z Kozakami, aby zniweczyć twoje plany, chociaż jeszcze dotychczas są nieprzyjaciółmi.

Marja dobrze wiedziała co Władysław chciał w tej chwili odpowiedzieć, ale czuła, że król nie zdobędzie się na tę odwagę. Królowa była świadoma faktu, że Austrja, która podczas pierwszego małżeństwa Władysława zachowywała spokój, teraz niechętnem okiem patrzyła na wpływy francuskie i z dnia na dzień coraz bardziej zagrażała Polsce. Wiedziała również, że niebezpieczeństwo ze strony Ukrainy było znacznie większe, niż to mógł ocenić Władysław w swej zaciekłości, i Jan Kazimierz, który przebywał często poza krajem. Marja rozumiała pragnienie zemsty i nienawiść Kozaków do Polski, chociaż rozstrzygające wypadki rozegrały się kilka lat temu. Czyż w istocie w roku 1638 nie odebrano im bez powodu wszystkich przywilejów, odznaczeń i tytułów, tak przez nich cenionych a tak łatwo przyznawanych im przez Polskę? Przecież wielu z tych wspaniałych żołnierzy odznaczyło się w wojnach z Turkami, Moskalami i Tatarami i przyczyniło się znacznie do zwycięstw, z których tak dumny był Władysław.

Ze szczerą troską zwróciła się Marja do króla:

—Mściwość jest drugą naturą tego ludu. Czy nie można w jakiś sposób uspokoić ich wzrastającego wzburzenia? Z tego co słyszę z różnych stron zrozumiałam, że Tatarzy i Kozacy są na drodze do tajemnego porozumienia.

—To niemożliwe—krzyknął gniewnie Władysław—Kozacy i Tatarzy są zaciekłymi wrogami.

—Tak,—odrzekła Marja—ale pragnienie zemsty łagodzi tę wzajemną nienawiść i może ich zjednoczyć przeciw wspólnemu wrogowi. Wydaje mi się, że należy uczynić wszystko, aby doprowadzić do zgody z Kozakami.

Zwracając się do kardynała, ciągnęła dalej:

—Jestem pewna, że Jego Eminencja wesprze nas swoją radą.

Spojrzała w oczy Jana Kazimierza.

Miło jest człowiekowi o silnym charakterze służyć innym pomocą, ale Jan Kazimierz nie zabrał głosu w tej sprawie. Czuł, że po długiej nieobecności trudno było mu rozprawiać o sytuacji politycznej kraju, a jeszcze trudniej dawać rady, nie zaczerpnąwszy przedtem dokładnych wiadomości. Marja przezornie zmieniając temat rozmowy, zapytała o Ojca Świętego, którego książę musiał widzieć przed opuszczeniem Rzymu. Przez okno padały promienie słońca, rozmowa przybrała ton przyjemniejszy. Jan Kazimierz starannie unikając szczegółów swego wyjazdu z Watykanu, mówił z zachwytem o Innocentym X (Pamphilim), od którego przywiózł bratu i królowej błogosławieństwo papieskie.

Władysław, zmęczony polowaniem, uznał, że nadeszła właściwa chwila, aby opuścić towarzystwo. Wielki piec kaflowy łagodnie ogrzewał mały salonik, król wstał i skierował się ku drzwiom. Zanim opuścił komnatę, zwrócił się do kardynała i Marji w gwałtownym tonie:

—Mam wiele pracy, nie będę na obiedzie. Wasz pesymizm odbiera mi apetyt. Wolę jeść sam.

Jan Kazimierz i Marja nie mogli przez chwilę przemówić słowa. Oczy ich się spotkały i nagle wyczytali w nich rzeczy, o których dotychczas nie wiedzieli. Marja opuściła powieki, wargi jej drżały ze wzruszenia. Była jednocześnie zmieszana i szczęśliwa. Nie śmiałaby się przyznać, że serce jej bije bardzo mocno a uczucie, które wypełnia całą jej istotę, nie kończy się na wdzięczności. Marja należała do tych rzadkich kobiet, u których rozwój intelektualny nie paczy normalnej natury ani nie tłumi namiętności. Inteligentna i wykształcona, pozostała kobietą spragnioną miłości i pełną uczucia. Tę równowagę duszy i ciała zawdzięczała silnemu charakterowi.

Jan Kazimierz był jeszcze bardziej wzruszony. Uwielbienie dla królowej łączyło się w nim z gorącem pragnieniem, by

otoczyć opieką i podtrzymać na duchu kobietę, dla której żywił prawdziwą przyjaźń. Nie chciał się przyznać nawet sam przed sobą do innych pobudek, niż poczucie obowiązku wobec żony brata. Kierowany jednak jakąś tajemniczą siłą zbliżył się do Marji, pochylił się nad nią i przejęty większem wzruszeniem niżby się godziło bratu czy kardynałowi, złożył na czole jej pocałunek. Potem odwrócił się jakby zdumiony własnym uczynkiem i chwytając kardynalski kapelusz, który przypomniał mu o jego ślubach, pożegnał się szybko z królową. Minął pośpiesznie korytarze zamkowe i przez wielką bramę wyszedł na ulicę. Przechodnie rozstępowali się przed nim, dając przejście Jego Eminencji. Jan Kazimierz był bardzo kochany przez lud warszawski i cały kraj. Wielu Polaków pragnęło dla niego korony królewskiej. Nie patrzył teraz na nikogo, szybko doszedł do wybrzeża. Stamtąd roztaczał się widok na rzekę i szerokie równiny Mazowsza. To była Polska, jego kraj i ojczyzna. Ale w tej chwili inny obraz przesłaniał mu wszystko. Widział przed sobą królowę, patrzył w jej piękne, tajemnicze oczy. Jan Kazimierz poznał świat i miłość zanim przyjął święcenia, które pozbawiły go obu tych rozkoszy, ale żadna kobieta nie budziła w nim przedtem takich wzruszeń jak Marja.

W pobliskich drzewach usłyszał pierwszy śpiew pierwszego wiosennego ptaka i jednocześnie owiał go chłodny wiatr ciągnący od rzeki. Jan Kazimierz zadrżał. Potrzebował tego rzeźwego powiewu, aby wrócić do rzeczywistości. Przeżegnał się i zwolna ruszył ku miastu. Na widok pierwszego kościoła przeżegnał się znowu i wszedł do wnętrza.

—Zbyt wielki dla mnie zaszczyt—wyszeptał przechodzący proboszcz.

Kardynał dał młodemu księdzu błogosławieństwo i ukląkłszy przy najbliższym ołtarzu, modlił się gorąco o siłę, stanowczość i przewodnictwo boskie.

Gdy Jan Kazimierz wrócił na zamek, odzyskał już zupełnie

spokój i panowanie nad sobą. Był to piękny mężczyzna, słusznego wzrostu, o delikatnych rysach, wytworny w obejściu. Wchodząc do sali jadalnej na zamku, złożył królowej ukłon, w którym ktoś mógłby dostrzec lekki odcień oficjalności.

Władysław, jak zapowiedział, nie zasiadł z nimi do stołu, ale dał znać, że zjawi się wieczorem na uczcie, którą polecił przygotować na powitanie brata. W sercu Marji walczyły dziwne uczucia, nie ukrywała jednak przed sobą, że obiad z Janem Kazimierzem bez Władysława sprawiał jej głęboką przyjemność. Wieczorem ku czci kardynała zaproszono na zamek wielu prałatów i biskupów warszawskich.

Jean Le Laboureur przekazał nam opisy kilku wielkich uczt z okresu, kiedy przebywał na dworze polskim; znajdujemy je także u ówczesnych polskich pisarzy. Rodzina królewska i honorowi goście zasiadali przy dużym głównym stole, miejsce szlachty i młodych dworzan w służbie królewskiej znajdowało się na przeciwległym końcu sali bankietowej. Srebro polskie słynęło w całej Europie. Ogromne półmiski zdobione były rytymi i wytłaczanymi ornamentami niezwykłej piękności i kunsztu. Naczynia do sosów, jarzyn i korzeni miały kształty wyszukane. Mięsa podawano ułożone w piramidę, przyczem najlepsze kąski układano na wierzchu. Półmiski obnoszono oczywiście najpierw przy stole królewskim. Zaczynano zwykle od dziczyzny, do której zaliczano najrzadsze okazy ptactwa. Zdarzało się—pisze jeden z kronikarzy—że gdy wielkie półmiski dochodziły do dworzan, zostawały na nich tylko kości wieprzowe ale młodzi ludzie woleli kontentować się tem, niż wstać głodni od stołu." Napoje podawano w pięknych złotych i srebrnych dzbanach. Wina były ciężkie i różnej jakości, zależnie od biesiadników.

Zamek królewski stanowił jakby mały kraj sam w sobie; a magnaci w całem królestwie naśladowali obyczaje dworu. Wola pana, króla czy magnata, była najwyższem prawem. Wielcy panowie często nie byli pobłażliwi dla swych pod-

danych i dawali nie najlepszy przykład drobniejszej szlachcie. Ochmistrz dworu chłostał chłopców służebnych za najmniejsze przewinienie. Opowiadają, że razu pewnego, gdy młody dworzanin usługujący przy stole królewskim upuścił talerz, dostał za to dwadzieścia batów. Ochmistrz tłumaczył, że "baty są jedynym sposobem trzymania młodzieży w rygorze i posłuszeństwie."

Przepadano wówczas za osobliwemi dziwactwami natury; pozwalano im nawet odgrywać do pewnego stopnia rolę "błaznów dworskich". Według kroniki opisującej ucztę wydaną przez króla na cześć Jana Kazimierza, na sali bankietowej zjawił się dziwny stwór, ni to niedźwiedź, ni człowiek. Zwierzę miało sierść niedźwiedzia, twarz ludzką, długą brodę, paznokcie zamiast pazurów i prawie ludzkie ręce. Niesamowite stworzenie krążyło swobodnie śród biesiadników, mimo że nikt nie mógł przewidzieć, co niedźwiedź zrobi za chwilę i do czego jest zdolny. Jedni mówili, że jest to ludzkie dziecko, wykarmione niedźwiedziem mlekiem i wychowane przez niedźwiedzicę, inni, że potwór ten narodził się "ex seminae viri cum ursa". Obecność niedźwiedzia w sali, zapełnionej przez wielu dostojników kościoła i wybitnych gości, bawiła Władysława w widoczny sposób. Król opowiadał gościom, jak dwu myśliwych porwało niedźwiadka i jak napadła ich i poraniła rozjuszona niedźwiedzica. Marja, która zawsze starała się przystosować do sytuacji, chcąc cały incydent uczynić mniej nieprzyjemny, wzięła skórkę gruszki, posypała ją cukrem i dała zwierzęciu. Niedźwiadek wziął skórkę do pyska, potem wypluł ją na łapę i rzucił prosto w twarz królowej. Król zamiast rozkazać usunąć niedźwiedzia, wybuchnął rubasznym śmiechem. Goście, a szczególnie Jan Kazimierz nie wiedzieli gdzie się podziać ze wstydu i z trudem hamowali oburzenie. Paru niższych dworaków poszło za przykładem króla i śmiało się równie wulgarnie jak ich pan. Ludwika Marja nie miała jednak

zamiaru stać się tematem pośmiewiska. Szybko powiedziała coś po francusku do Władysława, na co on znów wybuchnął śmiechem. Królowa wstała wtedy od stołu i opuściła salę. Jan Kazimierz zrobił ruch jakby chciał iść za nią, potem jednak bojąc się, że pogorszy jeszcze sytuację, pohamował się i uczta potoczyła się dalej. O historji tej opowiada pewien szlachcic polski, który opisał ją ze wszystkiemi szczegółami.

Wieczerza dobiegła końca. Muzycy opuścili salę, damy i dworzanie udali się do siebie. Król w swoich komnatach klął jak zawsze pokojowców. Był poważnie zaziębiony. Początek wiosny jest często zdradziecki a ostatnie polowanie na dziki wyczerpało Władysława nadmiernie. Nazajutrz dostał gorączki a rozdrażnienie jego przeszło wszelkie granice. Marja, jak zawsze oddana i gotowa znieść wszystko, błagała go aby przez parę dni odpoczął. Niebo było pochmurne, zanosiło się na powrót zimy. Wszystko wróżyło złą pogodę. Rozgorączkowanemu i zdenerwowanemu Władysławowi trzeba było tylko tej małżeńskiej rady, aby zdecydował się wyjechać natychmiast na jeszcze trudniejszą i bardziej męczącą wyprawę niż ta, z której właśnie wrócił.

Wszystkie przepowiednie złej pogody, przewidujące śnieg, mróz i wiatr, okazały się prawdziwe. Władysław zatrzymał się w zamku mereczyńskim między Grodnem a Wilnem, chory, z wysoką gorączką i bez trofeów myśliwskich.

Zaraz po otrzymaniu wiadomości o chorobie króla Marja wezwała kardynała. Trzeba było jechać natychmiast. Przybyli jak można było najszybciej do myśliwskiego zameczku, którego Władysław nie miał już nigdy opuścić. 20 maja 1648 roku dzwony z wieży kościoła Swiętego Jana oznajmiły mieszkańcom stolicy, że król ich, Władysław IV nie żyje.

ROZDZIAŁ XII

Jan Kazimierz

W Polsce nie można było powiedzieć: "Król umarł, niech żyje król", bo według konstytucji nowy monarcha musiał być wybrany przez naród. Marja znalazła się teraz w smutnej i trudnej sytuacji. Była wdową po obieralnym królu Rzeczypospolitej-Królestwa, zdawała sobie sprawę z potęgi możmowładców i wiedziała, że potęga ta staje się coraz bardziej niebezpieczna. Wojewodowie myśleli raczej o powiększeniu swych włości, władzy i osobistego majątku niż o podtrzymaniu monarchji. Konstytucja Polski należała do szczególnych dokumentów; w najwyższym stopniu demokratyczna, doskonała może w teorji, okazała się trudna i prawie niemożliwa do wprowadzenia w życie. Od XV wieku niemal wszystkie monarchje w Europie były absolutne. Polska porzuciwszy tradycję, w przeciwieństwie do wszystkich innych krajów, stworzyła formę rządu, która z biegiem czasu miała się stać przyczyną jej upadku.

W owym czasie Polska rozciągała się od morza Bałtyckiego do morza Czarnego i obejmowała północne Prusy, Łotwę i Estonję; na zachodzie granica jej biegła przez Sląsk, na południu zagarniała Ukrainę, leżącą między Dnieprem i Dniestrem, z jej szerokiemi równinami i dzikimi Kozakami zaporoskimi. Na wschodzie graniczyła z Polską formująca się dopiero podówczas prawie barbarzyńska jeszcze Moskwa. Obszar Rzeczypospolitej był bardzo rozległy, zamieszkiwały ją ludy różnych ras i wyznań: jako poddani jednego króla

żyli tam razem katolicy, prawosławni, kalwiniści, luteranie, Żydzi i mahometanie. Na domach modlitwy powiewały proporce najróżniejszych kształtów i barw.

Aby panować nad tak różnorodnymi ludami, trzeba było skupić władzę w jednem ręku, co niestety dalekie było od realizacji. Pod koniec panowania Jagiellonów, którzy dzięki zjednoczeniu władzy (utrzymanej jeszcze przez Stefana Batorego u schyłku XVI wieku) zapewnili Polsce dobrobyt i powodzenie polityczne, korona stała się elekcyjna. Niedługo potem dynastja Jagiellonów wygasła. W ten sposób po śmierci każdego króla następował w Polsce okres bezkrólewia, który sprzyjał konszachtom z zagranicą a uprzywilejowanej szlachcie i panom dawał sposobność powiększania wpływów ze szkodą władzy królewskiej.

Biedna Marja musiała stawić czoło wszystkim tym trudnościom. Studjowała pilnie każdy punkty polskiej konstytucji.

"Naród ma prawo wybierania króla. Król nie może, bezpośrednio ani pośrednio, mianować swego następcy. Żaden król nie może przyjąć tytułu monarchy dziedzicznego. Żaden król nie może, bez jednomyślnej zgody Sejmu, wypowiedzieć wojny, podnieść podatków i opłat celnych, ani wysłać posłów do obcych krajów."

"Sejm będzie zwoływany co dwa lata lub częściej, jeśli zajdzie potrzeba. Trwanie sesji nie może przeciągać się ponad sześć tygodni. Urzędy publiczne i dzierżawy królewskie mogą być powierzane tylko szlachcie polskiej, z wyłączeniem wszelkich cudzoziemców.

"Król nie może zawrzeć małżeństwa ani rozwieść się bez zgody Senatu. Jeśli król w jakikolwiek sposób uchybi w dochowaniu przywilejów wolności, immunitetu podatkowego albo innej klauzuli, którą poprzysiągł dotrzymać, jego poddani będą w prawie uważać się za zwolnionych od przysięgi wierności."

Trzeba pamiętać, że zaczynało już wtedy wchodzić w życie

liberum veto, na podstawie którego jeden głos sprzeciwu mógł nietylko uniemożliwić każdą przedsięwziętą akcję, ale nawet zerwać Sejm.

Łatwo sobie wyobrazić, że król ograniczony w ten sposób przez konstytucję, nie posiadał nawet cienia władzy. Jeśli chciał dokonać zmian w systemie rządzenia musiał przeprowadzać swoje plany potajemnie, uciekając się przeważnie do obcej pomocy. Im bardziej szlachta polska ograniczała prawa króla, tem więcej było zamieszek w kraju.

Konstytucja istniała już oddawna i z biegiem czasu wiele jej praw wyszło z użycia. W żadnem społeczeństwie żadna grupa ludzi, ani napewno żadne ciało prawodawcze nie potrafi sprawować rządów nad narodem, jeśli głos jednego człowieka może unieważnić wysiłki pozostałych członków zgromadzenia. Niestety takie były prawa, wobec których stanęła teraz Ludwika Marja. Nie miała przytem żadnej nadziei, że uda się jej zmienić od wielu lat przyjęte przez naród ustawy. Mogła tylko liczyć na to, że nikt nie będzie studjował konstytucji tak uważnie jak ona i że dzięki wrodzonemu taktowi i zręczności zdoła mimo wszystko pozyskać możnowładców dla siebie.

Marja wiedziała, że jako kobieta i królowa, nie była obojętna Janowi Kazimierzowi; wiedziała również, że naród polski chętnie wybrałby go na króla. Ale Jan Kazimierz nosił kapelusz kardynalski a o królu kardynale nie mogło być mowy. Ze swej strony Jan Kazimierz czuł, że po śmierci brata zarówno jego uczucia jak i patrjotyzm stały się niejako obowiązkiem i nakazują mu nie opuszczać Marji w tym trudnym okresie.

Pogrzeby urządzano w Polsce z niezwykłym przepychem. Pod względem wystawności przewyższały one nawet przyjęcia królewskie. Nabożeństwa żałobne trwały cztery dni. Gdy umierał wielki wódz pogrzeb przygotowywano niekiedy przez kilka miesięcy; królów chowano pośpiesznie a to z

powodu konieczności zwołania sejmu elekcyjnego celem wyboru nowego władcy.

Jak należało się spodziewać, pogrzeb Władysława należał do najwspanialszych, tembardziej że jeden brat był kardynałem a drugi biskupem. Na uroczystości żałobne zjechali się wszyscy biskupi królestwa, zaproszono też przeszło stu kanoników i tysiąc księży. Wynagrodzono hojnie wszystkich, nawet duchownych mniejszego i najmniejszego znaczenia, nie pomijając także najmłodszych. Okazałość tych darów miała, jak się zdaje, wyobrażać szczodrość zmarłego monarchy.

Miód, wino, piwo i gorzałka płynęły obfitym strumieniem. W salach bankietowych zamku zastawiono wielkie stoły i podawano zimne mięsa i ciasta. Jan Kazimierz chociaż był kardynałem, musiał co wieczór pełnić honory domu. W ucztach brali udział biskupi i najwyżsi dostojnicy dworu. Stare kroniki wspominają, że dla znakomitych gości przygotowano jedenaście beczek burgunda, szampana i reńskiego, a dla pośledniejszych dwadzieścia węgierskiego. Przez cztery dni rozlegały się co pewien czas armatnie strzały.

Marja musiała być obecna na wszystkich uroczystościach i ucztach. Miała wyrazić w ten sposób swoją boleść i okazać przynajmniej pozorne zainteresowanie dla dziwnych obyczajów.

Pogrzeb odbył się z kaplicy Świętego Jana, która była tak wielka, że nazywano ją kościołem. Trumnę królewską umieszczono na wysokim piedestale przed wielkim ołtarzem tej najpiękniejszej świątyni warszawskiej. Trzech młodych rycerzy, synów najznakomitszych rodów weszło do kościoła, niosąc rycerskie insygnja króla: szablę dzidę i strzałę. Podszedłszy do piedestału, złożyli przed nim głęboki ukłon, potem jednocześnie złamali broń królewską o srebrną trumnę.

Gdy wreszcie uroczystości dobiegły końca i w dwa dni po nich ustały strzały armatnie, Marja z głębokiem westch-

nieniem ulgi powitała ciszę, która zaległa dokoła. Wiedziała dobrze, iż nie powinna była się przyznać nawet przed sobą do wyczerpania i zmęczenia. Niosła na sobie wielką odpowiedzialność wobec Polski i Francji, musiała także pomyśleć o swojem własnem życiu.

Podczas uroczystości pogrzebowych i następnych dni żałoby Jan Kazimierz patrzył na Marję z większym zachwytem, niż sobie na to nawet w marzeniach pozwalał. Jej spokój i godność, wdzięk, czarowny uśmiech i to, z czego oboje w duszy zdawali sobie sprawę — wzajemne, coraz bardziej rosnące zrozumienie,—przywodziło mu na myśl wiele rzeczy nie mających nic wspólnego z powołaniem kardynała. Jeszcze przed wyjazdem z Rzymu, jakby w przeczuciu tego, co miało nastąpić, poprosił papieża Innocentego X o audjencję; Ojciec Święty wspomniał mimochodem, że tron w Polsce jest obieralny i na pytanie Jana Kazimierza o przyszłość korony, postawione z wielkim taktem i pozorną obojętnością, dał mu z uśmiechem do zrozumienia, że nie przeciwstawi się jego wyborowi na króla; przeciwnie Jego Świętobliwość udzielając kardynałowi błogosławieństwa na drogę, oświadczył, że zwolni go nawet ze ślubów, aby mógł w pełni poświęcić się sprawowaniu rządów. Wtedy Jan Kazimierz myślał tylko o swych obowiązkach wobec kraju, teraz także o tem, co było drogie jego sercu. Pamiętał, jak po śmierci ojca Zygmunta III w 1632, Konstancja Austrjacka, jego ukochana matka, do której był bardzo podobny, radziła mu, aby dołożył starań i dał się wybrać na króla. Z natury bardzo lojalny, a przytem świadomy faktu, że jego despotyczny i do przesady pobożny ojciec wyżej stawiał twardy charakter Władysława, Jan Kazimierz stanął na czele partji, która popierała wybór brata i po elekcji pierwszy złożył mu powinszowania.

Jeździł on często do Hiszpanji i do Włoch, ale najdłuższe podróże odbywał po Francji. Gdy w roku 1638 wracał z Hiszpanji, Richelieu niepewny zarówno jego papierów, jak i

polityki, kazał go w Marsylji aresztować pod pozorem, że dokumenty podróżne nie były w porządku. W istocie Richelieu chciał się upewnić czy Jan Kazimierz nie przykładał ręki do konszachtów z Hiszpanją, która wtedy była w wojnie z Francją.

Dziwnym zbiegiem okoliczności biedna Marja, która straciła Cinq-Marsa ściętego z rozkazu Richelieu za to, że brał udział w knowaniach hiszpańskich, zakochała się teraz w Janie Kazimierzu, którego ten sam Richelieu więził w forcie Sisteron także z powodu Hiszpanji. W tamtych odległych czasach Marja nie widziała tego człowieka, który później miał zostać jej mężem, acz w Paryżu wiele mówiono podówczas o jego aresztowaniu. Jan Kazimierz został później przeniesiony do więzienia w Vincennes, gdzie ona sama spędziła kilka miesięcy, wtrącona tam przez zawistną królową Marję Medycejską. Dzięki usilnym naleganiom Władysława Jan Kazimierz odzyskał wolność pod warunkiem, że nie będzie walczył przeciw Francji. Wrócił wtedy do Polski, aby podziękować bratu za wstawiennictwo i wkrótce wyjechał do Rzymu. W Watykanie poznał wielu Jezuitów, przyjął święcenia jako członek Towarzystwa Jezusowego. Niedługo potem papież nadał mu godność kardynała.

Powołanie religijne Jana Kazimierza było szczere. Teraz jednak wiedziony patrjotyzmem, a także uwielbieniem dla Marji, syn królewski nabierał przekonania, że przy pomocy tej rozumnej kobiety może stać się monarchą w swoim kraju, coraz bardziej zagrożonym przez zazdrosnych sąsiadów, których ożywiała tylko jedna myśl: rozbić Polskę i zawładnąć jej tronem. Brat jego, Karol Ferdynand, biskup włocławski i płocki, otoczony był poważaniem i lubiany w całej Polsce. Pożądał korony polskiej także książę Siedmiogrodu, Rakoczy, i car Aleksy, przyszły ojciec Piotra Wielkiego. Wydawało się jednak prawdopodobne, że dzięki popularności Władysława i jego braci, a także ze względu na tradycję ugrunto-

waną w Europie, Polacy w wyborze swym pozostaną wierni rodowi Wazów. Fakt, że Jan Kazimierz tak wspaniałomyślnie pomagał bratu przy poprzedniej elekcji powiększał tylko ogólne pragnienie, aby jego z kolei wybrać królem. Miał doskonałe stosunki z Rzymem, nie czuł żadnej urazy do Francji i napewno był bardziej postępowy i kulturalny niż niejeden z poprzednich władców. Marja, której wpływ dawał się już w Polsce odczuwać, rozumiała wybornie wszystkie sprawy polityki zagranicznej i domowej; dzięki jej inteligentnym radom, udzielanych Władysławowi, udało się uniknąć krwawej i niepotrzebnej dla kraju wojny. Umocnienie jej wpływu w Polsce potrzebne było także Francji.

Ze wszystkich obcych krajów Francja była w Polsce najbardziej znana. Masy uznawały właściwie tylko trzy narodowości: każdy cudzoziemiec był albo Francuzem albo Niemcem. Polacy niecierpieli Niemców z całego serca; od Prusaków doznali okrucieństw nie dających się opisać. Największą zniewagą chłopską był okrzyk: "Ty, Niemiec!" W czasach wcześniejszych mówiono nawet, że na świecie istnieją "ludzie i Niemcy." Według innego podania pewien chłopak wiejski, wracający z miasta, na zapytanie ojca co słychać w okolicy, odpowiedział: "Nic nowego, powieszono tylko jakiegoś Niemca." Chłopi nie mieli zaufania do lekarstw, wierzyli tylko w wywary ziół, które w różnych dzielnicach kraju przyrządzano według tradycji. W opinji ludu lekarstwa były wymysłem niemieckim i stanowiły truciznę. Wyobrażano sobie, że djabeł nosi strój niemiecki i mówi po niemiecku. Czasy niewiele się zmieniły.

Mazarin nie był w tym okresie bezczynny. Za żadną cenę nie chciał, aby Marja opuściła Polskę, musiała pozostać tam nadal jako królowa. Trzeba wznosić się coraz wyżej i nie tracić nic ze zdobytej potęgi. Marja nie może zejść do niższej roli.

Na krótko przed śmiercią Władysława wybuchły zamieszki na Ukrainie. Wzniecił je hetman kozacki Chmielnicki, dotknięty do żywego niesprawiedliwymi postępkami wobec swej rodziny. Władysław podówczas już chory i, jak widzieliśmy, zaniedbujący swoje obowiązki, nie dał Chmielnickiemu żadnego zadośćuczynienia. Maria dręczyła się temi sprawami ponad wszelki wyraz. Jak zawsze pełna krytycyzmu wobec samej siebie, czyniła sobie wyrzuty, że nie umiała znaleźć żadnego środka, aby zażegnać niebezpieczeństwo grożące Polsce ze wszystkich stron. Przewlekłe wahania i zupełny brak silnej ręki w sprawach państwowych były powodem, że wszelkie dyskusje były tylko stratą czasu i nie prowadziły do żadnych decyzji.

Podczas pierwszych miesięcy żałoby królowa widywała Jana Kazimierza codziennie. Spotykali się uradowani, złączeni jednem uczuciem i wspólnem pragnieniem, by służyć Polsce.

Żałoba sprzyja urodzie kobiecej. Czarny kolor wdowiego welonu podkreślał delikatność cery Marji i uwydatniał blask jej zielonych, tajemniczych oczu. Można też powtórzyć za poetami wszystkich czasów i krajów, że najbardziej upiększa kobietę miłość, a Marja była zakochana.

Los kieruje wydarzeniami w najbardziej nieprzewidziany sposób i zdarza się, że ludzie są najszczęśliwsi w ciężkich i najbardziej smutnych czasach. Tak było nietylko z Marją, ale i z Janem Kazimierzem. Pośród niebywałego napięcia polityki wewnętrznej, niebezpieczeństwa zagrażającego od zewnątrz i troski o niepewną przyszłość, Marja zaznała prawdziwego szczęścia, kochała i była kochana. Czasami zadawała sobie pytanie czy jest to naprawdę miłość ale siła tego uczucia rozwiewała wszelkie wątpliwości. Marja kochała jak kobieta, która przeszła wiele cierpień i była świadoma szczęścia. Miłość zawładnęła jej sercem, duszą i zmysłami, z czego dobrze zdawała sobie sprawę. Niewiele teraz znaczyło,

że człowiek, którego kochała, był związany innemi ślubami. Polska potrzebowała go jako króla. Kraj mógł obejść się bez jednego kardynała. Jan Kazimierz powinien być zwolniony ze święceń, papież napewno zrozumie sytuację. Marja postanowiła nawet wysłać dyskretnych posłów do Jego Świątobliwości. Mazarin także jej pomoże! Napewno, tak się stać powinno!

Jan Kazimierz odczuwał to wszystko równie głęboko jak Marja. Nie znał kobiety, która jako królowa byłaby tak szczera, prosta i bezpośrednia. Podziwiał także jej lojalność wobec Polski. Gotowa była poświęcić dla niej nietylko fortunę ale samą siebie. Dała tego dowody w najcięższym okresie, poprzedzającym śmierć Władysława.

Gdy spotykali się teraz, Marja stale brała ze sobą jedną z dam dworu, należało bowiem unikać niezręcznych sytuacji. Ale zdarzało się, że niekiedy musieli wyjeżdżać razem na inspekcję dóbr koronnych lub w innych sprawach. Obsługa pocztowa, którą Marja zaprowadziła w kraju, miała wielkie znaczenie, ale wymagała bardzo troskliwego nadzoru. W takich okolicznościach towarzyszył królowej Jan Kazimierz. Godziny te były pełne szczęścia dla nich obojga. Zgadzali się ze sobą we wszystkiem, jakgdyby połączeni jakiemś pokrewieństwem duchowem. Trudno było wówczas nie odczuć różnicy między brutalnem obejściem Władysława a wytwornością i inteligencją Jana Kazimierza.

Oczywiście mieli przed sobą niejedną przeszkodę, jak zawsze w miłości. Marji dokuczały coraz widoczniejsze zabiegi potężnego magnata Lubomirskiego, który pragnął zwrócić na siebie uwagę królowej i okazać jej swoje uwielbienie. Dzięki wpływom i ogromnym bogactwom Lubomirski został mianowany Wielkim Marszałkiem, co dawało mu pretekst, by narzucać się królowej bezustannemi prośbami o audjencje. Marja była wprawdzie wdową, ale nowego króla

jeszcze nie obrano, dotychczasowa jej pozycja pozostała więc bez zmiany.

Wreszcie nadeszła upragniona odpowiedź Mazarina, wyrażał on pełną aprobatę a nawet nalegał, aby królowa poślubiła Jana Kazimierza. Niedługo potem, tuż przed samemi świętami Bożego Narodzenia, nadszedł wszystko rozstrzygający list papieża. Przywiózł go specjalny wysłannik, który na znak powrotu Jana Kazimierza do stanu świeckiego oraz w dowód błogosławieństwa i aprobaty Jego Świętobliwości wręczył mu hełm rycerski i bogato zdobiony miecz w złotej pochwie. Co więcej, papież przysłał też dyspensę na ślub Jana Kazimierza z wdową po bracie.

Marja i Jan Kazimierz przyjęli dary papieża i dyspensę Watykanu z uczuciem głębokiego zadowolenia i żywej wdzięczności. Było to w czasie, gdy śród duchowieństwa i szlachty dyskutowano namiętnie na temat możliwości, a nawet przyzwoitości tego małżeństwa. Opozycja cytowała jako przykład sprawę Henryka VIII, króla Anglji, który poślubił Katarzynę Aragońską, wdowę po swym bracie, Arturze. Niektórzy senatorowie ośmielali się mówić Janowi Kazimierzowi:

—Po wszystkich nieszczęściach, które spotkały Anglję za panowania Henryka VIII i Polskę za Zygmunta III, ojca Waszej Książęcej Mości, jak może książę ważyć się na podobny związek? Czy dlatego, że ojciec ożenił się z dwiema siostrami, Jego Książęca Mość chce nas związać z wdową po bracie? Podzielamy uczucia dawnych senatorów. Wasza Księżęca Mość pamięta, że napisali oni wtedy do papieża Klemensa VIII, (Ippolito Aldobrandini), aby nie dopuścił do małżeństwa.

Byli jednak inni, przeważnie księża, którzy opowiedzieli się całkowicie po stronie Jana Kazimierza; powoływali się oni na ustęp z Biblji, z piątej księgi Mojżeszowej, która nietylko pozwala, ale wręcz zaleca małżeństwo wdowy z bratem męża,

o ile z poprzedniego związku nie było dzieci. Gdy nadszedł list papieski, wszystkie przytaczane zastrzeżenia upadły a dwór zaczął przygotowania do ślubu królewskiego.

Wieczorem, w dniu przybycia wysłannika z Rzymu, Marja miała spotkać się z Janem Kazimierzem na wieczerzy. Królowa oznajmiła jednak, że czuje się przeziębiona i zaprosiła Jego Eminencję na posiłek do swych prywatnych apartamentów. Jan Kazimierz wiedział, że zdrowie Marji niedopisuje, szczególnie teraz po nerwowem napięciu, w jakiem żyła od śmierci króla, a bilecik królowej jeszcze to podkreślił.

Służba wszędzie mówi dużo o swoich panach, w Polsce zaś znana jest zarówno z przywiązania, jak i ciekawości. Cała Warszawa wiedziała już, że na zamek przybył wysłannik z Rzymu i został przyjęty przez królowę. Ale jakie przywiózł wieści?

—Królowa nie zasiądzie z nami do wieczerzy. Szkoda.— wzdychali młodzi dworzanie i młode damy dworu znudzeni już obowiązującą na dworze żałobą.

—Czyżby papież odmówił? Boże, co się stanie teraz z naszą biedną królową?

Wzrok zdradza ukryte uczucia a piękne oczy królowej nigdy nie jaśniały takim blaskiem.

—Jej Królewska Mość dziwnie zmieniła się w ostatnich czasach. Wydaje się młodsza i ma jakiś weselszy wyraz twarzy—rzekła jedna z dam dworu.

—To nieprawda—wtrąciła ostro chrzestna córka królowej, Marja d'Arquien La Grange, która miała teraz prawie siedem lat i była ulubienicą dworu.—Matka chrzestna zawsze była najpiękniejszą kobietą na świecie!

Cóż można było na to odpowiedzieć? Damy dworu spojrzały na siebie porozumiewawczo. Mała nie domyślając się niczego, pytała z zakłopotaniem ulubioną damę dworu królowej:

—Prawda, hrabino, że mam rację?

—Oczywiście—odparła dama, uspokajając rozpieszczone dziecko, które wróciło do swych lalek.

Królowa podarowała ukochanej chrześniaczce ogromny zbior lalek, ubranych w stroje wszystkich dzielnic Polski.

Największa i ulubiona lalka dziewczynki ubrana była w kostjum krakowski. Mieszkańcy okolic podkrakowskich ubierali się bardzo malowniczo. Kobiety nosiły wielobarwne spódniczki obszyte złotemi i srebrnemi wstążkami, atłasowe koszule z rękawami i naramiennikami, które haftowano czerwoną nicią i gorsety z niebieskiego sukna. Na zimę obszywano gorseciki barankiem. W lecie młode kobiety przywdziewały lniane chustki, osłaniając niemi włosy od kurzu, i bogato haftowane fartuszki, które przy pracy narzucały na ramiona. Na nogach nosiły czasami rodzaj płytkich pantofelków, częściej jednak czarne buty z cholewami na wysokich obcasach. Piękne jasne włosy zaplatały w warkocze. W dni świąt nakładały na nie rodzaj djademów z haftowanego drobnemi perełkami złotogłowia, lub z czarnego aksamitu ozdobionego kwiatami, wstążkami i haftem. Każda miała na szyi parę rzędów korali, bo w ich mniemaniu korale przynoszą szczęście.

Wieśniacy polscy nie znają żałoby. W dawnych czasach obchodzili jednak osobliwe obrzędy, zwane Dziadami, poświęcone zmarłym i zastępujące pogańskie Swięto Kozła. Obrzęd rozpoczynał się od uczty, na którą zapraszano dusze z czyśca. Według wierzeń ludu, dusze wywołane zaklęciami przybywały, z zaświatów, aby spożyć zastawione dla nich jadło. Zebrani zachowywali przez cały czas zupełną ciszę. Duchy nasyciwszy się, odchodziły, a zebrani wołali: "Odejdźcie, dobre dusze, i dajcie temu domowi błogosławieństwo i pokój." Wtedy rozpoczynał się posiłek żywych, który przeważnie kończył się hałaśliwą zabawą i powszechnem pijaństwem. Tajemniczy obrząd Dziadów odbywał się zwykle w nocy, w ukrytem i nieuczęszczanem miejscu. Odwiedzano

następnie groby zmarłych, gdzie składano żywność, broń i sprzęt wojenny, śpiewając: "Odejdźcie, nieszczęśni, z tego stanu niedoli do lepszego życia, gdzie wam spokoju nie zakłócą Niemcy. Teraz duchy wasze będą panowały nad nimi." Swięto Dziadów, pozostałość pogańskich obrzędów, było surowo zabronione przez kościół, niemniej wierni tradycjom wieśniacy obchodzili je w uroczyskach leśnych lub zniszczonych przez wojnę starych kaplicach, aż po nasze czasy.

Gdy damy dworu gawędziły o tem i owem, przyszła je odwiedzić na chwilę królowa. Pogłaskała małą chrześniaczkę i ciekawie wysłuchała historji całej rodziny lalek.

Popołudnie zdawało się ciągnąć bez końca. Strojniejsza, niż zwykle, Marja była gotowa na długo przed wieczerzą. Nim wyszła do salonu zawróciła do swego klęcznika, gdzie tyle razy przedtem prosiła Świętą Pannę Niwerneńską, aby jej dała siłę znosić trudny charakter Władysława. Tym razem modliła się nie jako królowa, ale jako zwykła kobieta, pełna zwykłych ludzkich uczuć, a przedewszystkiem miłości. Modliła się po włosku, powtarzając słowa kobiet toskańskich:

—Piaccia a Dio che piaccero. O Najświętsza Panno Niwerneńska, patronko dobrej miłości, ześlij mi tę radość, tak bardzo upragnioną.

Gdy Jan Kazimierz wszedł do salonu, zadrżała ze wzruszenia. Byli sami. Zbliżył się do niej i otworzył ramiona. Miał jeszcze na sobie czerwoną suknię kardynalską, ale był już zwolniony ze ślubów. Objął Marję i trzymał ją w długim uścisku. Tego wieczora nie pocałował jej w czoło. Usta ich złączyły się w dawno upragnionym pocałunku, czuli się bardziej zjednoczeni, niż sobie to mogli wyobrazić. Błogosławione przeziębienie—myślała Marja—które pozwoliło mi na ten obiad we dwoje.

Zdawało się że wszystkie kłopoty i troski rozwiały się, jak dym nad ogniem, który płonął wesoło na wielkim kominku.

Po pierwszym uścisku Jan Kazimierz odsunął Marję od siebie i trzymając ją za ręce, powiedział:

—Marjo, wybacz mi. Nie prosiłem Jej Królewskiej Mości o pozwolenie . . .

—Najdroższy—odparła z uśmiechem—oddawna przecież wiemy, że się kochamy. Jestem tak szczęśliwa, że nie mogę mówić. Będę się starała z całego serca i przez całe życie pomagać ci i służyć twemu krajowi. Nie potrzebujesz pytać czy cię kocham.

Obiad dobiegł końca. Ze względu na służbę rozmowa ograniczała się do najbardziej ogólnych tematów. Mówili o polityce i o potrzebach kraju. Wreszcie ochmistrz zamknął drzwi i znowu znaleźli się sami, zbyt szczęśliwi aby mówić.

Siedząc obok siebie przed kominkiem i trzymając się za ręce, patrzyli na tańczące płomienie, niepewni czy szczęście ich było snem czy rzeczywistością. Wreszcie Jan Kazimierz wstał, aby się pożegnać. Skłonił się przed nią głęboko i pocałował ją w rękę. Marja chciała mu złożyć dworski ukłon, lecz ją powstrzymał. Patrzył na nią z uwielbieniem, nigdy nie była piękniejsza. Wielkie zielone oczy nabrały nieziemskiego światła. Promieniały dziwnym i tajemniczym ogniem, który widzi się tylko na twarzy zakochanych kobiet. Ogniem wielkiej namiętności, uduchowionej głębokiem uczuciem. Nie mogli od siebie oderwać wzroku, wreszcie Jan Kazimierz objął ją mocnym uściskiem, ucałował długo i odszedł. Drżał przebiegając korytarze zamkowe. Serce jego biło mocno, oczy błyszczały podnieceniem.

Marja wróciła do swych apartamentów z trudem chwytając oddech. Uklękła przed swym łóżkiem, aby podziękować Swiętej Pannie, patronce miłości. Długo trwała nieruchomo, wstrząsało nią suche łkanie szczęścia i namiętności. Wreszcie wstała i gdy na jej wezwanie zjawiły się pokojowe, była znowu pełna królewskiego spokoju, choć dziwnie cicha i zaprzątnięta myślami.

—Gdzie są moje olejki i miód z Francji?—spytała nagle. Musiała teraz dbać o swą urodę. Nie, nie czuła się źle.

—Przeziębienie, zdaje się, minęło—odpowiedziała na nieśmiałe pytania o zdrowie.

Czy to była naprawdę rzeczywistość czy tylko sen? Boże, to była prawda! Drżała lekko, przyglądając się swemu odbiciu w lustrze. Nie miała już dawnego wyrazu przygnębienia, przeciwnie wyglądała pięknie. "Jakie on ma prześliczne ręce" —nie powinna była o nim myśleć, ale myślała mimo woli. Zdawała sobie sprawę, że jej cierpliwość, panowanie nad sobą i doświadczenia opłacone cierpieniami zostały teraz wynagrodzone. Nigdy nie czuła się tak szczęśliwa a tak mało szczęścia jest udziałem człowieka na ziemi. Niech się dzieje co chce, nikt nie zdoła jej wydrzeć wspomnienia tego wieczoru. "Ave Maria, gratia plena, ora pro nobis." W obłoku szczęścia wszystko wydawało się radością. Usnęła.

W kilka dni potem zebrał się wielki sejm elekcyjny. Wieści o błogosławieństwie papieża, o jego darach i aprobacie ułatwiły szlachcie decyzję. Jan Kazimierz został obrany królem. Nigdy Marja nie obchodziła tak nabożnie adwentu, nigdy też jej prośby nie spełniły się tak szczęśliwie.

17 stycznia (siedemnastka jest cyfrą wróżebną) dzwony kościołów warszawskich oznajmiły zakończenie uroczystości związanych z koronacją Jana Kazimierza i Ludwiki Marji, jako króla i królowej Polski. Tym razem Marja nie potrzebowała pani de Guébriant, mąż kochał ją tak jak ona jego, a niebawem cała Polska miała radować się wieścią, że królowa oczekuje potomka.

Okresy pomyślności sprzyjają rozwojowi sztuki, literatury i muzyki. Jan Kazimierz, który wiele podróżował i znał największych poetów i muzyków swego czasu, pomagał teraz Marji w popieraniu talentów i wydobywaniu wszystkich sił żywotnych w kraju, który był chciwy wiedzy, pełny ambicji

i zdolny do wielkich rzeczy; kraju, który należał teraz do nich obojga.

Najlepszym sposobem popierania sztuk jest opieka nad młodymi artystami i pozyskanie dla nich najbardziej uzdolnionych nauczycieli.

W Nevers Marja stale popierała poetów, muzyków i malarzy. Rozczarowanie, jakiego doznał Adam Billaut, gdy nie mógł wyjechać z Marją, było prawdopodobnie przyczyną, że potem przestał pisać. Fakt, że wybrała Marka Antonjusza Gérard z Rouen, zadał mu cios głęboki. Przypomnijmy sobie, że Marja wyjechała z Francji, zabierając ze sobą wielu współziomków. Był śród nich lekarz, który tak troskliwie leczył ją w trudnych okolicznościach w Nevers, potem towarzyszył jej do Warszawy i do końca życia pozostał wierny królowej. Wielu przedstawicieli nauk i literatury francuskiej przybyłych z Marją czuło się w Polsce bardzo dobrze. Oddani zawsze królowej, pracowali jako profesorowie i znacznie przysłużyli się inteligentnym i chętnym wiedzy Polakom.

Malarstwo było w Polsce zawsze wysoko cenione. Na zamówienie dworu malarz francuski, Juste d'Egmont wymalował wielki obraz w mitologicznym stylu epoki z wizerunkami Ludwiki Marji, Jana Kazimierza i Władysława. Władysław przedstawiony był na obrazie jako Jowisz niebiański, Marja jako Junona a Jan Kazimierz jako Jowisz na ziemi. Obu Jowiszów otaczały orły, u stóp i wokół głowy królowej unosiły się łabędzie i skrzydlate amorki trzymające girlandy kwiatów. Ogromne malowidło oprawione było w złote ramy z herbami Polski, Szwecji, Gonzagów i Clèves, otoczone girlandami kwiatów.

W czasie gdy panował pokój i kwitły sztuki, Polacy oddawali się rozrywkom, do których należały przedewszystkiem taniec i teatr. Podobnie jak ludy innych krajów, lubili także grać w karty. O Zygmuncie Starym opowiadano następującą anegdotkę. Grając z dwoma senatorami w t.zw. "tryszaka"

i mając w ręku dwa króle, Zygmunt zawołał nagle:

—Wygrałem!

—Jakże to, Wasza Królewska Mość—zapytali stropieni senatorowie—aby wygrać trzeba mieć przecież trzy króle.

—No to policzcie—odparł Zygmunt—wykładając karty —dwa mam w ręku a trzecim jestem sam.

I oczywiście wygrał!

Marja nie lubiła grać w karty, interesowała ją natomiast kabała, astrologja i astronomja. Bywała często w teatrze i na maskaradach, bardzo popularnych podówczas w Polsce, w Austrji i w całej tej części Europy. Lubowano się wówczas także w ogniach sztucznych, w których Polacy byli nieprześcignieni. Śród takich rozrywek Marja i Jan Kazimierz bawili się beztrosko, mimo że nad krajem gromadziły się groźne chmury. Mówi się, że szczęście jest bezpamiętne; Marja umiała używać go tak, by korzystał przytem jej kraj i ulubieni artyści.

Pragnęła mieć kilka obrazów oddających obyczaje polskie. Szczególnie pobudzały jej wyobraźnię malownicze wyprawy saniami, dostarczające artystom okazji do przedstawienia ciekawych scen i pięknych krajobrazów. Wyprawy saniami były bardzo modne w stolicy i w całym kraju. Wszystkie drogi tonęły w śniegu i rozbrzmiewały dźwiękiem dzwonków, przyczepionych do uprzęży. Na wsi było w zwyczaju zajeżdżać w odwiedziny kuligiem. Na przedzie kuligu jechała orkiestra, muzykanci byli też porozsadzani po innych saniach. Kuligi urządzano często o zmroku przy świetle kagańców i pochodni. Sanie przemykały lekko, skrzypiąc po śniegu, grała muzyka, trzaskano z biczów, powietrzem leciały wesołe okrzyki. Gdy zajeżdżano do dworu, gospodarz przyjmował gości chętnie i serdecznie. Muzykanci ze wszystkich sań łączyli się w jedną wielką orkiestrę i zaczynały się tańce. Zanim podano wieczerzę krążyły wokół szklanice i nieraz świt zastawał jeszcze gości przy stołach. Często jechano

kuligiem od dworu do dworu, a zabawa ciągnęła się przez kilka dni. Zdarzało się też, że wesołe towarzystwo wracało do domu dopiero po upływie miesiąca. Okazją do zabaw było każde święto albo czyjeś imieniny. Czasami towarzystwo wpadało do dworu niespodzianie, nie uprzedziwszy gospodarza, kiedyindziej znów zamaskowani goście przybywali śród nocy. Ale gościnny gospodarz chętnie otwierał dom i rad witał przybyszów. Dość było wesela dla wszystkich: dla księdza i rycerza, dla bogatego senatora i ojca ubogiej rodziny. Przy dobrem jadle i pośród zabawy często godzili się skłóceni nieprzyjaciele. Starzy wrogowie z uśmiechem podawali sobie ręce do zgody. Kuligi stanowiły głównie zabawę młodzieży, nieraz były przyczyną zaręczyn lub romansów.

Pośród rozrywek Ludwiki Marji poważne miejsce zajmowała muzyka. Królowa starała się popierać nietylko wirtuozów, lecz także kompozytorów, czerpiących swoje motywy ze starych melodji polskich. Najstarsza pieśń przekazana naszym czasom w formie hymnu "Bogurodzica", ułożona przez arcybiskupa Wojciecha była przez długie lata śpiewana jako pieśń wojenna. Historycy nie zgadzają się co do jej początków, jest jednak prawie pewne, że powstała mniej więcej w połowie dziesiątego stulecia. Ślady jej dają się zauważyć w pewnych zwyczajach i uroczystościach kościelnych tej epoki. Starożytna ta muzyka wywarła wielki wpływ na charakter narodu; nadała ton wielu pieśniom ludowym. W swych modlitwach do Boga, lud polski opiewał chwałę przodków i historję ich szczęścia i cierpień a wyrażał zawsze bardzo głębokie uczucia. Zapewne dlatego muzyka polska jest prosta i czuła, wojownicza i melancholijna, czasami namiętna a zawsze pełna czaru. Można powiedzieć, że w muzyce polskiej odbiła się historja narodu, wyrażona dźwiękiem i melodją. Wiele pieśni utrzymanych w powolnych tempach i minorowych tonacjach, czerpie natchnienie z przeżyć ludu niepewnego swej przyszłości. Wszystkie ważne

wypadki historyczne, mówi Albert Sowiński w swej pracy o muzyce polskiej, uwiecznione są w wesołych lub melancholijnych pieśniach, jak w pełnym radości "Powrocie króla Kazimierza", wesołej pieśni z roku 1041, lub w smutnej i tkliwej piosence z roku 1283 pod nazwą "Śmierć królowej Ludgardy". Rozwój muzyki sprzyjał też rozkwitowi religijnej i lirycznej poezji, obie te sztuki chodzą zawsze w parze.

Z królową Boną Sforza, żoną Zygmunta I, o której już mówiliśmy, przybyło z Włoch wielu śpiewaków, którzy wprowadzili w Polsce modę włoskiego bel-canto. Królowie polscy, a szczególnie Zygmunt III, Władysław a teraz Jan Kazimierz również sprowadzili do Polski zagranicznych artystów, dzięki którym muzyka tego kraju zyskała na bogactwie i wyrazie, nie tracąc wiele ze swego narodowego charakteru. Muzyka polska będzie zawsze zajmowała w świecie poważne miejsce, głównie z powodu żywych rytmów i charakterystycznej melodyjności, co uderza zwłaszcza w pieśniach ludowych. Znane powszechnie są polskie mazurki i krakowiaki, wielu znakomitych kompozytorów wstawiało polskie melodje do swych oper, zachowując często ich pierwotną formę. Z tego muzycznego źródła czerpali między innymi Gluck, Paisiello, Cimarosa, Weber, Cherubini i Rossini.

Dzieła kompozytora polskiego Moniuszki są niestety zbyt mało znane poza Polską. Muzyka jego posiada bardzo polski charakter i zawiera wiele najpiękniejszych pieśni ludowych. Jest jakgdyby prawdziwym wyrazem duszy polskiej, podobnie jak mazurki i krakowiaki. Pieśni i tańce ludowe każdego kraju są wiernem odbiciem ducha i charakteru ludu a Polacy są najlepszem potwierdzeniem tej reguły. Stary pisarz słowiański, Safarik mówi: "Gdziekolwiek spotkacie kobietę słowiańską, usłyszycie jej śpiew. Góry, doliny, wsie, pola, sady i winnice rozbrzmiewają melodją jej głosu. Śpiewa ona o wszystkich swoich radościach i wszystkich cierpieniach. Po

dniu pracy wróciwszy wieczorem do domu, śpiewa, aby ulżyć zmęczeniu. Gdy zajdzie słońce, na wszystkich drogach polskich słychać pieśni kobiet. Tematem tych śpiewów nie są podania ani legendy, są to strofy o codziennem życiu, niepodobne do pieśni innych ludów Europy. W tej improwizowanej i bardzo ludzkiej muzyce jest rzewność, czystość i patos, jedyne w swoim rodzaju."

Tańce polskie są słynne na cały świat od pałaców królewskich do chat wiejskich. Najbardziej charakterystycznym tańcem polskim jest, jak wiadomo, polonez. Harmonja jego ma coś wschodniego i odznacza się jednocześnie rycerską powagą. Piękne, dawne kostjumy dodawały mu niezwykłej malowniczości. Polonez prowadzi zawsze najznakomitsza para na balu. W tym tańcu, który jest rodzajem uroczystego marsza brali udział wszyscy: dzieci, młodzież, starcy, dygnitarze państwowi, nawet najbardziej powściągliwi ludzie. Po wielu okrążeniach sali balowej, tancerz podaje rękę damie z prawej strony i okrążywszy z nią salę wraca do dawnej partnerki. Figura ta wyobraża równość szlachty w Rzeczypospolitej. Każdy bal zaczynał się i kończył polonezem, zwyczaj ten przejęły z Polski prawie wszystkie dwory europejskie. Za polonezem szedł mazur, który jest ulubionym tańcem Polaków, po nim polka. Pewien pisarz polski wspomniał z ironją, że "salony Paryża, Londynu i Florencji próbowały przyswoić sobie wdzięcznego mazura, ale naprawdę nie przyjął się on nigdzie; tancerzom brakło gracji i zręczności, aby oddać jego prawdziwe piękno." Mazur jest może trochę podobny do francuskiego kadryla, ma jednak więcej oryginalności.

Chociaż pieśni litewskie, żmudzkie i białoruskie przypominają muzykę polską, charakter ich jest odmienny. Poezja ich ma także styl narodowy, ponieważ jednak ludy te nawróciły się na chrześcijaństwo o wiele później niż Polska, strofy ich opiewają raczej dawne podania i wierzenia. Pieśni te

noszą nazwę "Dainos". Wiele z nich opiewa zaślubiny Jutrzenki (Auszrinne) ze słońcem. Zjawia się bóg piorunów, Perkun, i młoda Jutrzenka; gdy Jutrzenka zbliża się do ołtarza, zaczyna krwawić wielki dąb i plami jej białą suknię. Przez trzy lata Jutrzenka płacze i zbiera zwiędłe kwiaty a za każdym razem gdy je zrywa, słyszy trzy dźwięki powtórzone trzy razy. "Dziewiątka" była świętą cyfrą Litwinów, podobnie jak Skandynawów, i odnosi się może do dziewięciu słońc pojawiających się w krajach północnych. Istnieje także poemat i urocza pieśń o Zefirze, przyjacielu kwiatów, który pozwala im mówić do ludzi poruszeniami głowy i pieścić ich zapachem przy powiewie wiatru.

W pieśniach litewskich spotykamy często duety, jak naprzykład w pożegnaniu dwu sióstr, które wychodzą zamąż i w rozstaniu matki z synem rycerzem, który wyrusza na wojnę. Są też śród nich dziwne i popularne między starymi Litwinami pieśni zmarłych, zwane "Randos", niekiedy bardzo piękne w swych minorowych tonacjach. Litwini podobnie jak Grecy, Rzymianie i Skandynawowie, palili ciała swych zmarłych. Obrzędy pogrzebowe były zawiłe i odbywały się przy śpiewach nabrzmiałych bólem. Nawet zaręczyny i wesela nie miały radosnego charakteru. Panna młoda płakała, jak u Chińczyków, dlatego że opuszcza rodziców, młodzieńcze zabawy, wolne życie i zajęcia w domu rodzicielskim.

Mowa litewska podobnie jak język ruski, nadaje się szczególnie do melodyjnych śpiewów a muzyka oddaje wiernie słowa i nastrój tekstu. Albert Sowiński pisał: "Litwini i Rusini, którzy przez wiele lat byli nieprzyjaciółmi, połączyli się wreszcie pod prawem, zapewniającem im wolność. Polacy ofiarowali im braterską unję, i w istocie te ludy łączy wspólna umysłowość, która wytwarza wzajemne zrozumienie i podobny charakter w muzyce, w życiu i obyczajach."

ROZDZIAŁ XIII

Zdrada, zawiść i wojna

Szczęście nie na długo bywa ziemskim udziałem, a Polska nigdy nie miała nacieszyć się niem do syta. Głuche odgłosy niezadowolenia docierały do zamku w Warszawie a nawet do uszu króla i królowej. Ukraina raz jeszcze podniosła bunt a hetman Kozaków Chmielnicki znowu chwycił za broń. Jan Kazimierz, który pragnął uniknąć wojny a wszystkich swych poddanych traktował jednakowo, ponosił teraz skutki błędów ojca i brata. Napróżno proponował rozejm, hetman nie chciał o nim słyszeć. Panowie przerażeni myślą, że stracą swe wielkie posiadłości na Ukrainie, nalegali na zgniecenie buntu. Jan Kazimierz powiedzał:

—Gdybyście ich ciągle nie drażnili, gdybyście nie spalili włości ich wodza i nie zgwałcili jego żony, nie ściągnęlibyście na siebie tego niebezpiecznego wroga.

Niestety okres dobrobytu rzadko kiedy jest przygotowaniem wojny. Chociaż na Ukrainę wkroczyło 50 tysięcy żołnierzy pod wodzą polskich panów, Kozacy zadali im dotkliwą klęskę i zdobyli Kijów. Szlachta starała się sformować nowe wojska, lecz żołnierze byli źle uzbrojeni. Walczyli z bohaterską zaciekłością, co jest—zdaje się—dziedzictwem każdego Polaka, lecz trzeba było dopiero niebywałej ich odwagi i brawury, aby wkońcu pokonać wroga. Lud ukraiński rozsławił zwycięstwa Chmielnickiego w pieśniach po całej Ukrainie.

Nawet w najcięższych okresach tych walk Jan Kazimierz, przy którego boku stała niewzruszona w swej odwadze Ludwika Marja, nie miał zamiaru kapitulować. Wojna trwała bardzo długo, aż wreszcie Jan Kazimierz, wspierany w swem postanowieniu przez żonę, zarządził pospolite ruszenie. Bitwa pod Beresteczkiem rozpoczęła się 28 czerwca 1651 roku i trwała dziesięć dni, ale tym razem Jan Kazimierz wyszedł z niej zwycięsko i stał się bohaterem kraju. Na polu walki padło 30 tysięcy Kozaków i Tatarów, z którymi Kozacy się sprzymierzyli. Trzynaście armat, co było niemniej ważne, dostało się wraz z całym obozem buntowników w ręce zwycięzców. Jan Kazimierz kierował bitwą zręcznie i z taką szybkością, że nawet Polacy nie zdołali zdać sobie z tego sprawy. Zaraz po zwycięstwie triumfujące wojsko zażądało rozpuszczenia do domów. Był to błąd niewybaczalny. Tym razem znowu dał się odczuć brak jedności śród Polaków.

Jan Kazimierz marzył o pokoju. Pragnął pozostać u boku żony i córeczki, która przyszła na świat jakby na świadectwo ich wielkiej miłości. Dziecko było jednak wątłego zdrowia. Ludwika Marja cieszyła się nią z głębi serca, lecz pragnęła dać koronie polskiej męskiego dziedzica. Szczęście jej dopełniło się dopiero wówczas, gdy nanowo poczuła się w odmiennym stanie. Nie mogła jednak w pełni oddać się tym uczuciom, spokój jej mąciły kłopoty państwowe.

Ledwie Jan Kazimierz powrócił ze zwycięskiej wyprawy, gdy nieposkromiony Chmielnicki zaskoczył pod Batowem dziewięciotysięczny obóz polski i wyciął w pień całą załogę. Był to cios straszliwy! Król powinien był ruszyć zbrojnie przeciw niemu, ale jak zawsze, pragnąc uniknąć przelewu krwi, zaproponował rozejm, który Chmielnicki odrzucił. Jan Kazimierz był zmuszony przyjąć upokorzające warunki pokoju. Hetman kozacki wiedział dobrze od swoich szpiegów, że śród szlachty niema jedności i że Polska jest bezsilna. W roku 1654 zawarł on przymierze z Moskwą i w ten sposób

runął raz na zawsze mur obronny chroniący Polskę od Wschodu, mur, który stanowili Kozacy ukraińscy.

W czasie całego tego okresu, śród możnowładców polskich trwały nieustanne tarcia. Ludwika Marja i Jan Kazimierz oceniali sytuację bez złudzeń i zdawali sobie sprawę ze swej bezradności wobec stosunków wewnętrznych i grożących Polsce niebezpieczeństw.

Lubomirski zły, zawistny i do żywego dotknięty niepowodzeniem w swych próbach zbliżenia się do królowej, okazywał teraz królowi uczucia wręcz nieprzyjazne. Był to człowiek niezmiernie majętny, liczba jego własnych żołnierzy, służby i chłopów przekraczała sześć tysięcy. Siał postrach i budził podziw a miał ponadto wielką sytuację na dworze. Osoba królowej, jak dawniej pociągała go niezmiernie. Według poety perskiego Saidi, im bardziej kobieta jest niedostępna, tem bardziej wydaje się pożądana. Lubomirski ogarnięty pychą chciał ongi zdobyć serce Marji i sam zostać królem, co umożliwiłoby mu małżeństwo z królową. Znał aż nazbyt dobrze politykę Francji, wiedział jak bardzo Marja pragnie służyć pierwszej swojej ojczyźnie i jednocześnie doprowadzić do końca prace podjęte z takiem powodzeniem w Polsce. Nie przewidział jednak interwencji papieskiej, nie rozumiał też albo nie chciał sam przed sobą dopuścić myśli, że Marja kochała Jana Kazimierza. Ponadto nie wierzył do ostatniej chwili, że wybór króla kardynała jest możliwy. Marja taiła swe uczucie do Jana Kazimierza a jej oficjalny i pełen godności stosunek do dworskich magnatów nie pozwalał Lubomirskiemu zorjentować się jaka byłaby reakcja królowej na jego zamiary, gdyby kiedyś w odpowiedniej chwili odważył się je odsłonić. Przy każdem spotkaniu starał się ściągnąć na siebie jej uwagę i zdobyć przychylność. Obdarzona czułą wrażliwością, Marja widziała jego starania, ale przypisywała je raczej wygórowanym ambicjom politycznym niż zainteresowaniu jej osobą. Piękne kobiety rzadko bywają

próżne. Gdy nadeszła dyspensa papieska zezwalająca na małżeństwo Marji z Janem Kazimierzem, rozwiało się tajemne marzenie Lubomirskiego a niedoszły zalotnik stał się zaciekłym wrogiem kobiety, której serce przedtem pragnął pozyskać. Widoczne szczęście Marji i narodziny pierwszego dziecka podsyciły jego gniew jeszcze bardziej. Cała namiętna natura tego magnata skupiła się w pragnieniu zemsty. Miłość zmieniła się w nienawiść.

Gdy królowa wzgardziła nietylko jego pozycją i bogactwem, ale i jego gotowością służenia ojczyźnie, Lubomirski obmyślał odwet w zapamiętaniu, które odtąd miało cechować wszystkie jego czyny. Postanowił, że będzie to zemsta powolna, uparta, zdradziecka, dla nikogo niewidoczna. Aż do chwili, gdy wymierzy jej cios ostateczny, będzie udawał dworzanina pełnego pokory i uwielbienia. Nietylko zrujnuje króla, ale zniszczy wszelkie możliwości szczęścia kobiety, która odrzuciła jego miłość. Aby tem łatwiej wprowadzić w życie swe zamiary, interesował się wszystkiem co robiła królowa, pomagał znienawidzonemu królowi, przygotowując jednocześnie nieubłagane ostateczne uderzenie. Historja jego knowań jest zbyt długa, aby ją tu opowiadać, jedno tylko trzeba zaznaczyć, że Lubomirski grał swą szatańską rolę bardzo zręcznie. Marja i Jan Kazimierz początkowo nie dawali wiary głuchym wieściom o planowanej zdradzie marszałka. Ostatecznie jednak Lubomirski w swej żądzy zemsty zapominał nawet o obowiązkach wobec ojczyzny.

Gdy w roku 1652 Marja urodziła syna, dając Polsce następcę tronu (Marja i Jan Kazimierz byli zbyt kochani, aby nie udało im się osadzić syna na tronie przez elekcję lub bez niej), wściekłość Lubomirskiego nie miała granic, choć z twarzy jego nie zniknął układny uśmiech. Nie był nawet, jak wypadało się spodziewać, zmartwiony upokorzającym pokojem z Chmielnickim w roku 1654, ani przymierzem Kozaków z Moskwą. Widział w tych niepowodzeniach tylko

przyczynę nowych kłopotów Jana Kazimierza i źródło trosk Marji. Nasycał tem zwolna swoją zapamiętałą mściwość.

Polsce groziło wówczas niebezpieczeństwo ze wszystkich stron. U granic Litwy stał Chmielnicki z nowym swoim sprzymierzeńcem, carem Aleksym. Ziemie Rzeczypospolitej najechał król szwedzki, kuzyn Jana Kazimierza. Gdy marszałek Wittenberg na czele 17 tysięcy ludzi zajmował coraz większe obszary kraju, inna armja pod wodzą samego króla posuwała się od granicy pruskiej ku Warszawie. Była to straszliwa dla Polski chwila. Tylko jedność całego narodu i wielki wysiłek mogły kraj ocalić. Jan Kazimierz postanowił zwołać sejm. Nikt nie może dzisiaj i pewnie nigdy nie zdoła dowieść, kto sprowokował przy tej sposobności użycie nieszczęsnego liberum veto, ale jest faktem, że zanim przegłosowano powzięcie niezbędnych środków dla obrony kraju i zanim zdecydowano jak tę obronę prowadzić, Piotr Siciński, poseł z Upity, zerwał sejm, zakładając swój sprzeciw. Pewien znany historyk pisze, że "choć wróg był u wrót stolicy i zagrażał całemu krajowi, wszystkie dyskusje ustały, a posłowie na sejm, szlachta z całej Polski, posłująca na sejm, musiała się rozjechać bez powzięcia jakichkolwiek środków obrony kraju."

To niedorzeczne prawo istniało wprawdzie w konstytucji oddawna, nikomu jednak nie przyszło na myśl by z niego skorzystać, szczególnie w chwili tak groźnej dla kraju. Przerażeni posłowie rozjechali się do domów, a przed Polską otwarła się droga do klęski.

Dlaczego właściwie Karol Waza, król szwedzki, napadł na kraj swego kuzyna? Fakt ten nigdy nie został przez historyków należycie wyjaśniony. Bardzo możliwe, iż Wazom była potrzebna wojna zagraniczna, aby uprzedzić wojnę domową, na którą zanosiło się w Szwecji. Teorja, że Jan Kazimierz pragnął dla siebie korony szwedzkiej, wydaje się mało prawdopodobna. Król nie pożądał sławy i nawet we

własnym kraju wahał się zmieniać prawa choć często były mu zawadą. Trudno więc uwierzyć, aby chciał rządzić dwoma tak odległymi krajami. Czy Lubomirski maczał w tem palce? Niesposób pisać historję na podstawie domysłów, wysnutych z pewnych okoliczności. Marszałek okazywał wówczas gorący patrjotyzm, ale często się zdarza, że ten kto zepchnął głaz ze szczytu, chce go zatrzymać w pędzie, gdy już jest zapóźno. Lubomirski gotów był teraz pośpieszyć z pomocą, głaz jednak toczył się zbyt szybko. Cała szlachta polska stanęła wobec niebezpieczeństwa utraty życia i mienia.

Zdrada, ta najciemniejsza hańba ludzkiego charakteru, szerzyła się powszechnie. Radziejowski, podkanclerz koronny, został skazany na banicję. Wielu historyków zrzuca na niego winę za nieszczęśliwe wypadki tego okresu, twierdząc, że sprowadził Szwedów do Polski, aby pomścić osobiste urazy. Oskarżają go również o potajemne knowania z Kozakami. Jan Kazimierz napróżno starał się wejść w układy ze swym kuzynem Karolem Gustawem. Wyniosły monarcha szwedzki odpowiedział gniewnie, że "najpierw weźmie Warszawę, a potem będzie rozmawiał z Janem Kazimierzem."

Marja była przekonana, choć tego nie mówiła głośno, że źródłem zła był Lubomirski. Obawiając się wojny domowej, niepewny możnowładców, Jan Kazimierz postanowił opuścić Warszawę i wraz z królową i dziećmi udał się do Opoczna a potem na Śląsk.

W czasie tej ucieczki, bo trudno inaczej nazwać tę podróż, Marja zaczęła odczuwać skutki napięcia nerwowego, w jakiem żyła nieustannie. Dzieci rodziły się w okresach zawieruchy i niepokojów politycznych. Ostry klimat Śląska nie sprzyjał delikatnemu zdrowiu. Na szczęście miała przy sobie swego oddanego lekarza, Augustyna Courrade, który towarzyszył jej wiernie i nie opuszczał nigdy, okazując jej

jednakowe przywiązanie i lojalność w chwilach powodzenia jak i śród ciężkich doświadczeń. Otaczał królowę najtroskliwszą opieką i dodawał jej otuchy podczas wszystkich wstrząsów, które przeżywała. Pomimo tych wszystkich trosk o losy państwa i mimo nadwątlonego zdrowia, Marja mając ukochanego męża i najdroższe dzieci przy sobie, czuła się w głębi duszy prawie szczęśliwa.

Dzieci jednak ciągle chorowały a pośpiesznie przebyta podróż na Śląsk odbiła się na ich zdrowiu jak najgorzej. Marję, która domyślała się tego, ogarnął śmiertelny niepokój. Była coś w tem przerażającego, że szczęście mogło tak szybko runąć w gruzy. Królowa nie traciła nadziei, że przy pomocy wypróbowanego doktora uda jej się dzieci ocalić. Pocieszała się myślą, że jej własne dzieciństwo też było walką wątłego organizmu z bezustannemi chorobami. Minęło parę dni, Marja oswoiła się ze zmianą klimatu i opanowała nerwy, poddane tak straszliwym próbom. Niestety, sytuacja nigdy nie była gorsza!

Podróż toczyła się śród dramatycznych okoliczności, drogi były w żałosnym stanie. Jan Kazimierz starał się rozerwać Marję i opowiadał jej o swoich przygodach i młodzieńczych wycieczkach w tych samych stronach kraju. W istocie jednak oboje byli pełni niepokoju o zdrowie córeczki. Długie dni podróży męczyły dziecko i wyczerpywały jego siły. Pogoda była nieznośna a pożywienie nieodpowiednie. Dziewczynka nabawiła się przeziębienia, co zmusiło podróżnych do zatrzymania się w małej wiosce niedaleko granicy. Nie można tam było dostać żadnych lekarstw, które zalecał dobry doktór Courrade. Kaszel stawał się coraz gwałtowniejszy, brak wygód pogarszał jeszcze chorobę. Gdy znowu trzeba było ruszyć w drogę, Marja otuliła dziewczynkę w poduszki i kołdry, i tak powiozła ją dalej. Niestety, chwycił wielki mróz i ledwie poczet królewski dotarł do pobliskiego miasta, musieli zatrzymać się znowu. Marja nie odstępowała córeczki,

ale śmierć nie dała się przebłagać. Dziesiątego dnia dziewczynka umarła na zapalenie płuc. Marję i króla ogarnęła rozpacz. Kochali to dziecko szczególnie, uważali je za wyraz swej wielkiej miłości.

Nieszczęścia nie chodzą w pojedynkę. Mały królewicz wydawał się zdrowszy, ale trudno było nazwać go mocnym.

Tygodnie mijały, a sytuacja w Polsce pogarszała się ciągle. Wkońcu Jan Kazimierz postanowił mimo wszystko wrócić do Warszawy. Właśnie w chwili, gdy sprawy polityczne zaczęły się nieco rozjaśniać, zachorował królewicz. Był to rodzaj infekcji płucnej, panującej wówczas w kraju. Zrobiono wszystko co było możliwe, w ciągu trzech dni jednak królewicz umarł.

Jan Kazimierz i Marja byli niepocieszeni. Starali się sobie pomagać jak tylko mogli, nic jednak nie przynosiło im ulgi: syn ich i dziedzic korony polskiej nie żył. Pogrzeb odbył się skromnie ze względu na położenie kraju. Marja ciężko zachorowała. Smierć ta zadała straszliwy cios jej uczuciu, nadziejom i ambicji. Czyż nie spodziewali się oboje z Janem Kazimierzem, że syn ich zasiądzie na tronie polskim?

Ku swemu przerażeniu i zgrozie Polacy byli świadkami jak wskutek zdrady panów, wojska Karola Gustawa prawie bez walki wkroczyły do Warszawy. Tylko Kraków bronił się w swych murach, ale niebawem i to miasto dostało się w ręce najeźdźców. Ponury Fryderyk Wilhelm pruski ogłosił się wasalem szwedzkim, jakby potwierdzając klęskę Polski. Szwedzi, książę Siedmiogrodu i inni pretendenci do tronu polskiego wkroczyli teraz do Polski na czele 50 tysięcy najemnych żołnierzy, którzy walczyli tylko w celach rabunkowych.

Najeźdźcy mordowali całe wsie. Tortury, jakim poddawano jeńców, były zbyt okrutne aby o nich tu opowiadać. W kraju szalał terror. Jan Kazimierz i Ludwika Marja tracili ostatnią nadzieję, nie wiedzieli skąd oczekiwać pomocy. Francja była zbyt daleko, aby im przysłać posiłki a tymczasem

król szwedzki otwarcie głosił rozbiór Polski. Najeźdźcy posuwali się wgłąb kraju aż dotarli do wielkiego i bogatego klasztoru Ojców Paulinów w Częstochowie. Odważny i roztropny przeor dzięki zręcznej strategji, sile woli i głębokiej wierze, którą na szczęście przejęli się jego zakonnicy, zdołał oprzeć się oblężeniu Szwedów już i tak osłabionych rozluźnieniem obyczajów, które wkradło się do ich szeregów po opanowaniu Warszawy. Głosząc cudowną moc Matki Boskiej Częstochowskiej, przeor Augustyn Kordecki natchnął obrońców taką odwagą, że Szwedzi zostali zmuszeni do odwrotu z pod murów niezdobytego klasztoru. Jan Kazimierz ogłosił wówczas solennie, że odtąd Matka Boska Częstochowska będzie świętą patronką Polski. Istotnie od tej chwili zdawało się, że stał się cud. Kronikarz owego czasu pisze: "Tylko cud mógł zbawić Polskę—i Bóg go nam zesłał."

ROZDZIAŁ XIV

Męstwo Królowej

Godna podziwu Marja nie traciła odwagi ani przytomności umysłu. Pomagała mężowi wszędzie i wszelkimi sposobami. Dzieliła jego ból po stracie dzieci, współczuła mu w tragicznej udręce z powodu klęsk wojennych. Nie bała się niczego i podobnie jak wiele kobiet francuskich okazała się mężna we wszystkich okolicznościach i niewyczerpana w zasobach sił. Historyk polski Waliszewski pisze o niej: "Wdzięczna Polska poprzez wieki głosiła sławę królowej, która w tych dniach beznadziejności tak wiele zrobiła dla zagrożonej znowu korony i dla przybranego kraju. Marja Gonzaga dała dowód prawdziwej mocy ducha i niezaprzeczonej zręczności politycznej, jednając sobie szlachtę, uzbrajając naród, zdobywając pomoc duchowieństwa i nie zaniedbując starań o pomoc zagranicy. Bardziej niż pobudka poranna stanowcza i czujna, stała się duszą oporu polskiego, jak ranny żołnierz, który nie chce umrzeć." Podczas pobytu w Głogowie, gdzie pozostawał pod opieką cesarza austrjackiego, Jan Kazimierz tracił resztki nadziei. Wszystko co go spotkało, było tak niszczycielskie i niesprawiedliwe, tak okrutne i gorzkie. Zdawało się, że śmierć syna, dziedzica korony, i uroczej córeczki jest ponad jego siły; obawa o utratę ojczyzny i królestwa, a także zdrada wielu możnowładców przekraczały miarę zła i cierpienia na tym świecie. Mimo że gorąco kochał Marję, wspominał teraz często ciszę i spokój klasztornego życia i z dna rozpaczy wzdychał za

niem jak za przystanią ukojenia. Marja rozumiała ten stan, ale jej miłość do Jana Kazimierza była obecnie pełniejsza niż kiedykolwiek. Starała się ukryć w sobie ból z powodu utraty obojga dzieci, największe cierpienie w jej życiu, i używała wszystkich sił aby podnieść ducha i przywrócić poczucie godności w kraju. Wszystkie względy przemawiały za tem, żeby tak postępować, ale najistotniejszym była napewno bezgraniczna miłość dla Jana Kazimierza; przytem słyszała cichy głos swej duszy: "Francja liczy na ciebie, pamiętaj o tem."

Oddała całą swą fortunę na rzecz zwycięstwa, sprzedała klejnoty, narażała swe zdrowie. Do możnowładców wystosowała zręczny i wymowny apel i obiecała im najkorzystniejsze beneficja, błagając ich jednocześnie, aby nasamprzód byli Polakami a potem szlachtą. Rozmawiała osobiście z hetmanami i zjednała sobie dzięki swej wspaniałej postawie i charakterowi takich ludzi, jak Potocki i Czarniecki. Nawet Lubomirski uważał, że chwilowo lepiej jest przyłączyć się do ludzi zgromadzonych przy królowej. Warunki, w jakich znajdowała się Polska były katastrofalne. Wydawało się, że obronne mury kraju rozwalił miecz ognisty w ręku szatana. Lud polski uciekał przed rzezią z miasta do miasta i ze wsi w szczere pole, napróżno szukając bezpiecznego schronienia. Karol Gustaw stojąc kwaterą na zamku w Warszawie, ze wzgardą rozprawiał o rozbiorze Polski. Otaczającej go szlachcie, która mu doradzała aby uświetnił swe zwycięstwo i dał się obrać królem, odparł uderzając mieczem w stół:

— Wasza elekcja!? Ja mam ją w ręku!

Ujrzymy jednak, że "Fides" Gonzagów, wiara przeora Kordeckiego i ludu w cudowną Matkę Boską Częstochowską, odmieniły los i zbawiły Polskę. Po niezliczonych bitwach prowadzonych ze zmiennem szczęściem, zwycięstwo przechyliło się na stronę polską. Dzięki swej cudownej wierze Jan Kazimierz i Marja, smutni lecz pełni wdzięczności, wjechali

do kraju. W roku 1635 podpisano pokój w Tyszowcach. Los kraju był ocalony, Polska znowu powołana do życia.

Szwedów zmuszono do ucieczki a nawet Chmielnicki, zdradzony przez cara, przyłączył się do Polaków. Wielki marszałek Wittemberg dostał się do niewoli. Warszawę odbito, chociaż niedługo potem stolica znowu zajęta została przez nieprzyjaciół. Stało się to wskutek interwencji elektora brandenburskiego, który na mocy traktatu w Labiewie otrzymał od Karola Gustawa Prusy Wschodnie i Warmję. Pruska zdrada nie udała się jednak, gdyż Rosja, Danja i Cesarz zdecydowali się wypowiedzieć wojnę Szwecji i przyjść Polsce z pomocą. Zmienny i podstępny Fryderyk Wilhelm Brandenburski zwrócił się znowu ku Polsce i uzyskał od niej na mocy traktatu welawskiego (1657) potwierdzenie suwerenności Prus Wschodnich. Jan Kazimierz nie godził się natomiast na niezależność Warmji i wynagrodził to księciu w inny sposób. Warszawa wróciła do rąk polskich. Potocki pobił Rakoczego, Austrja również przyszła z pomocą Janowi Kazimierzowi. Domagała się za to wielkich kopalni soli w Wieliczce, o które walczono wówczas tak jak dziś walczy się o tereny naftowe.

Pewien historyk polski powiedział: "Polacy wygrywali wojny krwią, a koszta ich opłacali najlepszemi swemi prowincjami. Zawiści wewnątrz kraju, rywalizacja i kłótnie wielmożów podzieliły naród na tyle partji politycznych, ile było w Polsce znakomitych rodów szlacheckich. Przekupstwo, przemoc, intrygi i zdrady krzewiły się jak osty w sierpniu."

Marja przywiązała się teraz jeszcze bardziej do swojej córki chrzestnej, która wyjechała z Francji jako czteroletnia dama dworu. Wspominaliśmy już, że potem stała się ona przedmiotem złośliwych plotek: dawano do zrozumienia, że była to córka królowej. W każdym razie Marja gorąco kochała dziewczynkę i nie rozstawała się z nią nigdy. Nie zgodziła się nawet zostawić jej na Śląsku i miała ją zawsze

przy sobie pośród wszystkich okropności powrotu Jana Kazimierza do Warszawy.

W ostatnich tygodniach wojny ze Szwecją Marja sama stanęła na czele jednego z oddziałów wojskowych. Sztab i wodzowie ustawali ze zmęczenia, królowa jednak nie traciła sił ani odwagi. Pocieszała rannych i dodawała ducha żołnierzom. Uspokajała swą córkę chrzestną, która mdlała na widok okropności wojennych. Marja już przedtem była świadkiem wielu strasznych rzeczy, ale to co spotykała teraz na każdym kroku, w kraju spustoszonym przez wroga, przechodziło miarę wyobrażenia. Wszędzie spotykała rannych i umierających żołnierzy, ludność ginęła z głodu, domy leżały w ruinach a w powietrzu unosił się ohydny zapach ciał, których nie zdołano pogrzebać. Okropności, które Marja przeżyła w owym czasie dadzą się tylko porównać z tem, co kobiety polskie przecierpiały w obecnej wojnie.

Marja była zawsze gotowa na wszystko. Opowiadają, że podczas bitwy, w której dowodziła oddziałem, padła cała obsługa przy dziale. Królowa kazała wyprząc konie z własnego powozu, zaprząc je do armaty i przetoczyć ją na lepsze stanowisko, a sama siadłszy na wielki bęben kierowała ogniem. Taka odwaga i taki przykład kobiety i królowej mogły dać tylko jeden wynik: zwycięstwo. Naród polski zgromadził się dokoła niej jak dokoła natchnionego zbawcy. Ludwika Marja odegrała jakgdyby rolę polskiej Joanny d'Arc. Wspaniałą pomoc znalazła w osobie Stefana Czarnieckiego, który po wszystkich drogach ścigał i wszędzie rozbijał cofające się wojska szwedzkie. Działo się to w lipcu, dni były długie a pod wieczór zdawało się, że promienie zachodzącego słońca czerwieniły się krwią, którą nasiąkła ziemia. Na pobojowiskach polskich legł kwiat rycerstwa szwedzkiego, a w pewnej starej księdze polskiej czytamy: "Rzeka Pilica płynęła czerwona od krwi umierających i umarłych."

Rozsierdzeni Polacy ścigali cofające się wojska szwedzkie aż do morza.

Pamiętniki z owych czasów pełne są szczegółów stwierdzających, że wojnę toczono ze straszliwem okrucieństwem. Na szczęście dla wszystkich król Karol Gustaw umarł w roku 1660; tego samego roku za panowania jego syna Karola XI Polacy i Szwedzi podpisali pokój w klasztorze w Oliwie, zwany w historji pokojem oliwskim. Jan Kazimierz był zmuszony zrezygnować z wszelkich pretensyj do tronu szwedzkiego a także ze swych praw do Inflant. Warunki pokoju obejmowały również przywrócenie księstwa Kurlandji; historja wykaże czy roztropną rzeczą było dopuścić do udzielności Prus, zatwierdzonej wówczas przez Szwecję i Polskę.*

Natychmiast po zawarciu tych traktatów w roku 1660, "stan trzeci" w Danji, korzystając z tragicznych doświadczeń Polski i zniecierpliwiony żądaniami nowych przywilejów wysuniętemi przez szlachtę i duchowieństwo, przyznał królowi Fryderykowi (1648-1670) władzę absolutną, zwaną Lex Regia. Tak samo wszystkie stany Szwecji, zaniepokojone zbyt wielką władzą Rady Królewskiej, ofiarowały prawie nieograniczoną władzę młodemu królowi Karolowi XII. W przeciwieństwie do tego władza królewska w Polsce zmalała tak bardzo, że kraj stał się prawdziwą rzeczpospolitą szlachecką. Sejm składał się z Senatu z biskupami, wojewodami i kasztelanami, oraz Izby poselskiej obejmującej delegatów z całego kraju; Senat i Sejm regulowały funkcje urzędów państwowych. Straszliwe i zgubne liberum veto istniało

*W tym czasie został również podpisany pokój w Kopenhadze, na mocy którego Szwecja, ktora napadła Danję, oddała jej całą południową część półwyspu skandynawskiego, przyznaną Danji w zasadzie przez traktat w Roeskild (po bohaterskiej obronie Kopenhagi). Niemniej Szwecja zatrzymała Drontheim i Bornholm. W roku 1661 Szwecja i Rosja podpisały także rozejm w Cardizie, zwracając sobie nawzajem zagarnięte prowincje.

jednak w dalszym ciągu, sprzyjało zdradzie i gwałtom i prowadziło kraj do zupełnego nierządu.

Świadomość tego niebezpieczeństwa dręczyła Marję, życie jednak upominało się o swoje prawa. Królowa rada była z powrotu na zamek warszawski, gdzie mogła nanowo przebywać u boku kochającego i pełnego wdzięczności męża. Oboje spodziewali się teraz odetchnąć spokojem i pomyśleć o odbudowie kraju, dotkniętego tylu klęskami.

Po śmierci dwojga dzieci Ludwika Marja przeniosła swoje uczucia macierzyńskie na chrzestną córkę, Marję d'Arquien. Trzeba było wydać ją zamąż i po wszystkich okropnościach, których była świadkiem w swojem dzieciństwie i w latach późniejszych, dać jej trochę radości życia.

Panna była piękna i inteligentna, nie trudno więc było znaleźć człowieka, któryby ją pokochał i ofiarował jej szczęście, na jakie zasługiwała.

Niebawem też znaleziono właściwego kandydata i królowa była wielce uradowana, gdy Jan Zamoyski, jeden z najbogatszych polskich panów, poprosił o rękę młodziutkiej i pięknej córki markiza d'Arquien Lagrange, jak ją nazywano w roku 1657.

Uroczystości zaręczyn i ślubu obchodzono z wielkim przepychem i urządzano tak liczne zabawy dla ludu jakgdyby straszliwe cierpienia i okrucieństwa lat ostatnich były tylko przykrym snem.

Po przyjeździe do Warszawy Zamoyski w obecności króla i królowej wręczył narzeczonej wspaniały pierścień z djamentami. Nazajutrz ofiarował jej djamentowy djadem, co dało powód do nowych uroczystości i przyjęć. Trzeciego dnia, ogłoszono publicznie zaręczyny, przyczem odbył się tradycyjny obrządek kąpieli panny młodej. Należał on w owych czasach do najbardziej charakterystycznych zwyczajów polskich. W komnacie przybranej kwiatami, na podniesieniu z sześciu stopni znajdowała się wielka marmurowa wanna,

napełniona wodą, która płynęła ze srebrnych rur. Oblubienica brała tę zbytkowną kąpiel w otoczeniu najbliższych przyjaciółek. Po kąpieli młodziutką Marysieńkę owinięto w perskie jedwabie i odprowadzono do komnaty, gdzie przywdziała kosztowny peniuar, wyszywany złotem i prawdziwemi perłami. Po krótkiej rozmowie z przyjaciółkami Marysieńka ubrała się w pyszną brokatową suknię, haftowaną drogimi kamieniami, poczem dwunastu paziów w bogatej liberji, niosących zapalone pochodnie, odprowadziło ją do apartamentów, gdzie czekał na nią Zamoyski. Para narzeczonych udała się następnie na wspaniała ucztę, w której uczestniczył cały dwór. Po uczcie odbył się koncert z udziałem najlepszych muzyków polskich i zagranicznych.

W dniu ślubu Zamoyski wyjechał ze swego pałacu na zamek otoczony orszakiem, który olśniewał oczy tłumu iście wschodnim przepychem, jak zawsze na podobnych uroczystościach. Mówiąc o Polsce trzeba zawsze używać superlatywów; wszystko, zarówno cierpienia jak i szczęście wydaje się w jej losach doprowadzone do najwyższego napięcia.

Orszak ślubny składał się ze stu hajduków, stu lokajów w barwach Zamoyskiego, i czterdziestu szlachciców, jego dworzan w rodowych strojach z klejnotami i piórami. Z kolei osiemdziesięciu ludzi prowadziło najpiękniejsze konie ze stajen Zamoyskiego. Inną część orszaku otwierało sześciu trębaczy i osiemnastu paziów w haftowanych atłasowych kostjumach z herbami rodu Zamoyskich. Za nimi paradowało dwustu przyjaciół pana młodego, z których jeden drugiego starał się zaćmić bogactwem i wystawnością. Wreszcie na wspaniałym koniu jechał sam Zamoyski ubrany w żupan z perskiego jedwabiu przetykanego złotem i obramowanego sobolami, połyskując klejnotami, którymi był wysadzany jego miecz i tarcza.

Według słów starej kroniki "trudno byłoby opisać jak piękne miał siodło i uprzęż." Pana młodego otaczało, niby

przyboczna świta, dwudziestu magnatów, ubranych z takim samym przepychem.

Błogosławieństwa udzielił oblubieńcom arcybiskup Leszczyński. Król Jan Kazimierz z radością patrzył na szczęście chrzestnej córki swojej ukochanej żony, rad że wkońcu jest świadkiem czego innego a nie bitwy i przelewu krwi. Miał u boku Marję, piękniejszą niż kiedykolwiek we wspaniałej toalecie i klejnotach, na które teraz po odzyskaniu królestwa szczodry małżonek mógł sobie znowu pozwolić. Po uroczystości ślubnej król i królowa odprowadzili nowożeńców do ich pałacu.

ROZDZIAŁ XV

Inne kłopoty i zawiści

"Rada jestem, że wydałam ją zamąż," myślała Marja, wychodząc na taras zamku warszawskiego, który znowu należał do niej. Bardzo mi jej brak, ale nie wolno mi oddalać się od Jana Kazimierza. Czuje się zmęczony przejściami i nie może otrząsnąć się z przygnębienia po śmierci dzieci. Czemu Bóg nie pozwolił mi ich utrzymać przy życiu? Czemu po krótkiem szczęściu spada na mnie tyle klęsk i nawet po zwycięstwie nie opuszcza mnie smutek?" Patrzyła długo na rozległą równinę i na Wisłę, która po tylu latach cierpienia wydawała się jej bardziej okrutna i jakże daleka od słodkiej Loary, płynącej cicho przez Francję i Niwernję, te wiecznie żywe kraje w jej sercu i pamięci.

Podniesienie Polski do dawnego stanu potęgi nie było teraz rzeczą łatwą, ale uważała to za swoje zadanie. Radziła się bezustannie króla i starała się zainteresować go nietylko materjalną odbudową kraju, ale i koniecznością reformy konstytucji.

Niestety zamierzenia królowej spotkały się z krytyką partji konserwatywnej, składającej się przeważnie z ludzi starych, którzy w przeszłości nie widzieli nic złego a wszelkie reformy na przyszłość uważali za błędne. Jednym z nich był Andrzej Maksymiljan Fredro. W pismach swych i przemówieniach głosił doskonałość starych praw polskich a potępiał wszystko, co było nowoczesne i zmierzało do wprowadzenia reform.

Zdobył jednak niewielu popleczników śród panów, którzy odzyskawszy swe włości, nie byli ciekawi skarg przeciw nowemu porządkowi, jaki Ludwika Marja i Jan Kazimierz próbowali wprowadzić. Działalność ich dążyła do tego by Polskę zwrócić Polakom, podczas gdy stary system z liberum veto prowadził do klęski i spustoszeń. Niemniej Lubomirski coraz bardziej zaciekły w swej mściwości, pilnie zważał na wszystko co Fredro mówił i potajemnie zachęcał go do dalszej akcji, wiedząc że mu się kiedyś przyda.

Marja miała słuszność; Jan Kazimierz czuł się zmęczony: niełatwo było być królem polskim. Udzielał wprawdzie Marji serdecznego poparcia, lecz sam nie był zdolny do żadnego wysiłku. Powierzył jej prawie wszystkie prace nad wprowadzeniem reform i podniesieniem kraju. Nie bez ironji pisał Rudawski, że "królowa prowadzi za sobą króla, jak mały Etjopczyk słonia." W starania swe wkładała Marja wszystkie siły, więcej nawet, niż pozwalało na to zdrowie, wiedziała bowiem, że czego sama nie zrobi, tego nikt za nią nie dokona. Polityka jest częstokroć trudniejsza od wojny; ataki i zwycięstwa na polu bitwy są rozstrzygające, polityka prowadzi przez labirynty, w których trudno jest znaleźć właściwą drogę.

W roku 1661 umarł Mazarin. Był on wielką moralną i finansową podporą Marji. Ludwik XIV nie chciał jednak bynajmniej zaniedbać wpływów francuskich w Polsce ani opuścić Marji, do której od wczesnej młodości był po bratersku przywiązany. Pozatem postanowił groźbami utrzymywać dom austrjacki w ciągłym strachu przed sobą. Był on teraz u początków swego wielkiego panowania—młody, czynny i pełen życia. Marja z łatwością znalazła u niego poparcie dla swego nowego planu. Na czemże plan ten polegał?

Tron polski był obieralny, dzieci Jana Kazimierza i Marji pomarły. Królowa oddała swej przybranej ojczyźnie najlepsze

lata swego życia. Jej cierpienia, ofiary i wysiłki nie powinny pójść na marne. W konstytucji Rzeczypospolitej nie było żadnych zastrzeżeń, które wzbraniałyby wybrać króla za życia poprzednika, Marja postanowiła więc znaleźć zawczasu następcę Jana Kazimierza. Gdy plany te przedstawiono Ludwikowi XIV i gdy król omawiał je ze swym znakomitym ministrem Colbertem, stwierdził z radością, że nietylko on i Marja pragnęli pomóc Polsce. Ludwik niemało był zdziwiony, gdy usłyszał jak Colbert zawołał z zapałem:

—Jeśli chodzi o złoto dla Polski, gotów jestem sprzedać wszystko co posiadam, zastawić fortunę żony i dzieci, i chodzić boso do końca życia!

Jak zawsze w okresach odbudowy, wszystko było kwestją pieniędzy. Ale w kraju tak zniszczonym jak Polska, gdzie ludność tyle przecierpiała, odbudowa wymagała nietylko wielkich wydatków ze strony państwa, ale i ogromnych wkładów możnowładztwa. Wziąć udział we wspólnym wysiłku i pomóc krajowi materjalnie musiało także duchowieństwo. Marja odwołała się do króla i do skarbu Francji i apel jej nie pozostał bez echa. Wiedziała jednak, że niewiele zdoła dokonać dopóki będzie w mocy konstytucja zezwalająca na to, by jeden głos sprzeciwu, dyktowany przez zdradę lub złośliwość, mógł zniszczyć wszystkie wysiłki szlachty i pomoc finansową Francji. Źródłem tego że Polska miała tylu wrogów, była jej słabość, o której wszyscy wiedzieli i którą wszyscy wykorzystywali. Mimo że Marja nienawidziła pamięć Richelieu, przypominała sobie, że położył on podwaliny pod wielkość Francji, przez osłabienie wpływów szlachty i wzmocnienie władzy skupionej w ręku króla. Nie oznaczało to, że Richelieu zaaprobowałby późniejszą działalność Ludwika XIV, widział jednak bezwzględną konieczność zjednoczenia wszystkich sił dla dobra Francji. Polityka ta była z pewnością przyczyną jego sukcesów i dzięki niej Francja osiągnęła swą prawdziwą jedność.

Marja rozumiała, że trzeba było zacząć od reformy konstytucji i usiłowała przekonać o konieczności wspólnego wysiłku tę część szlachty, razem z którą walczyła o oswobodzenie kraju. Do zrobienia zostało wszystko. Panowie chciwie strzegli swej władzy; każdy z nich posiadał teraz po kilka zamków obronnych a do niektórych należały całe prowincje. Wielu z nich było prawdziwymi patrjotami, inni jednakże, samolubni i kapryśni, sprzyjali tylko takim decyzjom królewskim, które godziły się z ich interesami. Król Jan Kazimierz z powodu nieszczęsnej konstytucji był tylko cieniem władcy. Marja czuła, że pierwszą rzeczą, którą należało uczynić, aby przywrócić Polskę do dawnej świetności, było wprowadzenie monarchji dziedzicznej, ale niełatwo jest zmieniać stare tradycje.

W związku z tem podsunięto Marji pewien pomysł. Pochodził on z Francji, od siostry jej, Anny Gonzaga, która w roku 1645 poślubiła księcia Edwarda Bawarskiego, palatyna Nadrenji. Z tego małżeństwa urodziły się trzy córki. Najstarsza Ludwika Marja, nazwana tak na pamiątkę ciotki, była brzydka i przeznaczona do klasztoru; dwie inne nosiły imiona Anny i Benedykty.

Mała Anna była ładnem i rozgarniętem dzieckiem, a Marja miała do niej szczególną sympatję. Tej bystrej dziewczynce byłoby z koroną bardzo do twarzy. Aby jednak mała Anna mogła zostać królową, trzeba było znaleźć dla niej króla i to króla sprzyjającego Francji. Siostra Marji, z charakteru podobna do ojca, żywiła co do swych córek ambitne zamiary. Zdecydowała też niebawem, że najlepszym mężem dla Anny będzie Henryk Juljusz de Bourbon, książę d'Enghien, nadający się idealnie na króla Polski. Był on synem Kondeusza i nieprzyjacielem Mazarina, ale fakt ten nie miał żadnego wpływu na ambitne zamiary Anny ani na plany Marji. Aby je uskutecznić, trzeba było zwołać sejm i przeprowadzić elekcję młodego księcia, jako dziedzicznego następcy Jana

Kazimierza. Wraz z tem małżeństwem popłynęłoby wiele złota francuskiego do Polski, co z pewnością zjednałoby planowi Marji popularność i przyczyniłoby się w dużym stopniu do przywrócenia bezpieczeństwa i dobrobytu w kraju. Z właściwym sobie taktem i rozwagą Marja przyjmowała teraz prawie wszystkich magnatów i znaczniejszych przedstawicieli Kościoła, długie z nimi prowadząc rozmowy. Tematem ich był wybór następcy tronu, który poślubiłby siostrzenicę Jej Królewskiej Mości, królowej Polski. Z wyborem następcy wprowadzonoby w niebezpiecznych prawach konstytucyjnych zmiany, mające określić przywileje szlachty i wzmocnić władzę królewską, co uwolniłoby kraj od grożącego niebezpieczeństwa ze strony wrogich sąsiadów.

Jan Kazimierz był jednym z tych rzadkich w historji ludzi, którzy z nieoczekiwaną siłą umieli mówić i działać w chwilach, gdy kraj tego najbardziej potrzebował. Król szybko ocenił doniosłość projektu Marji i zdawało się że także szlachta rozumiała wszystkie okoliczności. Jan Kazimierz otrząsnął się ze smutnego letargu i postanowił zwołać sejm. Francuski historyk z XVII wieku, Dorville, pisze w tym czasie o Marji. "Królowa, która miała niezwykły wpływ na umysłowość Jana Kazimierza, użyła całej swej dyplomacji, by nakłonić męża do mianowania następcy tronu w osobie Henryka Juljusza de Bourbon, księcia d'Enghien, syna Wielkiego Kondeusza." Król wystąpił z tą propozycją wbrew swoim ślubom, w których poprzysiągł nie mianować następcy za swego życia. Lubomirski odpowiedział wtedy Janowi Kazimierzowi:

—Nie udałoby się Waszej Królewskiej Mości dla własnego syna przeprowadzić tego, co próbujesz uczynić dla cudzoziemca.

Mowa, którą Jan Kazimierz wygłosił w tej krytycznej dla kraju chwili, będzie zawsze czytana z podziwem. Było to jakgdyby wielkie proroctwo i groźne ostrzeżenie. Król stanął

przed zgromadzeniem i rzekł:

—Bóg wie, jak bardzo chciałbym się mylić, ale jeśli nie pośpieszycie się i nie zrobicie wysiłku, aby zaradzić złu, którego przyczyną są wasze wybory, jeśli nie wyrzekniecie się osobistych przywilejów, to Rzeczpospolita stanie się łupem sąsiadów. Ruś i Litwa pójdzie pod władzę Moskwy, Wielkopolska i Prusy dostaną się Brandenburczykowi a dom austrjacki, lubo najzacniejszych zamiarów pełen, nie przepuści Krakowowi i temu, co zostanie z Rzeczypospolitej przy powszechnym jej rozbiorze.

Wymownych słów króla słuchano z wielką uwagą i szczerze je oklaskiwano. Potoczyły się dyskusje, przeważnie przychylne projektowi, gdy nagle ze złowieszczym uśmiechem na ustach powstał jeden z posłów. Był nim Maksymiljan Fredro, kasztelan lwowski, gorący przyjaciel Lubomirskiego. W kącie, zdaleka od oczu ludzkich siedział sam Lubomirski, milczący i posępny.

—Polska może zachować swą siłę jedynie pozostając wierna prawom zgodnym z tradycją i duchem narodu—krzyczał Fredro.—Nowe ideje, obce naszemu krajowi nie zakwitną w naszym klimacie, ani nie przyjmą się w umysłowości Polaków. Podważają one prawzory naszej polityki narodowej i niszczą wszystko co rozsądne i wskazane przez naszą tradycyjną miłość ojczyzny. Szlachta polska nie mieszka po miastach jak zagranicą, lecz jest rozproszona po całym kraju. To odosobnienie pomaga nam zachować czystość obyczajów w oddaleniu od zepsucia, które krzewi się w przeludnionych miastach. Szlachta wiedzie cichy i niezależny żywot, który chroni ją od współzawodnictwa i zawiści, żywot słusznie zwany patrjarchalnym. Jest to jedna z najważniejszych przyczyn dziedzicznej wspaniałości i potęgi naszego narodu, który słynie ze swoich zalet. Młodzież wierzy starszym i wzrasta patrząc na cnotliwe życie swych rodziców. Słucha opowieści o bohaterskich czynach, którymi w mi-

nionych czasach wsławili się przodkowie. Opowiadania te napełniają ich pragnieniem chwały lub sieją w nich wzgardę i nienawiść do sprawców narodowych nieszczęść. Te silne wrażenia, odebrane w ciszy wiejskiego życia, nie zacierają się tak łatwo, jak przygody podnieconego życia wielkich miast. Tylko zachowując tradycję i dawne obyczaje, możemy utrzymać nasz narodowy charakter i tylko duch naszych przodków może nas ocalić.

Wszystko to wydawało się przekonywujące i schlebiało samolubnej próżności panów. Opis patrjarchalnego raju był w pewnym sensie prawdziwy i Fredro przewidywał z góry, jakie wrażenie wywrze na umysły szlachty. Ale wiedział on również i to, że panowie nie lubili poświęcać bogactw dla dobra państwa i grał na ich powszechnie znanej żądzy zagarnięcia jak największej władzy w rządzeniu krajem.

Pod koniec przemówienia zgłosił swe liberum veto. Wszystko czego dokonano dla wzbogacenia, ocalenia i odbudowy Polski rozpadło się w gruzy wskutek ohydnej zdrady największego wroga Marji, Lubomirskiego.

Królowa omal nie zemdlała i natychmiast opuściła lożę, z której przysłuchiwała się dyskusji dotychczas tak przychylnej projektowi. Wiedziała aż nadto dobrze skąd pochodził ten brutalny cios i dokąd zmierzała nienawiść Lubomirskiego. Fredro był tylko jego sowicie opłacanym służalcem.

Waliszewski mówi o Lubomirskim: "Był on wytworem złotej wolności, wysoko postawionym anarchistą, idącym ręka w rękę z tymi, którzy stali u dołu." Obdarzony ujmującym wdziękiem, skomplikowany i samolubny, stał się zagorzałym przeciwnikiem Ludwiki Marji. Może myślał, że służy w ten sposób ojczyźnie lecz zatruty nienawiścią nie czuł już, że dopuszcza się złych czynów. Jego zamierzenia i prawdziwą istotę unicestwiała jedna namiętność: upokorzyć ongi tak kochaną a dziś znienawidzoną Marję. Wymierzył jej teraz pierwszy dotkliwy cios. Nienawiść jest jednak nie-

bezpieczna i zabija często tych, którzy nią żyją. Nie należy zapominać, że Lubomirski był Wielkim Marszałkiem Koronnym i miał niełatwą do utrzymania pozycję. Marja była zbyt mądra, aby działać pochopnie, a Lubomirski zbyt przebiegły, aby nie zosłonić swych postępków pozornie patrjotycznemi mowami Fredry.

Wielkie proroctwo Jana Kazimierza miało spełnić się później; szlachetny i dzielny naród polski wiele wycierpiał wskutek błędów, którym król starał się teraz zapobiec. Zanim jeszcze projekt przedstawiono sejmowi, Marja uczyniła wszystko, aby zjednać dlań Lubomirskiego, a ten z szatańską dwulicowością pochwalił projekt a nawet obiecał poprzeć kandydaturę księcia d'Enghien. W ostatniej jednak chwili zmienił zdanie i postarał się aby doszło to do uszu ludzi, którzy się go obawiali. W ten sposób zadał cios, o którym oddawna marzył.

Nienawiść zrodzona przez miłość jest prawdopodobnie najcięższą ludzką męczarnią. Zaledwie ofiara zaczyna cierpieć, prześladowca żałuje swego czynu i stara się zło naprawić. Gdy tylko Lubomirski obalił sejm i uniemożliwił przeprowadzenie projektu Marji, pożałował tego z dwu powodów. Najpierw, cios zadany królowej, nie sprawił mu radości, jakiej się spodziewał, gdyż królowa była zbyt opanowana i nie dała po sobie poznać, że cierpi. Powtóre, zdawał sobie sprawę, że jego zwycięstwo jest właściwie zamaskowaną klęską, bo królowa bynajmniej nie zrezygnowała ze swego projektu i po dawnemu dążyła do osadzenia księcia d'Enghien na dziedzicznym tronie polskim.

Ślub małej Anny z synem Kondeusza odbył się uroczyście we Francji a w kontrakcie ślubnym za zgodą Jana Kazimierza i Senatu polskiego wymieniono księżniczkę jako jedyną córkę króla i królowej Polski. Marja wspominała o niej, jako o córce stale, w rozmowach, w korespondenceji i w aktach. Być może iż w skrytości serca gotowa była modlić

się do Matki Boskiej Dobrej Miłości, aby raczej jej córka chrzestna panowała kiedyś w Polsce, czuła bowiem głęboko, że nikogo poza Janem Kazimierzem nie kocha tak mocno jak Marję d'Arquien. Ale trzeźwy umysł nie próbuje rzeczy niemożliwych a Marja dobrze wiedziała, że szlachta polska nigdy nie zgodziłaby się wybrać Zamoyskiego królem.

Ale kto mógłby odgadnąć co dzieje się w głębi ludzkiego serca? Modlitwy Marji, jak wszystkie jej uczucia, były napewno szczere i dziwnym zbiegiem okoliczności to co wydawało się nieziszczalne, stało się potem rzeczywistością.

Narazie jednak Marja nie mogła myśleć ani o chrzestnej ani o przybranej córce. Miała tylko jedno pragnienie pokonać i pozbyć się Lubomirskiego. Dążyła to tego celu niezłomnie i widziała w nim zbawienie Polski.

—Co za świetny sprzymierzeniec mógłby być z tego człowieka—rzekła pewnego wieczoru Marja do króla.—Czego on właściwie chce? Chyba nie pieniędzy; jest przecież tak bogaty!

Ludwik XIV przysłał do Polski przed otwarciem sejmu sześćset tysięcy funtów złota francuskiego. Czyżby Lubomirski chciał pomagać przy rozdzielaniu tego daru Francji?

Marja nigdy nie wspominała o tem, co było istotnem pragnieniem Lubomirskiego, a Jan Kazimierz nawet tego się nie domyślał. Lubomirskiego drażniła świadomość, że Marja broni się tak skutecznie i, że jednocześnie działa dla dobra kraju, podczas gdy on szkodzi ojczyźnie. Im jawniej królowa go zwalczała, tem goręcej uwielbiał ją w głębi serca; sprawiało mu też przykrość, że nie ukrywała coraz większej dla niego wzgardy. Z trudem znosił wyniosłe spojrzenia tej kobiety, której nie złamały żadne troski ani trudności i której uroda zawsze była godna podziwu.

Pewnego dnia wyczerpany tą rozterką, poprosił o audjencję u królowej, która Marszałkowi Koronnemu nie mogła odmówić posłuchania. Co miał zrobić, aby nie patrzyła na

niego tak wyniośle i gorzko? Obiecał jej postawić kandydaturę księcia d'Enghien i pozyskać zgodę senatu tak, aby sejm, który niebawem miał się zebrać, mógł ją tylko zatwierdzić. Marja starała się zawsze załatwić spory polubownie i jako osoba wielkoduszna zdolna była do poświęceń. Rozmawiała z nim bardzo łaskawie i zgodziła się na przedstawioną propozycję. Uszczęśliwiony jej uśmiechem, Lubomirski dowiedział się niebawem, że królowa równie łaskawie przyjęła wielu innych panów i zazdrość uderzyła mu znowu do głowy.

Na sejmie w roku 1662 głosował za utrzymaniem obieralności króla, podnosił wielką wartość tradycji i tym razem przemawiał osobiście. Wpływy i bogactwa tego magnata sprawiły, że szlachta z zapałem przyjęła jego wniosek, zapominając o niedawnych nieszczęściach, które ściągała na kraj konstytucja i system elekcyjny. Równie łatwo zapomniano też o złocie płynącem z Francji na odbudowę kraju. Sejm był jakgdyby zaczarowany słowami Lubomirskiego, niepomny obietnic danych królowej.

Wiadomość o zdradzieckiem postępowaniu Lubomirskiego dotarła niebawem do króla francuskiego, który gdy mu opowiadano szczegóły, zawołał:

—Jeśli niema innej rady na tego łajdaka, poślę tam moje wojsko. Dowództwo oddam Kondeuszowi i zobaczymy co z tego wyniknie.

Ludwik XIV miał może najlepsze zamiary, ale sprawa nie była tak prosta.

—Nie—odpowiedziała Marja, gdy jej przedstawiono ten projekt.—Oznaczałoby to wojnę domową. Polska nigdy nie pozwoli cudzoziemcom mieszać się do swoich spraw a szlachta czułaby się tem bardzo dotknięta.

Marja miała słuszność. Posiadała ona rzadki dar wczuwania się w sytuację innych, cechę znamionującą wybitnych

mężów stanu. Pozostał więc tylko jeden sposób zapewnienia Polsce spokoju—zgnieść Lubomirskiego.

Przypomnijmy sobie, że Marja oddawna interesowała się psychologją, astronomją i astrologją. Za radą przyjaciół sprowadziła kilku najgłośniejszych astrologów ówczesnych i pytała ich o radę. Wszyscy byli zdania, że aby przeprowadzić projekt i zapewnić Polsce bezpieczeństwo, należało Lubomirskiego unieszkodliwić.

Słowianie lubowali się podówczas we wróżeniu przyszłości. Wróżbiarstwem zajmowały się głównie kobiety. Chorych pielęgnowały znachorki i posługiwały się przytem w równym stopniu znajomością ziół jak i odczynianiem uroków. Już starożytni Persowie wierzyli, że adepci wiedzy tajemnej znajdują skradzione lub zgubione przedmioty. Do leczenia chorych używano woskowych figurek, które nabierały cudownej mocy, gdy jednocześnie odmawiano zaklęcia i modlitwy. Było to coś więcej, niż zabobon, w zabiegach tych używano prawdopodobnie w swoisty sposób hypnotyzmu. Kipling w swoich opowiadaniach o Indjach dał nam wiele uderzających przykładów tej tajemnej siły.

Przykładów fantazji ludowej możnaby przytoczyć co niemiara. Mówiono, że gdy wchodzi się do domu, trzeba zrobić pierwszy krok prawą nogą, bo lewa przynosi nieszczęście. Niedobrą wróżbą był także kot, jeśli w drodze na targ przebiegł drogę, natomiast poczytywano za dobry znak, gdy w noc zimową wilk przestraszył konia. W legendach polskich największą sławą cieszył się pan Twardowski, prawzór Fausta Goethego; sprzedał on djabłu duszę a pakt spisał własną krwią na bawolej skórze.

Marja skwapliwie słuchała astrologów i czarowników i często rozmawiała z damami dworu o wierzeniach ludowych. Nie traciła przytem zdrowego rozsądku i śmiało patrzyła prawdzie w oczy. Co do Lubomirskiego, po wielu naradach i długim namyśle przyszła do przekonania, że powinien

stanąć przed sądem. Byli śród jej otoczenia ludzie, oddani sprawie ojczystej a nienawidzący marszałka, którzy mieli inne plany jego usunięcia, lecz nie pozyskali zgody królowej. Marja nie kryła swej odrazy do Lubomirskiego, ale potępiła plan użycia przemocy. Usunięcie często oznacza poprostu zabójstwo a Marja wzdrygała się przed podobnemi metodami, nawet gdy chodziło o tak nienawistnego człowieka jak Lubomirski. Plany zmieniały się z dnia na dzień, Marja modliła się gorąco o trafną i sprawiedliwą decyzję. Radziła się swego spowiednika, jezuity, ojca Jourdana, którego słuchała jeszcze pilniej, niż sławnych astrologów. Było rzeczą oczywistą, że jeden człowiek nie może działać wbrew wszystkim i co gorsze hamować wszelki postęp i uniemożliwiać odbudowę zniszczonego kraju. Zgadzano się powszechnie, że Lubomirski powinien być w jakiś sposób usunięty. Marja pisała w tej sprawie do Ludwika XIV, który odpowiedział jej, że "jeśli to liberum veto ma być zawsze narzędziem przeciw rozwojowi, podżegacz powinien być usunięty." Sprawa wydawała się łatwa dla tych, których nie dotyczyła bezpośrednio, ale Marja, chociaż nie była bigotką, lękała się obciążyć swe sumienie śmiertelnym grzechem i znowu zwróciła się o pomoc do Świętej Panny Niwerneńskiej.

Ludzie z otoczenia królowej byli bardziej zdecydowani. "Usunięcia" Lubomirskiego podjął się Visniodi, młody Węgier, przebywający wówczas w Polsce, bardzo popularny śród szlachty. Visniodego znano powszechnie i uważano za człowieka poważnego i pewnego. Plan polegał na tem, że Visniodi miał spotkać się z Lubomirskim, uprowadzić go do umówionego pałacu, gdzie oskarżonemu kazanoby się wyspowiadać a potem zaimprowizowany sąd miał wydać na niego wyrok. Wszystko było przygotowane, zapomniano tylko, że Lubomirski był nietylko Wielkim Marszałkiem Koronnym, ale że podlegała mu także służba bezpieczeństwa. Poza tem tajemnica znana więcej niż dwu osobom, przestaje

być tajemnicą. Lubomirskiemu doniesiono o zamachu i, jak mówi ówczesny kronikarz, "sztylety, które miały mu zadać cios, trafiły w próżnię, bo Lubomirski zniknął."

O wszystkiem doniesiono Marji, która zaczęła nanowo szukać sposobu, by pozbyć się tego twardego i przebiegłego człowieka, wroga jej i Polski.

Był rok 1663. Ludwik XIV, który nigdy nie uchodził za opanowanego władcę, gdy mu opowiedziano o tych wypadkach, stracił zupełnie cierpliwość. Jako pierwszy krok na drodze do realizacji nowego planu, król postanowił zmienić swego przedstawiciela w Polsce.

W roku 1664 Marji udało się dowieść, że Lubomirski próbował zbuntować wojsko przeciw królowi, za co pozwano go przed sejm działający teraz jako trybunał sądowy. Oskarżony o zdradę stanu, został pozbawiony czci i zaocznie skazany na śmierć. Z kolei Lubomirski uciekł na Śląsk i stamtąd wspomagany przez panów, którzy dali się przeciągnąć na jego stronę, przygotowywał zemstę i wojnę domową.

Ambasador francuski, markiz de Lumbres, został odwołany. Zniecierpliwiony i stanowczy Ludwik XIV uważał sposób postępowania dyplomatycznego stosowany przez Mazarina za przestarzały. Na trudną placówkę przeznaczył Piotra de Bonzi, biskupa z Béziers. W owym czasie państwo i Kościół szły ręka w rękę a misje dyplomatyczne powierzano chętnie dostojnikom Kościoła. De Bonzi był młody, zręczny i, jak mówiono, bardzo światowy. Interesował się bardzo projektem Marji i Jana Kazimierza, ale niestety miał lekką wzgardę dla wszystkiego co obce, niebezpieczne uczucie, które niejednemu ambasadorowi utrudniło działalność zagranicą. Cenił jednak rozum Marji a jako człowiek ambitny starał się dobrze wywiązać z trudnego posłannictwa.

Francja wystąpiła z nową propozycją. Jako kandydata do korony polskiej wysunęła samego Wielkiego Kondeusza łącznie z jego synem. Ludwik XIV pisał do swego ambasa-

dora: "Dałem swoje zezwolenie i skłaniam się ku temu, aby mój kuzyn, książę de Condé, udał się osobiście do Polski, jeśli uważa to za potrzebne i postąpił w sposób, który będzie królowi i królowej Polski wydawał się najkorzystniejszy." Polakom było znane imię bohatera z pod Rocroi; powaga, którą cieszył się w całej Europie, dodawała znaczenia obradom sejmowym; zdawało się też, że wobec chwały jego zwycięstw ustaną wszelkie intrygi. Wiadomość o tych zamiarach nie znalazła dobrego przyjęcia w Szwecji, niezdecydowana Austrja czekała na rozwój wypadków a książę brandenburski szalał z wściekłości. Aby to osiągnąć, wydano wiele pieniędzy i, jak mówi kronika, "złoto francuskie topniało wówczas w Polsce, jak masło na ogniu."

De Bonzi podtrzymywał nadzieje partjotów na odbudowę kraju, podniecał gniew Jana Kazimierza przeciw zbuntowanemu Lubomirskiemu i krzepił wiarę królowej w powodzenie planu. Marja pragnęła by wszystko udało się jak najlepiej, ale jednocześnie pilnowała interesów polskich. Znała potęgę Kondeusza i właśnie dlatego obawiała się, żeby ten wielokrotny zwycięsca na polu bitwy nie zechciał odgrywać roli króla przed czasem. Wolała bardziej giętki charakter jego syna, księcia d'Enghien. Łudziła się pozatem wbrew wszelkiej nadziei, że uda jej się dojść do porozumienia z Lubomirskim; za wszelką cenę chciała uniknąć nowej wojny dla nieszczęsnego kraju. Niespodzianie znalazła wiernego sojusznika w nowym Marszałku Koronnym i znakomitym wodzu, Janie Sobieskim, który był całem sercem oddany ojczyźnie, królowi i jego sprawie. Sobieski, wojownik niewątpliwie wielki, trochę po żołniersku sądził, że najlepiej załatwić wszystkie sprawy, działając niezwłocznie i energicznie.

Marję zbliżyły do Sobieskiego także inne troski. Marja d'Arquien, która poślubiła Zamoyskiego, owdowiała i królowa pragnęła wydać ją zamąż ponownie. Od dłuższego czasu młodą i piękną wdowę łączyła z Sobieskim przyjaźń.

Królowa mogła na nim polegać, nie ulegało wątpliwości, że był w Marysieńce zakochany. Marja uważała, że najlepiej będzie przyspieszyć małżeństwo i zawrzeć je przed możliwym wybuchem wojny. Marysieńka będzie szczęśliwa, a królowa pozyska Sobieskiego na zawsze dla swoich celów. Czas naglił, trudności nie pozwalały na uroczyste wesele. Marja zakrzątnęła się koło tej sprawy tak zręcznie, że młoda para była niebawem po ślubie. Niestety, mimo wszystkich wysiłków królowej, wojna się rozpoczęła i Marja ujrzała znów swego ukochanego męża w zbroi w mieczem w ręku, gotowego do wyruszenia w pole.

Raz jeszcze liberum veto stało się przyczyną nieszczęść. Raz jeszcze cały naród musiał cierpieć z powodu zdrady jednego człowieka. Trudno jest dzisiaj, badając błędy przeszłości, zrozumieć dlaczego je popełniono. Pewne jest tylko, że liberum veto było jedną z największych klęsk, jakie kiedykolwiek dotknąć mogły naród.

Marję ogarnął gniew i rozczarowanie. Znienawidzony przeciwnik odnosił nad nią zwycięstwo a wszystkie trudy poniesione dla lepszej przyszłości Polski, poszły na marne. Z niechęcią myślała, że jeden człowiek, przy pomocy swego służalca, mógł obrócić w niwecz wszystkie jej starania. Gdy minął pierwszy okres goryczy, królowa odzyskała siłę ducha i zaczęła snuć nowe plany. Walczyła jakby w ciemności, ale to jej nie zrażało.

Jan Kazimierz był zawsze tam, gdzie być powinien a Marja nie opuszczała go nigdy. Król dodawał jej ducha, pocieszał ją i roztaczał przed nią nowe plany. Pośród wypadków, które mogły odebrać wszelką nadzieję, Marja dzięki swej wielkiej miłości znowu czuła się w głębi serca szczęśliwa.

ROZDZIAŁ XVI

Wojna domowa

Pisarz polski, Jan Chryzostom Pasek dał szczegółowy opis wysiłków podjętych, aby zgnieść tę wojnę domową, która nie była rewolucją. Wojnę wszczął jeden człowiek zraniony w swej dumie, ten sam, który już przedtem wyrządził wiele zła, korzystając z prawa liberum veto—Jerzy Lubomirski. Pasek pisze, że "chociaż każda wojna domowa jest nieszczęściem, ta była równie śmieszna jak tragiczna." Możliwe, że Pasek nazbyt poetyzował i widział rzeczy nie dość jasno, bo dalej mówi " Jan Kazimierz wybrał się na tę wyprawę z królową jejmością, z fraucymerem i całym dworem z Warszawy. Nic dziwnego, bo to nie wojna była, ale właśnie goniony taniec, abośmy ustawicznie z miejsca na miejsce gonili nie goniąc, a oni przed nami uciekali, nie uciekając."

Wojska litewskie, na które przypadł największy ciężar tej wyprawy, pełne były animuszu, ale zmęczone i, jak wszystkie wojska owego czasu, chciwe łupów. Żołnierze często nie wiedzieli dlaczego się biją i myśleli tylko o tem jak będą wynagrodzeni. Marja widziała tragizm sytuacji i traciła nadzieję.

Ludwik XIV gotów był wysłać pomoc, tembardziej że Kondeusz dzięki swym zwycięstwom zdobył sobie zbyt wielką i niemile przez króla widzianą popularność. Mając Francuza na tronie polskim, Ludwik tem łatwiej mógł

trzymać w szachu cesarza i inne burzliwe elementy na granicach swego królestwa. Złoto francuskie nie przestawało płynąć do polskich szkatuł.

Lubomirski, jak przedtem w czasie sejmu w roku 1662, zgromadził przy sobie wielmożów dzięki osobistemu znaczeniu i ogromnym bogactwom. Przeszli oni na jego stronę potraciwszy poprzednio swoje posiadłości. Ze zbrojną pomocą pośpieszyli mu wojewodowie: poznański, sandomierski, kaliski, sieradzki i łęczycki. Wielu innych poszłoby może ich śladem, ale dobra ich leżały zbyt blisko posiadłości królewskich. Jan Kazimierz miał zapewnioną pomoc od króla francuskiego, Lubomirski od Austrji i cesarza. Jako dawny Wielki Marszałek Koronny Lubomirski zebrał wszystkie możliwe wojska i stworzył z nich armję rokoszan, sam mianując się jej marszałkiem. Rokoszanie zaprzysięgli, że nie dopuszczą do elekcji następcy tronu za życia króla. To był główny cel wszystkich zamieszek, które wzniecił Lubomirski w nadziei, że stanie ponad potęgą Rzeczypospolitej. Zdawało mu się, że naśladując Cromwella, wprowadzi w swoim kraju nową formę rządów, przyjętą już w Anglji. Zamierzał wtedy ogłosić się protektorem i zapewnić władzę swym następcom. Zaczął od zjednania sobie grupy potężnych przyjaciół, których liczba urosła wkrótce do rozmiarów armji. Ale zaledwie powstała armja, rozprzęgła się wszelka dyscyplina i zapanował nieład. "Żołnierze—pisano wtedy—nie znali miary łupiestwa, ignorowali władzę marszałka, czy dyktatora, który w jednej osobie gromadził wszystkie godności Rzeczypospolitej. W istocie Lubomirski, jako marszałek konfederacji, werbował wojsko, wyznaczał podatki, przyjmował posłów i uzurpował sobie prawo życia i śmierci nad podwładnymi. Tego rodzaju konfederacje są zupełnym bezprawiem lecz przemoc i powodzenia często je legalizują; za zbrodnię są poczytywane wtedy tylko, kiedy nie mają siły."

Nieszczęsna Polska! Niezadługo w granice kraju ogarnię-

tego zawieruchą wojny domowej wejdą obcy. Okaże się, że Austrja nigdy nie była prawdziwą przyjaciółką Polski a Lubomirski nie mógł być poczytywany za rozumnego sprzymierzeńca swego własnego kraju.

U boku Jana Kazimierza przebywał wówczas pewien Francuz, niejaki Millet, który był agentem Kondeusza, i uchodził za "wybitnego cudzoziemca". Millet notował wszystko, co działo się w tym czasie w Polsce i przesłał te swoje "zapiski z pola bitwy" przez ambasadora de Bonzi do Francji. W jednym liście pisał: "Wojsku brak jest wszystkiego, niema ani jedzenia ani amunicji. Tacy wspaniali żołnierze jak Kozacy, chodzą boso i przymierają z głodu. Nikt nie wie dokładnie gdzie jest Lubomirski, przez co pościg staje się podobny do polowania w nocy." Wielki Marszałek Koronny i Hetman Polny Jan Sobieski, który nie we wszystkiem zgadzał się z królową, ale niemniej zdawał sobie sprawę z sytuacji, zaczął się niecierpliwić. Wojska królewskie bez wielkich strat przeprawiły się przez Wisłę pod Opatowcem i podeszły blisko pod obóz rokoszan.

Lubomirski i jego żołnierze zniknęli jednak natychmiast w labiryncie lasów i mokradeł. Starcia bez decydującego wyniku zmęczyły obie strony do tego stopnia, że wkońcu na przeciąg tygodnia ogłoszono zawieszenie broni. Potem nastąpiło coś, co z trudem możnaby nazwać bitwą. Była to raczej krwawa utarczka dokoła sławnego klasztoru ojców Paulinów w Częstochowie. Tym razem jednak mnisi byli po stronie dawnego marszałka, łupili żołnierzy królewskich i zamykali przed nimi wrota klasztoru. Rycerzy, którzy niedawno pomagali zakonnikom w obronie klasztoru przed Szwedami, porywano z koni, bito i więziono, i nagle po tem wszystkiem wypuszczano na wolność z powodów nie dających się odgadnąć. W rezultacie utarczka skończyła się klęską Jana Kazimierza, który dotkliwie odczuł brak kawalerji. Gdy przygnębiony król zwrócił się do de Bonziego po ratunek, amba-

sador odpowiedział, że "nie nosi kawalerji w kieszeni." Wszyscy mieli dość wojny. Marja zrozpaczona, radaby uniknąć przelewu krwi, zaproponowała pertraktacje, ale warunki Lubomirskiego były tak trudne do przyjęcia, że rozmowy nie dały żadnego rezultatu. Król w surowych słowach wezwał Lubomirskiego, aby walczył jak żołnierz a nie jak wilk, na co Lubomirski odpowiedział: "Nie walczę ja przeciw królowi, panu memu, ale bronię się wedle mych możliwości, jako obrażony podwładny. Niewinna krew, której przelew opłakuję, nie na moją spadnie głowę, ale na głowę Króla Jegomości i jego złych doradców co go do tego przywiedli, kraj na ruinę narażając. A jednak dla dobra Rzeczypospolitej zgadzam się na traktat, króla przeproszę chociaż go nie obraziłem. Gotów jestem podjąć się pokuty byle nie była szkodliwa mojej i mego domu reputacji." Wysławszy to pismo Lubomirski uciekł, ścigany przez króla i jego wojsko. Wsie stały w płomieniach, biedny lud cierpiał, biskupi i senatorzy błagali króla, aby zlitował się nad krajem. Podjęto nowe próby pojednania. Przybyli posłowie Lubomirskiego i król ku wielkiemu wzburzeniu wielu wybitnych osobistości, rozpoczął upokarzające pertraktacje.

Niezadługo jednak okazało się, że pertraktacje są tylko podstępem ze strony Lubomirskiego, który chce zyskać na czasie. W wojnie domowej, jak we wszystkiem na świecie, ten ma rację, komu dopisuje powodzenie, a w tej chwili Lubomirski miał wszystko za sobą. Strach padł na stronników króla. Jan Kazimierz musiał wycofać się aż pod granicę litewską i nalegał usilnie na Bonziego, aby mu przysłał nietylko pieniądze, ale i ludzi. Ludwik XIV zgodził się na obie formy pomocy, ale Bonzi, trochę zaskoczony, zawołał:

—Ci ludzie utopią się w szklance wody.

Wspierany nieulękłą odwagą i naleganiami Marji, Jan Kazimierz mimo zmęczenia i nadchodzącej zimy, ruszył przeciw Lubomirskiemu i odniósł nad nim zwycięstwo pod

Toruniem. To zwycięstwo, które król zawdzięczał wytrwałości królowej i zaufaniu pokładanemu w jej sądy, tak zaskoczyło Lubomirskiego, że nagle zdecydował się przyjąć warunki, odrzucone poprzednio w Rawie. Zażądał tylko restytucji dóbr i przywrócenia go do czci, nie upominając się o dawne godności. Musiał jednak złożyć obietnicę, że opuści królestwo. Podpisano traktat w Palczynie, na południu od Bydgoszczy, ale w istocie była to tylko zwłoka. Wiadomo było, że obietnice rozwieją się jak dym a Lubomirski ustąpi tylko wtedy, gdy będzie pobity na głowę.

Minęła zima. W ciągu trzech miesięcy Francja przysłała znowu pieniądze i posiłki, ale nie mogła przecież w nieskończoność finansować wojny domowej w Polsce. Lubomirski nie stracił ani chwili w swej niesłusznej i zdradzieckiej wojnie z królową i zyskał prawie wszystkich wojewodów dla swojej sprawy. Wielu z nich było przeciw wtrącaniu się kobiet do polityki, a niektórzy jawnie występowali przeciw królowej. Król i Marja mieli jeszcze wiernych stronników, ale nawet Pasek zaczął się skłaniać ku zdradzieckiemu marszałkowi. Pisał bowiem w tym czasie: "Lubomirski zaczął spokojny odwrót ale król ścigał go zapamiętale. Niema nic straszniejszego, niż wojna domowa, brat bije się przeciw bratu a syn przeciw ojcu. I z jakiego powodu? Z próżności pięknego mężczyzny odrzuconego przez piękną kobietę. Była to potrzeba wielce in confuso. W owem pomieszaniu trudno było rozróżnić kto nieprzyjaciel i kogo uderzyć."

Lubomirski raz jeszcze zniknął z pola walki, na którem zostały trupy i cierpienia. "Wojacy królewscy zabijali niechcący oficerów, ojcowie niewidzący synów, wioski się paliły a ubodzy ludzie płakali cierpiąc jak zawsze najwięcej."

Lubomirski osiągnął prawie swój cel, którym było złamanie władzy królewskiej i upokorzenie królowej. Jan Kazimierz popadł w rozpacz.

Sztuką swej djabolicznej perswazji zdołał Lubomirski

przekonać wojewodów, że stare prawa były najlepsze; dnia 31 lipca 1666 roku w Łęgonicach podpisano warunki pojednania, zawierające to okrutne zdanie: "Dekret ten zatwierdza uroczyście wolność przyszłych wyborów i ciągłość praw i obyczajów w Polsce." Jakgdyby zdając sobie sprawę ze swego niegodnego czynu, Lubomirski przeraził się tego, co zrobił, i po podpisaniu traktatu zgodził się przeprosić króla. Pasek, który pozostał przy królu, ale w znacznym stopniu uległ wpływowi Lubomirskiego, pisze: "Przyjechał tedy pan Lubomirski w kilkuset towarzystwa i starszyzny do obozu. Dwie tylko chorągwie pancerne królewskie stały w placowej straży a inne było wojsko po swoich szałasach; do namiotów jednak królewskich naschodziło się kompanji siła widzieć tę ceremonję. Skoro wszedł do namiotu, przemowę skończywszy, gdy już miał przysięgać, wraz wszystkie płótna u namiotów opuszczono, żeby wszyscy mogli widzieć."

Ujrzano wtedy Lubomirskiego, który stał piękny, wyzywający i, trzeba przyznać, prawie triumfujący. Oczy jego spotkały się z oczami Marji, stojącej u boku króla; patrzyli na siebie z nienawiścią. Lubomirski zniszczył jej plany dlatego, że nie chciała ulec mu potajemnie, że była szczera w swej miłości do męża, że dla ocalenia swej przybranej ojczyzny miała odwagę walczyć mimo wątłego zdrowia i wielkich trudności. Zniszczył jednocześnie Polskę—Marja widziała to jasno. Patrząc na niego czuła swą przegraną. Nie miała już nic do powiedzenia, nawet Francja nie mogła uratować jej sprawy. Marję ogarnęła beznadziejność i rozpacz. Jan Kazimierz odczuwał swem kochającem sercem całą jej mękę. Zielone oczy rzucały płomienie i gdyby spojrzenie mogło zabijać, Lubomirski padłby trupem na miejscu. Składał teraz ukłon przed królem lecz z nienawiści drżał na całem ciele. Świadkowie tej sceny stali bez ruchu jak kamienne posągi. Wszyscy wyglądali jakby rażeni piorunem.

Lubomirski, blady z wściekłości, skłonił się i zniknął.

Marja zmęczona i zrozpaczona była blizka zemdlenia. "Dopomóż mi, Święta Panno Dobrej Miłości, dopomóż mi," modliła się, kładąc rękę na ramieniu Jana Kazimierza, gdy wchodzili razem do wielkiego namiotu. Marja szła spokojnie i z godnością, ale zaledwie opadły zasłony namiotu, zachwiała się i osunęła bezsilnie. Jan Kazimierz wziął ją na ręce i zaniósł na tapczan w głębi namiotu. W omdleniu Marja czuła się dziwnie szczęśliwa."

—Aniele mój, bohaterko moja, kocham cię, kocham cię z całego serca. Boże, ona przecież nie umrze! Nie mogę cię stracić, Marjo! Spójrz na mnie, usłysz mnie! Uwielbiam cię, najdroższa.

Marja nie słyszała może tych słów, lecz docierało do niej uczucie ulgi i ogarniało całą jej duszę. Tak, jad nienawiści Lubomirskiego nie może jej zabić, cud musi się stać. Jan Kazimierz troskliwie ułożył poduszki dokoła jej głowy i klęknął przy łożu. Patrzył na Marję leżącą na perskich dywanach, na piękną jej twarz, bladą od zmęczenia i wewnętrznej udręki. Królowa otworzyła powoli oczy i spojrzała na męża. Nie dręczyło jej nic w tej chwili, była zupełnie szczęśliwa. Podniosła się z trudem i objęła ukochanego ramionami. Delikatnemi rękoma oplotła jego szyję i poczuła w sobie nową siłę i nadzieję. Złączeni długim namiętnym pocałunkiem, pojęli, że miłość jest największą potęgą duszy ludzkiej, zapomnieli o wszystkiem oprócz wiary w swoje szczęście. Odcięci od świata, pośród trudności i trosk, w obliczu klęski, byli zupełnie szczęśliwi, choć tylko na krótką chwilę. Miłość ich była jakby kojącym powiewem płynącym skroś dantejskiego piekła. Przeszli razem przez wielki namiot, i patrząc przez rozchylone płótna na gwiaździste niebo, pomyśleli, że mogliby znieść niewiadomo jak ciężkie próby i dalej walczyć razem aż do zwycięstwa.

"Ileż razy jeszcze moje zmęczone ciało usłucha rozkazów duszy?"—myślała Marja. Jan Kazimierz patrzył długo w jej

wielkie, zielone oczy, które odpowiedziały na to spojrzenie tak promiennem światłem, że w sercu jego ocknęła się znowu nadzieja. Spoglądając na szeroką równinę rozpościerającą się przed nimi, Marja uśmiechnęła się swym czarodziejskim uśmiechem i rzekła:

—Będziemy walczyli razem i wkońcu zwyciężymy.

Komuś bezstronnemu mogłoby się wydawać, że plan Marji, by Polsce zapewnić spokojną przyszłość przez wzmocnienie władzy królewskiej, poniósł nieodwołalną klęskę. Ale Lubomirski nie znał Marji Gonzaga. Nie bez uczucia rozkoszy narzucił jej traktat, który dla każdego innego człowieka byłby ostateczną przegraną. Marja wiedziała jednak dobrze, co nie wiele osób rozumie, że aby odnieść zwycięstwo, nie należy poddawać się klęsce.

Królowa była zmęczona i rozgoryczona. Szlachta, którą zdołała początkowo pozyskać dla siebie, opuściła ją teraz, przekonana przewrotnemi insynuacjami Lubomirskiego. Królowa jednak nie zrezygnowała i gdy przeczytała haniebny traktat, oczy jej błysnęły gniewem:

—Nie wszystko jeszcze stracone, wiem co uczynię—zawołała.

Wydaje się śmieszną rzeczą porównywać Lubomirskiego z Cromwellem, jak to czynią niektórzy historycy. Polski magnat odniósł zwycięstwo tylko dzięki uporowi, podstępowi, krętactwu i złej woli. Waliszewski pisze o nim: "Lubomirski mierzył w królewską władzę, jak dziecko mierzy z procy do ptaka, lecz działał na zgubę ojczyzny z wszystkich sił i z fatalnym skutkiem." Niedość jest odznaczać się przebiegłością, aby stać się dobrym politykiem. Gdyby Lubomirski był naprawdę inteligentny, zrozumiałby plan Marji. Dla dobra kraju powinien był ją poprzeć, nawet gdyby jej nienawidził. Sprzymierzony z tą rozumną kobietą i z królem, mógłby ocalić Polskę, lecz marszałek postępował niestety jak podstępny szermierz. Robił krok naprzód i cofał się wstecz,

składał obietnice i zmieniał zdanie, zwracał się to w tę, to w tamtą stronę; zjednywał panów dla swej akcji, potem ich odtrącał i znów wszczynał zabiegi o ich poparcie. Największem jego pragnieniem było zniweczyć nadzieje Marji i nie dopuścić do przeprowadzenia jej planów. Z niewiarogodnym uporem próbował ją pokonać i złamać moralnie. Po zawarciu traktatu w Łęgonicach, po którym mógł się uważać za zwycięzcę w tym długotrwałym konflikcie, raz jeszcze zmienił front i zaczął udawać, że w pewnym stopniu popiera zamiary królowej. Możliwości wyboru następcy królewskiego w czasie, gdy poprzedni zasiadał na tronie, nie wykluczały nawet ostatnie poprawki wprowadzone do konstytucji. Jan Kazimierz był wprawdzie królem ale mógł abdykować. Nieraz już o tem myślał, Marja jednak nie godziła się na zupełną rezygnację z życia publicznego. Gdyby król abdykował, dawny marszałek być może użyłby swego wpływu, by poprzeć kandydaturę Kondeusza i jego syna. Po przeprowadzonej elekcji Lubomirski zadowoliłby się prawdopodobnie pięknemi posiadłościami pod Krakowem, dwoma czy trzema warownymi zamkami, jakąś częścią odzyskanych kopalni soli i sześciuset tysiącami funtów sterlingów. W tym duchu podpisano z Lubomirskim dwie umowy. Jedna z nich była tajna i przez długi czas nieznana; zawierała ona warunek, że dwaj synowie Lubomirskiego zostaną natychmiast wysłani do Francji jako zakładnicy. Marja wierzyła, że tym razem przeprowadzi elekcję po swojej myśli. Powinna była jednak lepiej znać swego partnera. Lubomirski zaraz po zawarciu umów, wycofał z powodu jakiegoś błahego szczegółu swój podpis, zobowiązania i przysięgi. Wyjechał bez słowa na Śląsk i zażądał tylko spalenia traktatów. Ambasador Bonzi, gdy mu opowiedziano o tym fakcie, zawołał:

—On nie uznaje nawet pokoju, który sam narzucił krajowi.

Był to rok 1666. Wszystkich ogarnęło rozczarowanie, nikt nikomu nie ufał, szlachta groziła nowym rokoszem.

Ludwik XIV był wzburzony i nabrał obrzydzenia do całej sprawy. Kozacy i Turcy, świadkowie osłabienia kraju i ciągłych wewnętrznych zamieszek, przyjęli wobec Polski groźną postawę. Jan Kazimierz odwołał się do całego Chrześcijaństwa, gotów był do abdykacji i czekał już tylko na to, co Ludwik XIV postanowi o przyszłości jego i Marji. Plenipotent królowej, Morsztyn wyjechał do Francji aby dopilnować umowy w tej sprawie. Przejeżdżając przez Śląsk wysłał stamtąd zdumiewającą wiadomość, że Lubomirski nie żyje. Umarł dotknięty jakgdyby ręką Bożą. Jego krzepki organizm złamany został przez atak paraliżu, który po czterech dniach pozbawił go życia. Trzech medyków nieobeznanych ze swym zawodem, więcej przyczyniło się do uwolnienia Polski od największego jej wroga, niż całe wojsko królewskie. Pasek pisał: "Często skarżył się na bóle głowy i mówił, że ludzie, którzy głową pracują, często od tego umierają." A dalej: "Byli tacy, którzy go opłakiwali, ale byli też inni, którzy radowali się jego śmiercią."

Lubomirski należał niewątpliwie do nieprzeciętnych osobistości. Czarował wszystkich; był piękny, niezmiernie bogaty, i miał hojną rękę, gdy mu to odpowiadało. Jeśliby wszystkie siły swej bogatej natury oddał w służbę dobrej sprawy, wyświadczyłby swemu krajowi nieocenione usługi. Nienawiść zwróciła go ku złemu i stała się przyczyną jego śmierci.

ROZDZIAŁ XVII

Wytchnienie

Lubomirski nie żył!

Marja nie mogła w to uwierzyć. W pierwszej chwili doznała wprost fizycznej ulgi. Walczyła wytrwale ze straszliwemi przeciwnościami, które piętrzył przed nią ten nienawistny człowiek, i wyczerpała w tej walce wszystkie środki i zasoby. Gotowa była na najgorsze i odważnie znosiła niepowodzenia, ciosy i klęski; często musiała używać całej siły woli, aby ukryć swe cierpienia. I oto teraz wróg jej nie żył! Czy z nim razem zniknie także zło, które wyrządził jej i krajowi? Obawiała się, że nie, ale nie należało tracić nadziei. Zdobyła przecież dwukrotnie poparcie wojewodów dla swej polityki a szczerość jej była naprawdę zniewalająca. Początkowo myślała, by wrócić do swego wielkiego planu, starać się obalić liberum veto i wprowadzić monarchję dziedziczną, choćby to miało oznaczać abdykację jej i Jana Kazimierza. Dałaby w ten sposób Polsce mocne podstawy istnienia, a sama spełniłaby swój obowiązek wobec nowej swojej ojczyzny i wobec Francji. Tak, podejmie znowu swe dzieło, czy zdoła jednak pozyskać zaufanie szlachty, którą zdemoralizował Lubomirski, przeciągając ją na swoją stronę przekupstwem? Straszliwy obłęd liberum veto był aż nazbyt oczywisty, ale komu chciało się o tem myśleć, gdy nadeszły pogodniejsze czasy?

Królowa przyrzekła sobie, że nie ustanie w swych wysił-

kach. Postanowiła też nie okazywać Janowi Kazimierzowi ani swej chrzestnej córce jak bardzo była wyczerpana fizycznie i moralnie. Wszystko co podejmowała, kończyło się prawie sukcesem, ale to "prawie" znaczyło tyle co nic.

Lubomirski zostawił po sobie zgubne dziedzictwo swych wpływów i zło żyło nadal, choć główny jego sprawca umarł. Wojna toczyła się pod wezwaniem: "Zachowajmy nasze dawne tradycje i nasze dawne szanowane prawa." Hasło to mogło liczyć na powodzenie. Mało ludzi zadaje sobie trud, aby przemyśleć samodzielnie kwestje polityczne; o ileż łatwiej jest słuchać kogoś, kto uchodzi za autorytet. Wojewodowie wrócili do swych posiadłości i przywilejów, czemuż mieliby teraz troszczyć się o liberum veto? Może zresztą nie jest ono takie złe, jak mówił Lubomirski, i kto wie czy tron elekcyjny okazałby się lepszy od dziedzicznego? Ostatecznie, stare prawa przyznawały szlachcie więcej przywilejów i to było dla niej najważniejsze. A pozatem . . . Wojna się skończyła, poco się trapić? . . .

Tymczasem z południa zaczęły dochodzić niejasne wieści o nowych zamieszkach. Ale możnowładcy myśleli już tylko o sobie, o podreperowaniu nadwątlonych fortun i spustoszonych majątków, lekceważąc istotne niebezpieczeństwo, które miało się stać przyczyną zguby.

De Bonzi chciał za jednym zamachem ubić dwie sprawy, nalegał aby Kondeusz przyjechał do Polski, poprowadził wojnę z Turkami i aby przy tej sposobności zapewnił sobie głosy szlacheckie. Jan Kazimierz naprawdę zamierzał zrzec się tronu; z bólem patrzył na piękną ale coraz bledszą i smutniejszą twarz Marji. Decyzja zależała już tylko od sumy, jaką Ludwik XIV zapewniłby im po abdykacji. Ostatnie lata były dla Marji jak zły sen. Zdawało się jej, że jest w zaczarowanym lesie, z którego nie może się wydostać, bo każde wyjście, zaledwie je odkryła, zarastało ciernistemi krzewami, które udaremniały ratunek.

Morsztyn po przyjeździe do Francji został bardzo życzliwie przyjęty przez Ludwika XIV i zrobił co mógł, aby zachęcić króla do osadzenia Kondeusza na tronie polskim. Doradzał on, by Kondeusz stanął na czele korpusu składającego się z dziesięciu tysięcy ludzi i, o ile udałoby się podpisać odpowiedni układ z Anglją, przyjechał do Polski drogą morską. Ludwikowi XIV bardzo leżały na sercu sprawy Marji. Kochał ją jak siostrę i często wspominał jej urodę i małżeństwo. Chętnie podpisał umowę, zapewniającą królowi i królowej Polski godną ich stanu sytuację i hojną pomoc, gdyby uważali za stosowne abdykować. Ale w tej chwili uwagę jego zajmowała przedewszystkiem Francja. Bliższe wydawały mu się brzegi Renu i granice Holandji, niż daleka Wisła. Wysłanie Kondeusza z wojskiem do Polski na wojnę przeciw Turkom połączone byłoby z wielu trudnościami. Przejście okazało się możliwe tylko przez państewka niemieckie, ale starania o prawo przemarszu stanowiły bardzo trudny i niemiły problem dla domów panujących w Europie.

Ludwik XIV widział jasno wszystkie trudności, jakie stwarzała ówczesna zawiła sytuacja polityczna. Nie było czasu do stracenia; w maju 1667 roku wielki wódz francuski Turenne wkroczył do Niderlandów Hiszpańskich. W stosunku do Polski Ludwik był zrażony faktem, że jeden człowiek, korzystając z prawa liberum veto, mógł przeciwstawić się całemu narodowi. Król uważał, że dopóki istniała taka możliwość, wszelkie poparcie było daremne. Chętnie godził się pomóc Janowi Kazimierzowi i Marji, ale Polska musiała zaczekać.

ROZDZIAŁ XVIII

Koniec walki

Dzięki swej rozumnej i przenikliwej ocenie faktów, Marja wiedziała, że Polska znajduje się w tragicznem położeniu, choć w innych warunkach byłaby krajem kwitnącym. Nie mogła nic zarzucić Janowi Kazimierzowi, starał się przecież pomóc jej z całego serca. Takie było snać zrządzenie losu bezlitosnego dla nich obojga. Nie chciała abdykować, nie widząc przed sobą możliwości osadzenia króla francuskiego na tronie polskim. Dorville w swej sławnej książce "Annały polskie" pisze: "Królowa posiadała zalety wielkiego męża stanu, była duszą tajnych obrad Jana Kazimierza i kierowała postępkami króla. Zjawiała się często na obradach sejmowych, gdzie obecność jej pobudzała zapał pracujących z nią ludzi a nieraz wywierała znaczny wpływ na uchwały zgromadzenia. Pobożna i pełna poświęcenia, miała dość charakteru, aby śród intryg politycznych poddać królowi myśl abdykacji, gdyby to było konieczne."

Dotychczas lekceważyła niebezpieczeństwo bitew i umiała znosić nawet trudy zimowych wypraw, w których brała udział wespół z ukochanym mężem. Teraz jednak niebo zaległy czarne chmury. Przestała już wierzyć czy jeśli nanowo podejmie walkę i pokona nawet pewne trudności, jakiś ambitny a przewrotny przyjaciel Lubomirskiego nie zniweczy wszystkich jej starań, zakładając liberum veto. Nigdy nie była bardzo silna, ale hart ducha i wielka miłość do Jana

Kazimierza dawały jej wytrzymałość, by 'znosić fizyczną i moralną udrękę ustatnich miesięcy. Teraz widziała przed sobą tylko niepokonane trudności i jeszcze głębsze rozczarowania. Tym razem czuła się pobita. Od czasu wypraw zimowych coraz częściej zapadała na zapalenie oskrzeli. W listach do Kondeusza, który był jej bardzo oddany, wspominała otwarcie o swych chorobach, a odpowiedzi księcia świadczą o jego głębokiej trosce z tego powodu. Wierny doktór, Augustyn Courrade, postarzał się bardzo. Cierpienia fizyczne i moralne królowej trapiły go niezmiernie, ale nie ufał już własnym decyzjom. Wysyłał długie listy do "wielkich książąt wiedzy medycznej" w Paryżu, opisywał niedomagania królowej i pytał o radę. Jan Kazimierz rozumiał każdą myśl Marji i wczuwał się w każdy jej nastrój. Mimo tych cierpień fizycznych, Marja, otoczona miłością i opieką ukochanego człowieka, czuła się szczęśliwa jak ongi za lepszych czasów. Ale wytrzymałość fizyczna nawet krzepiona uczuciem, ma swoje granice.

Pierwsze dni pobytu Marji w Polsce nie były szczęśliwe. Potem znalazła miłość swego życia w osobie Jana Kazimierza, który swą dobrocią wynagrodził jej brutalność Władysława. Kiedyś opuszczając Nevers, Marja pożegnała czule siostry zakonne i po przybyciu do Warszawy próbowała założyć klasztor francuski w swojej nowej stolicy. Przez długi czas prowadziła nawet w tej sprawie korespondencję z późniejszym świętym Wincentym à Paulo. Niestety sprowadzić siostry do Polski było podówczas niemożliwą rzeczą, mimo że Marja chciała pokryć wszystkie koszta podróży. Ufundowała więc nad Wisłą bogaty klasztor i szukała tam niekiedy wytchnienia od świata. Królowa była gorliwą katoliczką, co zyskiwało jej wielkie uznanie u pobożnych Polaków. Religijność była jedną z przyczyn popularności pary królewskiej.

Polacy należeli zawsze do żarliwych wyznawców kościoła a obrządki religijne były przez nich pilnie przestrzegane.

W Wielkim Tygodniu, obchodzonym gorliwie przez wszystkie warstwy społeczne, przerywali zajęcia i oddawali się praktykom religijnym przed wielkiem świętem Zmartwychwstania. W tych praktykach i modłach para królewska świeciła zawsze przykładem. O arcyksiężniczce Konstancji Austrjackiej, matce Jana Kazimierza, opowiadano, że miała zwyczaj odwiedzać ubogich i chorych w Warszawie, niosła między nich słowo pociechy i nie skąpiła zapomóg pieniężnych. Noc wielkopiątkową spędzała klęcząc w kościele, który opuszczała dopiero gdy zaczynano śpiewać Aleluja. Na każdy dzień Wielkiego Tygodnia przypadały inne obyczaje i obrządki. Marja unikała krańcowości ale uczestniczyła wraz z królem we wszystkich uroczystościach kościelnych. W Wielki Czwartek na pamiątkę Pana Jezusa, który głosił miłość bliźniego, wysoki dostojnik Kościoła umywał nogi dwunastu ubogich starców, których następnie zapraszano do stołu królewskiego na zamku. Król w towarzystwie najznakomitszych dygnitarzy, usługiwał im do stołu, poczem każdy biedak otrzymywał sztukę złota zawiniętą w serwetkę. Niektórzy z nich mieli po sto lat a jeden liczył nawet sto dwadzieścia trzy.

W dniach tych dzwony kościelne zastępowano kołatkami i drewnianymi dzwonami. Gdy w katedrze rozległ się ich odgłos, cała młodzież warszawska wybiegała na ulicę, napełniając miasto hałasem ręcznych kołatek. W Wielki Piątek przywdziewano żałobę i odwiedzano groby wzniesione w kościołach na pamiątkę męki i śmierci Zbawiciela. Po miastach i wsiach istniał zwyczaj palenia kukły, przedstawiającej Judasza Iskarjotę, a młodzi ludzie ćwiczyli się rózgami, dając wyraz pokucie i umartwieniu.

Ostatnie dni przed Wielkanocą spędzała Marja w klasztorze, gdzie zawsze czekała na nią specjalna cela. Dawniej jeździła tam często na odpoczynek i rozmyślania. Teraz droga wydawała jej się uciążliwa, coraz trudniej było jej wchodzić

pod górę, bywała więc w klasztorze tylko przy ważniejszych okazjach. Tego roku właśnie zdobyła się na wysiłek i pojechała tam, by wziąć udział w uroczystości urządzonej z powodu przywdziania welonu zakonnego przez młodą osobę, którą się opiekowała. Matka przełożona opowiadała potem, że wszystkie siostry miały łzy w oczach, gdy królowa opuszczała klasztor. Była chora i blada, ale łaskawa i miła dla wszystkich.

Gdy wracała do zamku Jan Kazimierz oczekiwał ją na stopniach tarasu. Zdawało się, że oboje w głębi kochających serc przeczuwali okrutne rozstanie. Opierając się ciężko na ramieniu męża, Marja weszła do swej komnaty. Wezwano lekarzy, a król nie odstępował jej łoża. Z dziwną odwagą, która nie opuszczała jej nigdy, Marja spytała doktorów:

— Czy moja choroba jest niebezpieczna?

Jeden z nich odpowiedział:

— Niestety, Najjaśniejsza Pani, jest nieuleczalna.

Gdy Jan Kazimierz ukląkł przy łożu i ujął jej ręce, Marja wyszeptała:

—Boże, oddaję ci moje życie.

Spowiednik królowej, ksiądz jezuicki, który był stale przy niej, przygotował sakramenty. Królowa niewiele miała do wyznania na spowiedzi. Od wielu dni jakgdyby czuła zbliżający się koniec i starała się przygotować swe odejście; okazywała teraz swemu otoczeniu jeszcze więcej dobroci i wspaniałomyślności, niż zazwyczaj. Spowiednik prawie nieświadomie zwracał się do niej po łacinie, jak to miał w zwyczaju, Marja odpowiadała mu tak samo.

Była wiosna, pora roku, którą tak lubiła. Zdawało się jej, że wielka miłość męża obroni ją przed cierpieniem fizycznem. Patrzyła w oczy Jana Kazimierza i kiedy dusza jej odeszła, król poczuł, że umarła lepsza jego połowa. Dnia 9 maja roku 1667 skończyła sią wędrówka doczesna Marji Gonzaga. Pasek pisze: "Ludwika Marja, tak jakby można

powiedzieć o Elżbiecie Angielskiej, była właściwie królem."

Zgodnie z życzeniem Marji, serce jej złożono w ulubionym klasztorze pod opieką dobrych sióstr, które widziały ją poraz ostatni przed samą śmiercią. Umieszczono je w srebrnym relikwjarzu, na którym dwa anioły trzymały wieniec. Relikwjarz, dar wielkiego Kanclerza litewskiego, stanął na cokole z czarnego marmuru. Według ówczesnego zwyczaju, ciało przybrano w bogate szaty, a trumnę wystawiono na widok publiczny. Stała na wysokim, srebrnym piedestale otoczona niezliczonemi świecami. Codzień rano odprawiano mszę, pienia żałobne wykonywali najlepsi śpiewacy. Na nabożeństwie bywał cały dwór. Jan Kazimierz modlił się nie wstając z klęcznika, blady jak śmierć. Trumnę królowej złożono później na Wawelu w Krakowie, gdzie chowano królów polskich. Jan Kazimierz towarzyszył ciału i wrócił do Warszawy, pogrążony w rozpaczy. Miał bardzo wrażliwą naturę i nie mógł podźwignąć się z bólu.

W czasie pierwszych dni samotności król był prawie nieświadomy własnej egzystencji. Niebawem jednak musiał pomyśleć o losach kraju. Do twardej rzeczywistości przywołał go list Kondeusza, który musiano mu odczytać, gdyż oczy jego były zbyt osłabione bezustannym płaczem. List ten zmuszał króla do powzięcia wielkich decyzji, do czego teraz czuł się zupełnie niezdolny. Zawsze zwracał się do swej ukochanej żony, aby zasięgnąć rady w ważnych sprawach a teraz musiał o wszystkiem sam rozstrzygać.

— Co powinienem zrobić—zawołał gdy mu przeczytano list.—Co radziłaby królowa? Coby postanowiła?

I nanowo ogarnęła go rozpacz w całej swojej beznadziejności.

—Boże—skarżył się—straciłem najlepszą żonę, najczulszą matkę, najbardziej uroczą siostrę i najmilszą córkę—w jednej osobie!

Niema straszniejszego widoku, niż mężczyzna wstrząsany

spazmatycznym łkaniem. Otoczenie Jana Kazimierza obawiało się, że serce jego nie wytrzyma cierpienia.

Przed Janem Kazimierzem gromadziły się teraz wielkie trudności. Sprawa elekcji następcy, tak droga sercu Marji, nie była dotąd załatwiona; król czuł aż nadto wyraźnie, że Ludwik XIV i Francja interesuje się nią o wiele mniej, niż poprzednio. Bonzi chciał skorzystać z uroczystości pogrzebowych, by sprowadzić Kondeusza z synem do Polski i zapewnić mu elekcję. Ale rzeczy zaczynające się od pogrzebu nie są najszczęśliwsze, pozatem sytuacja uległa zmianie. Kondeusz miał atak podagry; Ludwik XIV był bardziej zajęty innemi sprawami i pragnął widzieć Kondeusza na czele wojsk. Ambicję Kondeusza także bardziej pociągała rola bohatera Francji, niż króla polskiego. Chciał zaćmić sławą Turenne'a i Polska przestała go pociągać.

Przejście przez Ren wydawało się teraz Ludwikowi ważniejsze, niż wpływy francuskie w Polsce. Nie chciał jej wprawdzie zaniedbywać, ale wobec niedorzecznego liberum veto nie mógł jej pomóc skutecznie. Pragnął jednocześnie odsunąć od Renu wpływy austrjackie i nie dopuścić do nich w Polsce. Zaczął szukać sposobu, aby pogodzić się z księstwami Muenster i Neuburg. Powziął już plan i zmierzał prosto do celu. Przeraził pogrążonego w boleści Jana Kazimierza, doradzając mu małżeństwo z trzynastoletnią córką księcia neuburskiego. Jan Kazimierz odpowiedział krótko, że nie mógłby tego uczynić nawet dla dobra Polski.

ROZDZIAŁ XIX

Żałoba i boleść

Jak należało się domyślać, Jan Kazimierz nie chciał nawet słyszeć o ponownem małżeństwie. Nie czuł w sobie dość siły, aby samotnie przeciwstawić się potędze panów i pragnął już tylko jednej rzeczy: przywdziać nanowo szaty zakonne i schronić się w ciszę klasztorną. Starał się jak najlepiej służyć krajowi, który szczerze kochał, ale nie wierzył, aby coraz bardziej skomplikowana sytuacja polityczna mogła ulec poprawie póki słowo jednego człowieka mogło rozwiązać sejm i zniweczyć szczery wysiłek lat. Nieprzyjaciele zewsząd otaczający Polskę, rozumieli ten fakt dobrze i przy pierwszej sposobności zamierzali wykorzystać sytuację i zagarnąć co się da.

Jan Kazimierz chciał jednak wprzódy wiedzieć co Ludwik XIV gotów jest uczynić dla niego w razie gdyby abdykował. Wspaniałomyślny król francuski był zawsze ostoją w życiu Marji, ale jak postąpi teraz? Tymczasem sytuacja polityczna pogarszała się z każdym dniem, od południa nadchodziły ponure wieści, że Turcy mają zamiar uderzyć na Ukrainę, Kozacy grozili nowym buntem, Rosja czyhała nienasycona jak zawsze, a obłudny i milczący król pruski obliczał co można wydrzeć Polsce w jak najkrótszym czasie.

Biedny Jan Kazimierz! Codziennie klękał przed portretem Marji, jakby oczekując pomocy od jej wizerunku. Kłopoty,

w istocie bardzo poważne, wydawały się zbolałemu królowi z każdym dniem coraz trudniejsze do przezwyciężenia. Napróżno szukał rady i wsparcia. Panowie myśleli tylko o swych własnych interesach, co mogłoby zniechęcić nawet młodego króla, a cóż dopiero Jana Kazimierza, któremu wszystko wydawało się beznadziejne.

Ludwik XIV ze swej strony zniechęcił się do Polaków, którzy sami przeszkadzali odbudowie kraju i zdecydował się doradzać Janowi Kazimierzowi abdykację.

Jan Kazimierz tylko na to czekał i o to prosił w swych modlitwach Boga; zwlekał z decyzją jedynie w poczuciu swych obowiązków wobec kraju. Przez całe życie nie uchylał się od trudności, które przynosił mu los i nie walczył o swoje osobiste szczęście. Charakter jego ukształtował się pod wpływem miłości do pobożnej matki. Ileż to razy jako młody chłopiec modlił się z nią razem podczas długich nabożeństw Wielkiego Tygodnia! Słodycz tej bogobojnej kobiety przeszła w jego naturę. Później gdy powstała kwestja, który z dwu braci, on czy Władysław, ma ubiegać się o tron, Jan Kazimierz wycofał się dobrowolnie i wiedząc, że takie było życzenie ojca, uczynił wszystko, aby zapewnić elekcję brata. Teraz chciał przywrócić w Polsce porządek, usilnie zabiegał o pomoc wielmożów i starał się na nich wymóc, aby poświęcili osobiste sprawy dla dobra ogólnego.

W tym okresie wielką pomocą był mu Sobieski, który wraz z żoną wspierał króla wszelkiemi siłami. Ale Sobieski był przedewszystkiem żołnierzem, a samolubstwo panów nie miało granic. Niszczycielski wpływ Lubomirskiego sięgnął głębiej, niż on sam mógł się spodziewać. Złamał ostatek wiary we władzę królewską i tak skutecznie zbałamucił szlachtę, że nie troszczyła się już o nic. Panowie myśleli, że teraz wszystko pójdzie dobrze i każdy będzie szczęśliwy na swojej zagrodzie. Niestety, sytuacja była beznadziejna.

Łatwo sobie wyobrazić ulgę, jakiej doznał Jan Kazimierz,

gdy król francuski ofiarował mu opactwa i prebendy na wypadek zrzeczenia się tronu. Ludwik XIV nie chciał jednak zrezygnować z wpływów francuskich w Polsce i jako swego kandydata do tronu polskiego wysunął księcia neuburskiego. Dnia 4 marca 1668 roku został podpisany tajny układ między przedstawicielem Francji a baronem de Gises, ministrem pełnomocnym księcia neuburskiego, a dnia 16 czerwca tegoż roku król potwierdził swoje obietnice nowym aktem. Polityka Richelieu i Mazarina zmierzająca do utrwalenia wpływów francuskich w Polsce nie uległa zmianie. Narodowi polskiemu przedstawiono nowego kandydata do korony królewskiej, popieranego przez Francję.

W roku 1667 hordy tatarskie liczące sto tysięcy ludzi zaczęły pustoszyć Podole i Wołyń a wkrótce potem przyłączyli się do nich Kozacy. Polska nie miała nawet 12 tysięcy żołnierzy pod bronią i Jan Kazimierz myślał, że wszystko stracone. Jeden tylko Sobieski nie upadł na duchu i po gorliwych staraniach zgromadził dwudziestotysięczną armję. Pisał wtedy do żony: "Któregoś dnia zamknę się z 12 tysiącami żołnierzy w obozie pod Podhajcami w miejscu, gdzie Doroszenko napewno mnie zaatakuje. Następnego dnia ja uderzę na nieprzyjaciela i tak będę go nękał zasadzkami, że wkońcu wyniszczę wszystkie jego siły." List ten czytał Kondeusz, ale wątpił o zwycięstwie Sobieskiego. Także Polacy krytykowali swego wodza i szemrali przeciw niemu. Sobieski przemówił do nich w te słowa:

—Nie zmienię w niczem mych planów, zwycięstwo będzie nasze, jeśli dobrze je przygotujemy. Nie zatrzymuję żadnego żołnierza, który nie ma odwagi spojrzeć śmierci w oczy. Niech odejdzie i niesławnie ginie od szabli kozackiej lub tatarskiej. Co do mnie, pozostanę z odważnymi ludźmi, którzy miłują ojczyznę. Nie przeraża mnie ta gromada zbójców i pogan. Bóg dał niejedno zwycięstwo małej garstce ludzi walczących odważnie. Zapytuję was, czy wątpicie, że

Bóg będzie z nami przeciwko niewiernym?

Żołnierze zawstydzili się, zostali i walczyli.

Obóz Sobieskiego wobec stutysięcznego wojska atakującego Polskę był istnem wyzwaniem rzuconem wrogowi. Sobieski, niezachwiany w swem męstwie, wypuścił nawet jeńców na wolność i powiedział:

—Idźcie i donieście waszemu sułtanowi, że postąpię z nim tak jak on postąpił z moim bratem. Głowa za głowę!*

Wielkie bitwy wygrywano czasem w ciągu paru godzin, zwycięska rozprawa Sobieskiego trwała siedemnaście dni. Atakowano i cofano się, urządzano wypady i zasadzki aż wkońcu przyszło do wielkiej bitwy, po której Tatarzy musieli się cofnąć, zostawiając na pobojowisku 20 tysięcy poległych. Polacy zaledwie mogli uwierzyć w swoje zwycięstwo. Cały kraj, a nawet Kondeusz był pełen podziwu dla Sobieskiego, dla jego inteligentnej taktyki i zdolności przewidywania. Polska była zbawiona.

Zwycięstwo to przyniosło Janowi Kazimierzowi ulgę i pokrzepienie. Czuł teraz, że ma komu powierzyć troskę o kraj. Zwołał sejm i polecił podkanclerzemu Olszowskiemu przeczytać następujące orędzie:

"Król postanowił uczynić przerwę między burzliwym okresem królowania a wiecznym odpoczynkiem, nad którym teraz zamierza rozmyślać. Czuje on, że niedaleka jest chwila, gdy nie będzie już mógł udźwignąć ciężaru korony. Woli więc odejść sam zanim ktoś mu to doradzi. Doszły go szemrania przeciw jego rządom, słyszał też, że intencje jego tłumaczone są opacznie. Oskarżano go nawet, że pragnął siłą przeprowadzić elekcję swego następcy. Uwolni więc Rzeczpospolitą od swych własnych obaw i zwróci berło, które od niej otrzymał. Ponieważ postanowienie to jest nieod-

---

*Marek Sobieski dostał się w roku 1648 wraz z trzystu szlachty polskiej do niewoli tatarskiej. Chan kazał obciąć głowy pojmanym a ciała ich rzucić na pożarcie dzikim zwierzętom.

wołalne, Najjaśniejszy Pan prosi senatorów, aby mu oszczędzili zbytecznych perswazji."

Senatorowie słuchali orędzia królewskiego ze łzami w oczach. W imieniu Rzeczypospolitej prymas próbował tłumaczyć królowi, że nie powinien porzucać narodu, który tyle krwi przelał dla niego, ani wystawiać chrześcijańskiej Rzeczypospolitej na ciosy z rąk barbarzyńców; że nie wystarcza, aby król szukał ucieczki od świata, nie wiadomo bowiem, czy ją znajdzie. Jeśli chce spokoju, niech odpocznie, a Rzeczpospolitą poprowadzą znakomici mężowie stanu i hetmani; jeśli dręczy go sumienie, niech szuka pociechy u biskupów i papieża. Prymas i senatorowie byli gotowi rzucić się do nóg króla, ale Jan Kazimierz nie chciał tego aktu pokory, nieznanego w dziejach Rzeczypospolitej. Pozostał niezachwiany w swem postanowieniu. Wreszcie nadeszła chwila, gdy przed zebranym senatem Jan Kazimierz wszedł na tron po raz ostatni. W chwili gdy zaczął mówić, przypomniał sobie głęboką radość, którą odczuwał zawsze, gdy Marja była przy nim i słuchała jego przemówień przed sejmem. Rozumiała go tak dobrze i czule, że w tej chwili poczuł się jeszcze bardziej samotny. Wielkie wzruszenie odjęło mu siły tak że drżał cały, opanował się jednak z trudem i wygłosił ostatnie swoje słowo, które Coxe nazywa "najpiękniejszem i najbardziej przejmującem przemówieniem ze wszystkich znanych w historji."

—Polacy! Przez 281 lat dom nasz panował nad wami. Teraz jego i moje panowanie się kończy. Zmęczony wiekiem i wojnami, złamany obradami nad losem państwa, wyczerpany pracą, troską i niepokojem w ciągu 21 lat panowania, ja, wasz król i wasz ojciec, składam w wasze ręce to, co świat ceni najbardziej—koronę. Zamiast tronu, wybieram dla siebie sześć stóp ziemi, która połączy mnie z przodkami. Pokazując dzieciom mój grób, powiedzcie im, że byłem pierwszy w bitwie a ostatni w odwrocie; że wyrzekłem się

królewskiej świetności dla dobra kraju i królewskie berło zwróciłem tym, którzy mi je dali; że wasza miłość dla mnie wyniosła mnie na pierwsze miejsce, a moja miłość dla was każe mi dziś z niego ustąpić. Wielu moich poprzedników przekazało berło swoim synom lub braciom, ja zaś zwracam je ojczyźnie, której byłem dzieckiem i ojcem. Teraz z najwyższej wielkości schodzę w tłum, z ojca staję się synem, z pana podwładnym, z wodza szeregowcem, z króla waszym współobywatem. Miejsce moje zostawiam temu, kogo uznacie za godnego. Rzeczpospolita dokona słusznego wyboru i będzie żyła w szczęściu, jeśli niebo wysłucha mnie w samotności, do której się udaję. Pozostaje mi tylko podziękować wam za wszystkie wyświadczone mi usługi, za udzielone mi rady i za okazaną mi gorliwość. Jeśli wbrew mej woli panowanie moja nie podobało się poniektórym moim poddanym, proszę ich, aby przypisali to nieszczęśliwym wypadkom lub zrządzeniu losu, i wybaczyli mi jak ja wybaczam tym, którzy mnie obrazili. Żegnam was wszystkich. Zachowam was w pamięci i w sercu. Dzielić mnie będzie od Rzeczypospolitej wielka przestrzeń, ale serce moje na zawsze pozostanie przy niej, jak przy czułej matce. Polecam wam, aby prochy moje złożone zostały w sercu ojczyzny.

Jan Kazimierz złożył swą abdykację na piśmie i przedstawił ją sejmowi a Rzeczpospolita przyznała mu trzysta tysięcy florenów pensji. Był ostatnim potomkiem Jagiellonów, kardynałem i księdzem jezuickim. Wstąpił na tron polski i zrzekł się go, aby udać się do Francji i tam rządzić zakonnikami opactwa Saint-Germain-des-Prés i Saint Martin w Nevers, przyznanemi mu przez Ludwika XIV. Dorville pisze: "Jan Kazimierz był najlepszym mężem, łaskawym panem, dobrym przyjacielem, pełnym odwagi wojownikiem i sprawiedliwym sędzią."

Biedny Jan Kazimierz! Czuł się przez pewien czas jakby poza obrębem życia. Ludzie nie poznawali go w księżej su-

tannie, którą teraz nosił, a tłum nie zwracał na niego uwagi, gdy przechodził ulicami. Niekiedy gorzko sobie wyrzucał, że zrzekł się tronu. Szukał ucieczki w rozległych przestrzeniach swego kraju, ale i to nie zdołało wrócić mu równowagi i ukoić serca. Na szczęście nowe obowiązki zmuszały go do podróży. Wyjechał do Francji i w drodze poczuł poraz pierwszy przypływ spokoju i zadowolenia. Jechał do kraju Marji. Zawsze lubił Francję, chociaż niegdyś w Marsylji obeszła się z nim tak surowo. Miał objąć w posiadanie opactwa i z radością, myślał o pracy, która go czekała. Przyznano mu kierownictwo nietylko opactwa Saint-Germain-des-Près i Saint-Martin w Nevers, ale wielu innych, a śród nich Saint-Taurin koło Evreux.

Waliszewski pisze: "Dnia 10 października Jana Kazimierza przyjął w Metzu arcybiskup d'Embrun, który powitał znakomitego gościa przemówieniem pełnem hołdu i uwielbienia." W pałacu arcybiskupim wydano dla niego wielką ucztę, długie jej opisy można znaleźć w starej "Gazette de France." Król w żałobie, niegdyś kardynał, potem legendarny mąż i kochanek, teraz znakomity opat—wszystko to podniecało wyobraźnię pięknych dam w Metzu. "Gazette de France" pisała bardzo krytycznie o bezwstydnych, choć zapewne szykownych, sukniach, w których tego wieczoru zjawiły się panie zaproszone na przyjęcie do pałacu arcybiskupa. Jan Kazimierz miał rzadki wdzięk w obcowaniu z ludźmi, niejedna też piękność marzyła o łaskawym uśmiechu i uprzejmym komplemencie opata, który jeszcze niedawno był Jego Królewską Mością a przedtem Jego Eminencją. Jan Kazimierz nie zdawał sobie sprawy z wrażenia, jakie wywierał; czuł się teraz mniej samotny i z otuchą myślał o pracy, której miał się podjąć. W Meaux powitał go książę de Condé i jego syn, książę d'Enghien. Spotkanie to było krzepiące i bolesne zarazem. Mówiono tylko o Marji i o jej tragicznym wysiłku podjętym dla dobra Polski.

Ulegając prośbom Kondeusza Jan Kazimierz przyjął ofiarowaną mu gościnę w Chantilly i spędził tam cztery dni pełne wrażeń. Zamek roił się od gości, wszyscy byli ciekawi byłego króla i kardynała, który tak gorąco kochał ich drogą Marję Gonzaga. Każdego ranka odbywały się polowania lub zabawy w parku a wieczorem przedstawienia dowcipnych komedji, wystawianych na modłę włoską; potem towarzystwo udawało się na ucztę. Biedny Jan Kazimierz doceniał te starania, ale uśmiech na jego twarzy stawał się coraz rzadszy. Po przyjęciu wysłannika Ludwika XIV, hrabiego de Lionne, który przywiózł mu pozdrowienia od króla, opuścił wreszcie Chantilly i schronił się do Evreux i oficjalnie objął w posiadanie opactwo Saint-Taurin. Tutaj pokrzepił duszę i odzyskał uśmiech. Ukląkł przed wielkim ołtarzem i podziękował Bogu za to, że pozwolił mu znaleźć spokój, samotność i ciszę. Nie przestał jednak niepokoić się wiadomościami z Polski. Często dręczyły go wyrzuty, że opuścił kraj, zrobił jednak dla jego dobra wszystko, co było w ludzkiej mocy?

Po miesiącu odpoczynku, którego bardzo potrzebował, gdyż podróż była długa i mimo okazywanej mu gościnności męcząca, udał się do Paryża, gdzie został bardzo serdecznie przyjęty przez Ludwika XIV. Król francuski powitał go jak szwagra i zapewnił, że Ludwikę Marję kochał jak siostrę.

Opactwo Saint-Germain-des-Prés było największe śród nowych posiadłości Jana Kazimierza; razem z sześciu innemi opactwami dawało pięć tysięcy funtów rocznie, co miało pozwolić mu żyć na stopie odpowiadającej jego stanowi. Jan Kazimierz objął opactwo dnia 23 maja 1669, a 24 listopada wprowadzony został uroczyście do swego kościoła. Dom boży przystrojono najpiękniejszymi gobelinami, królewski opat miał na sobie tylko skromny strój księdza i order Złotego Runa, jako jedyną ozdobę. Towarzyszyło mu wielu panów polskich i rycerzy jego świty. U wrót opactwa powitali go przy dźwięku dzwonów zakonnicy i księża. Pierwszy

po opacie przeor wygłosił uroczyste przemówienie a kościół napełniła melodja dziękczynnego Te Deum.

Nowe życie? Nie, raczej ostatni krótki rozdział życia przepełnionego już dawniej niezwykłymi wypadkami. Podczas uroczystości czuł się jak senny duch, zbłąkany pomiędzy żywymi: wszystko wydawało mu się nierealne. Spodziewał się znaleźć spokój, który jednak nigdy nie miał być jego udziałem na tej ziemi. Niebawem nadeszły zasmucające wieści, że nowoobrany król polski okazał się słaby i nieudolny. Każdy list wyciskał łzy z oczu Jana Kazimierza, bo przypominał mu starania Marji o wprowadzenie poczty między Polską a Francją. Przedsięwzięcie to się udało, poczta funkcjonowała sprawnie. Ile innych rzeczy mogła była dokonać, gdyby nie zwalczali jej zazdrośni wrogowie! Jan Kazimierz dowiedział się z listów, że naród polski nie zgodził się na księcia neuburskiego, który nawet nie zadał sobie trudu, aby przyjechać do Polski, dać się poznać i podtrzymać swą kandydaturę. Jak zwykle, wielu było kandydatów, a między nimi taka ilość cudzoziemców, że wkońcu szlachta zdecydowała się wybrać ziomka, Michała Wiśniowieckiego. Był to człowiek o słabym charakterze ale wywodził się z książęcego rodu. Wybrano go zresztą dlatego, że był słaby i tem łatwiej stał się narzędziem w rękach magnatów. Zawistni sąsiedzi skorzystali z tego natychmiast i Turcy napadli na Ukrainę.

Jan Kazimierz czuł na sobie coraz dotkliwiej, że zmiana klimatu i cierpienia nie są wzmacniającym środkiem dla zmęczonych nerwów. Obecne jego życie wymagało ciągłego kontaktu z wybitnymi ludźmi, śród których nie brakło interesujących kobiet. Ile razy jednak zatrzymał dłużej spojrzenie na jakiejś kobiecie, natychmiast zaczynano plotkować. Gdyby ci złośliwcy mogli czytać w jego zmęczonem sercu, umilkliby zawstydzeni. Metastasio mówi o tem pięknie:

Se a ciascun l'interno affanno
Si leggesse in fronte scritto
Quanti mai che invidia fanno
Ci farebbero pietà.

Jan Kazimierz lubił opactwo Saint-Martin w Nevers; niedaleko stamtąd były ciepłe kąpiele w Pougues, które przynosiły ulgę jego reumatycznym bólom. Wolał także być w Nevers, gdzie czuł się bliższy Marji i gdzie przynajmniej chwilowo zostawiano go w spokoju. Otaczał go opieką stary doktór Courrade, ukochany lekarz jego żony, który wrócił do Francji po śmierci królowej.

Jan Kazimierz przybył tam w pierwszych dniach listopada. Zakonnicy poczynili wszystkie przygotowania na przyjęcie królewskiego opata. Dobry doktór Courrade zjawił się natychmiast, aby służyć mu pomocą. Nadeszły jednak złe wieści z Polski, mówiły o wzięciu Kamieńca, pierwszej polskiej fortecy na Podolu, zdobytej przez Turków pod wodzą Mahometa IV. Jan Kazimierz załamał się znowu pod wpływem tych wiadomości. Przeczytał list, trzymając go w drżących rękach, poczem padł na kolana i zatopił się w modlitwie. Starał się nie poddawać przygnębieniu i ukryć przed ludźmi swe troski.

Pewnego dnia, wkrótce po przyjeździe do klasztoru, wyszedł na przechadzkę sam, bez młodego księdza, który mu zwykle towarzyszył. Dzień był chłodny i wilgotny; zdawało się że sama przyroda jest przygnębiona. Wiał ostry, zimowy wiatr. Jan Kazimierz dotarł pod zamek, w którym urodziła się Marja. Zatrzymał się i patrzył na piękne linje budowli, potem skierował wzrok ku Loarze. Tuż poza miastem rzeka zataczała wielki łuk, o którym Marja opowiadała tak chętnie. Długo stał, zachwycony tym widokiem, i przebiegał myślami tragiczne obrazy przeszłości. Przypomniał sobie inny dzień w innym kraju, gdy patrzył na wielką chłodną rzekę a w sercu odczuł po raz pierwszy, że kocha

Marję. Uciekł wtedy z przed jej oczu w jakimś wewnętrznym popłochu. Teraz tak jak wówczas, miał na sobie księżą sutannę, i jak wtedy, zawrócił i wszedł do katedry. Ukląkł i modlił się, podobnie jak owego dnia w Warszawie. Gdy opuszczał nawę kościelną, czuł się bliżej Marji niż kiedykolwiek od dnia jej śmierci. Wyszedł z katedry bocznemi drzwiami i szybko mijał miasto. Bóle przeminęły, reumatyzm przestał mu dokuczać. Wąskiemi uliczkami wspinał się pod górę i schodził w dół, aż wreszcie stanął przed pięknemi wrotami kościoła Świętego Stefana.*

Oczy jego syciły się pięknem świątyni. Obszedł ją dookoła. Co za arcydzieło! Piękno zawsze działało na niego kojąco. Wszedł do wnętrza i znów zachwycił się doskonałością tego klejnotu z kamieni. Powoli, w głębokiem zamyśleniu minął nawę, ukląkł i długo modlił się przed wielkim ołtarzem. Potem zwrócił się ku lewej stronie i znalazł się przed posągiem Matki Boskiej, którą Marja często wspominała. Czuł się dziwnie spokojny. Ukląkł. W bladem świetle jesiennego dnia oczy pięknej Madonny promieniały jak żywe.

Nagle wydało mu się, że postradał rozum. Ponad głową Madonny zabłysło dziwne światło, które przez chwilę nabrało szczególnego blasku i wtedy, o Boże, nie wierząc własnym oczom, ujrzał słodką, uśmiechającą się do niego twarz ukochanej Marji. Zrobił znak krzyża i pochylił głowę, nie odrywając oczu od dziwnego zjawiska. Zaiste, słusznie Madonnę nazywano Patronką Dobrej Miłości. Zdawało mu się że Matka Boska uśmiecha się do niego i błogosławi go. Powoli podniósł się z klęczek, otworzył drzwi i wyszedł z kościoła. Droga do klasztoru była długa, ale król szedł powoli. Kroczył jak we śnie. Wkońcu przybył pod klasztor, zakonnicy z przeorem oczekiwali go u wejścia, a kilku z nich wyszło daleko naprzeciw. Pozdrowił ich jakgdyby nic nie

*Kościół Świętego Stefana jest jednym z najpiękniejszych pomników romańskiej architektury kościelnej we Francji. Zbudowany w XI wieku, posiada dwie boczne absydy i nawę wspartą na sześciu łukach.

zaszło; o spóźnionej porze posiłku nikt nie wspomniał.

Po skończonej wieczerzy Jan Kazimierz udał się do kaplicy, aby odmówić modlitwy i wcześniej niż zazwyczaj odszedł do siebie. Gdy znalazł się w celi, zwrócił się do nowicjusza, który mu towarzyszył i rzekł:

—Czuję się bardzo zmęczony i zziębnięty, przynieś mi wywar z ziół. Jestem bardziej wyczerpany, niż myślałem.

Następnego ranka nie poszedł do kaplicy i wezwał doktora. Stary Courrade zrobił wszystko, by pomóc królowi, niestety, były to już daremne wysiłki.

Nazajutrz Jan Kazimierz zażądał spowiednika. Otrzymał swięte sakramenty, upadł na poduszki i, składając ręce jak do modlitwy, oddał ducha Bogu. Dokoła stali zakonnicy z przeorem. Jeszcze w ostatniej chwili otworzył oczy i twarz jego nabrała blasku:

—Marjo, Marjo!—zawołał.

Zrobił ruch jakby starał się podnieść, potem wyciągnął ramiona i rzekł jasnym głosem:

—Marjo, idę do ciebie.

Dusza jego opuściła ciało, a śmierć nadała twarzy wyraz spokoju i szczęścia.

Tak odszedł ostatni potomek Jagiellonów, trzeci i ostatni z linji Wazów, wielka postać, dobry król, odważny żołnierz i uczciwy człowiek.

Ciało jego złożono w Nevers, a serce w kościele Saint-Germain-des-Près w kaplicy nazwanej imieniem zmarłego króla. Zbudowano tam wielkie mauzoleum z białego marmuru, które przedstawia króla-kardynała, klęczącego w stroju królewskim i ofiarowującego Bogu koronę i berło.

Ciało Jana Kazimierza spoczywało w kaplicy Kolegjum księży Jezuitów w Nevers przez trzy lata, poczem szlachcic polski, niejaki Opaski, przewiózł je do Krakowa. Szczątki królewskie pogrzebano obok Ludwiki Marji Gonzaga w grobowcu, który Jan Kazimierz kazał za życia przygotować dla siebie i Marji.

ROZDZIAŁ XX

Chrzestna córka Marji i Sobieski

Szlachta zrozumiała wreszcie jak słusznie Marja oceniała położenie kraju, jak trafnie przewidywała wypadki i jak zręcznie prowadziła politykę. Haniebny pokój zawarty przez Wiśniowieckiego po upadku Kamieńca obudził i rozpłomienił patrjotyzm w całym narodzie. Postanowiono wreszcie pójść za wskazaniami Marji, wzmocnić władzę królewską i ograniczyć potęgę panów. Michał Wiśniowiecki nie starał się jednakże odbudować państwa i prowadził dalej knowania z panami. Zanosiło się znowu na wojnę domową, gdy na szczęście dla kraju Wiśniowiecki umarł, jakoby otruty. Raz jeszcze Polacy rozglądali się za królem, który byłby zdolny wprowadzić w kraju prawdziwy porządek. O koronę polską ubiegało się teraz siedmiu królów i trzynastu książąt. Śród nich byli: Jakób Stuart, poźniejszy Jakób II; Wilhelm de Nassau, poźniejszy Wilhelm III, król Anglji; Emil, syn Fryderyka Wilhelma, elektora brandenburskiego; Jerzy, książę duński; Maksymiljan, książę bawarski; Franciszek I, książę modeński; Tomasz, książę sabaudzki; Ludwik, książę Vendôme; Wielki Kondeusz; Ludwik de Soissons; Karol V, książę lotaryński; Jan Wilhelm, książę neuburski; Don Juan Austrjacki; Michał, książę siedmiogrodzki; Aleksy Michajłowicz, car moskiewski; carewicz Feodor Aleksiejewicz i Wielki Marszałek Koronny i Hetman Polny, Jan Sobieski.

Sobieski pobił właśnie Turków pod Chocimem, lecz nie

mógł tego należycie wyzyskać z powodu bezkrólewia. Niebawem odniósł nowe zwycięstwo i zawarł pokój w Żórawnie; na mocy układu Polska otrzymała dwie trzecie Ukrainy i wolność piętnastu tysięcy jeńców wojennych.

Wracał on właśnie ze zwycięskiej wyprawy, zjawił się na sejmie i zaproponował na króla Kondeusza. Uczynił to z całą szczerością i z przywiązania do Jana Kazimierza i Marji, którym zawdzięczał swoje najwyższe godności. Sobieski był przekonany także, iż spełniając pragnienie królowej, działa dla dobra kraju, któremu przywrócił teraz chwałę na polu walki. Pozatem kochał gorąco swą żonę, chrzestną córkę Ludwiki Marji, i chętnie słuchał jej rad.

Podobno w polityce nie należy mówić prawdy w nieodpowiednim momencie, bo nikt w nią nie uwierzy. Tak też i teraz wielu z pośród szlachty powątpiewało o szczerości Sobieskiego. W sejmie rozpoczęła się burzliwa dyskusja, gdy nagle wstał Jabłonowski i zawołał:

—Niech Polak panuje w Polsce!

Ten okrzyk porwał wszystkich zebranych. Jan Sobieski został obrany królem, jako Jan III. Obok niego zasiadła na tronie Marja Kazimiera, niegdyś czteroletnia dama dworu Ludwiki Marji. Koronacja Sobieskiego i Marji Kazimiery odbyła się w Krakowie w roku 1675.

Niedługo potem Marja Kazimiera wybuchnęła gwałtownym gniewem przeciw Ludwikowi XIV dlatego że nie zgodził się markizowi d'Arquien nadać godności para Francji.Poprzysięgła mu zemstę za ten afront. Miała taki wpływ na męża, że zdołała skierować go ku Austrji. Cesarstwo walczyło wtedy z Węgrami, których udało się Francji zbuntować i sprzymierzyć z Turkami. Cesarz Leopold, wraz ze swym krajem znalazł się w wielkiem niebezpieczeństwie i zaczął zabiegać o pomoc Polski. Sobieski wahał się przez pewien czas, ale królowa do spółki z nuncjuszem tak pokierowała sprawami, że wkońcu zdobył się na decyzję. Am-

basador austrjacki i nuncjusz papieski rzucili się do nóg króla, wołając:

—Miłościwy Panie, ratuj cesarstwo, ratuj chrześcijaństwo!

Scena ta do głębi poruszyła szlachetne serce Sobieskiego, wiernego syna Kościoła. Król wyruszył przeciw Turkom, zażądał jednak od Austrji 60 tysięcy ludzi i zrzeczenia się na zawsze wszelkich pretensji do kopalni soli w Wieliczce i Bochni.

Po sześćdziesięciu dniach walk, w czasie których ważyły się losy cesarstwa, Wiedeń został oswobodzony. Turcy stracili 20 tysięcy ludzi, wojsko Sobieskiego tylko cztery tysiące. Był to prawdziwy triumf króla polskiego, a bitwa pod Wiedniem zapisała się w historji obok takich zwycięstw jak pod Tours i Lepanto. Chrześcijaństwo zawdzięcza jej ocalenie a potęga mahometańska, dotychczas wzrastająca, zaczyna od tej chwili chylić się do upadku.

Nazajutrz po bitwie Sobieski pisał do żony:

"Jedyny aniele duszy mojej, śliczna i ukochana

Marysieńko,

Pan Bóg i Pan nasz na wieki błogosławiony, dał naszemu narodowi zwycięstwo i sławę, o jakich wieki przeszłe nigdy nie słyszały. Działa wszystkie, obóz wszystek i bogactwa nieocenione dostały się w nasze ręce. Muzułmanie zostawili nam prochu i amunicji więcej, niż za miljon florenów. Nieprzyjaciel, zasławszy trupem pola i obóz, uciekł w konfuzji. Postępując w pierwszej linji i pędząc przed sobą wezyra napotkałem sługę, jego, który zaprowadził mnie pomiędzy namioty. Są one tak obszerne jako Warszawa albo Lwów w murach. Mam wszystkie jego znaki wezyrskie, które nad nim noszono. Chorągiew mahometańską, którą mu dał cesarz jego na wojnę, posłałem do Rzymu Ojcu Świętemu przez Talentiego. Zdobyłem jeszcze inne namioty, ekwipaże, tysiące nieocenionych

rzeczy i pięć kołczanów nabijanych rubinami i szafirami, które same warte są wiele tysięcy dukatów.

Nie rzekniesz mi tak, moja duszko, jako tatarskie żony mawiać zwykły mężom bez łupu powracającym, żem ja nie junak i żem na przodzie nie bywał, bo tam zawsze łatwo o zdobycz. Mam konia z pod wezyra w uprzęży pięknej, on sam, lubo ścigany zawzięcie, ujść zdołał. Pomiędzy jeńców odprowadzono "kihoga", przybocznego jego pomocnika, i wszystkich oficerów najpierwszych. Żołnierz nasz zebrał złotych szabel co niemiara. Noc przeszkodziła pościgowi a Turcy uparcie bronili się ścigającym. Takie było zadufanie Turków, że gdy jedna część ich uderzała na nas, druga szła do szturmu na mury miasta. Była ich tu siła wielka, liczę, że bez Tatarów przywiedli ze sobą trzysta tysięcy ludzi. Nasz młody książę Jakub nie dał się nikomu wyprzedzić w odwadze."

Sobieski odbył triumfalny wjazd do Wiednia. Tłum witał go okrzykami, ludzie całowali jego szaty i modlili się o wszystkie błogosławieństwa nieba dla swego zbawcy. Ale zawistny i wyniosły cesarz Leopold nie chciał być świadkiem tych owacji. Pod pozorem, że reguły etykiety przewidują inne przyjęcie dla króla obieralnego a inne dla dziedzicznego, próbował wogóle uchylić się od zobaczenia z Sobieskim. Ten wykręt jednak mu się nie udał. Do spotkania obu monarchów doszło nie w pałacu wiedeńskim lecz na pobojowisku. Spotkanie to było niezmiernie chłodne. Honory domu pełnił dowódca wojsk austrjackich, Stahremberg. Wyniosła postawa cesarza źle wyrażała wdzięczność, o której króla Jana w imieniu Austrji zapewniał książę lotaryński.

—Bracie — odrzekł Sobieski — rad jestem, że mogłem wyświadczyć cesarstwu tę drobną przysługę.

Potem wskazując na młodziutkiego syna, księcia Jakuba, dodał:

—Oto mój syn, którego wychowuję w służbie chrześcijaństwa.

Leopold nie drgnął nawet i cały czas milczał obojętnie. Oburzony Sobieski odwrócił się gwałtownie i zawołał:

—Odjeżdżam do obozu. Moi dowódcy mają rozkaz pokazać cesarzowi pułki, jeśli sobie tego życzy.

Zupełny brak wdzięczności i lekceważenie ze strony cesarza Leopolda, którego ocalił od haniebnej klęski, stały się powodem, że życzliwa postawa Sobieskiego wobec Francji zmieniła się w szczery entuzjazm.

Znakomity żołnierz nie mógł się opędzić od różnych kłopotów, a jako król cierpiał tak samo jak Jan Kazimierz. Mówiono, że łatwiej było w Polsce zostać wielkim hetmanem, niż szczęśliwym królem. Wielu jego wysiłkom stanęło na przeszkodzie liberum veto, które zniesiono dopiero w roku 1791. Sobieski także przemyśliwał o abdykacji i wkońcu, przecierpiawszy niemniej niż Marja Gonzaga, zmęczony próbami wprowadzenia ładu w kraju, zmarł 17 czerwca 1696 roku.

Jego piękna żona, Marja Kazimiera, tak kochana przez Ludwikę Marję, popierała szeroko sztukę i literaturę. Ze swego pałacu w Wilanowie uczyniła ośrodek artystyczny, w którym sztuka francuska zajmowała poczesne miejsce. Ale życie i prace chrzestnej córki Ludwiki Marji mogłyby stać się przedmiotem innej opowieści.

Marysieńka, jak ją pieszczotliwie nazywał Sobieski, była bardzo ambitna, ale brakło jej finezji i równowagi chrzestnej matki. Jeździła nieraz do Nevers i zamieszkiwała w pięknym pałacu na brzegu Loary.

Wielka historja mężnego narodu polskiego ma wiele pięknych rozdziałów. Polska zawsze stawała w obronie wolności. Z zapałem zwróciła się ku młodej Ameryce, gdy nasz kraj rozpoczął walkę o niepodległość. Znakomity wódz polski, Tadeusz Kościuszko, wspaniały i bohaterski żołnierz,

przebył morza, aby ofiarować nam swą pomoc w czasie Rewolucji. Był on obok Lafayette'a jedynym cudzoziemcem, którego Washington mianował swym adjutantem. Wielki Pułaski oddał życie za Amerykę walcząc pod Savannah. Polska związana jest z nami krwią i sercem, jak prawdziwa siostra; należy do niej sympatja i podziw całej Ameryki. Po ostatnim rozbiorze w roku 1795 wielu Polaków wyemigrowało do Francji, gdzie stworzyli legjony polskie i podzielili losy przyjaznego kraju. Po wrześniu 1939 roku Polska wykazała podziwu godną nieugiętość. Posiada ona konstytucyjny rząd w Anglji, żołnierze jej walczą na wszystkich frontach z tą samą odwagą, jaką okazywali w ciągu wieków.

Zamek Saint-Eloi wznosi się na wzgórzu skąd roztacza się zachwycający widok na Loarę. Brzegi tej uroczej rzeki zdobi wiele innych zamków. Każdy z nich mógłby się stać przedmiotem długiej i ciekawej opowieści, ale może żaden nie przyćmiłby romantycznego uroku i poezji zamku książąt de Nevers.

BIBLJOGRAFJA

Charles FOSTER—Pologne

Raoul TOSCAN—Livres et articles

Jean-Chrysostome PASEK—Mémoires

Constant DORVILLE—Les Fastes du Royaume de Pologne et de l'Empire Russe

Edouard KRAKOWSKI—Histoire de la Pologne

R. WALISZEWSKI—Oeuvres; Marysieńka

HORIZONS DE FRANCE—Pologne

Jean LE LABOUREUR—Voyages de la Reine de Pologne

Albert SOWINSKI—Musique, Danses et Chants

BOSSUET—Oraisons funèbres

Caliste NALENCZ-BORZEWSKI—Souvenirs historiques

Annie de MONFORT—Femmes Polonaises

Julie LAGUIRANDE-DUVAL—Contes et Légendes de Pologne

SAINT-SIMON—Mémoires

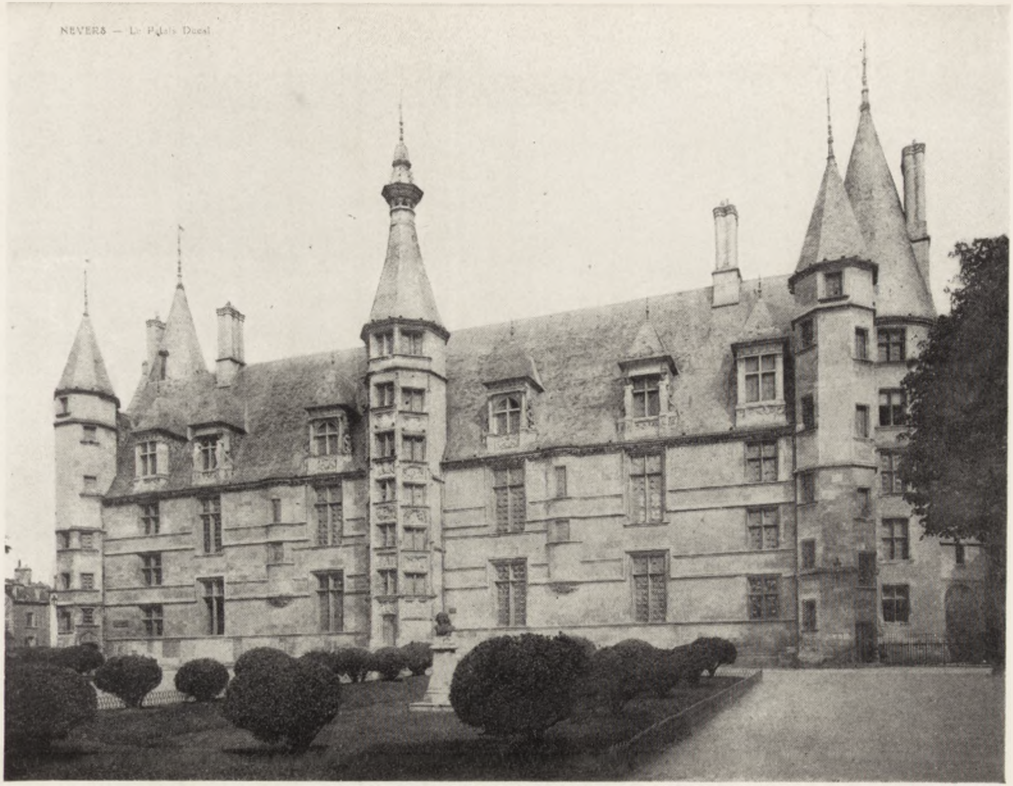
SPIS RZECZY



NEVERS — La Cathédrale



Widok miasta Nevers.



Zamek Saint-Eloi w Nevers.



Ludwik Gonzaga, książę Mantui i Nevers, dziadek Marji Gonzaga.



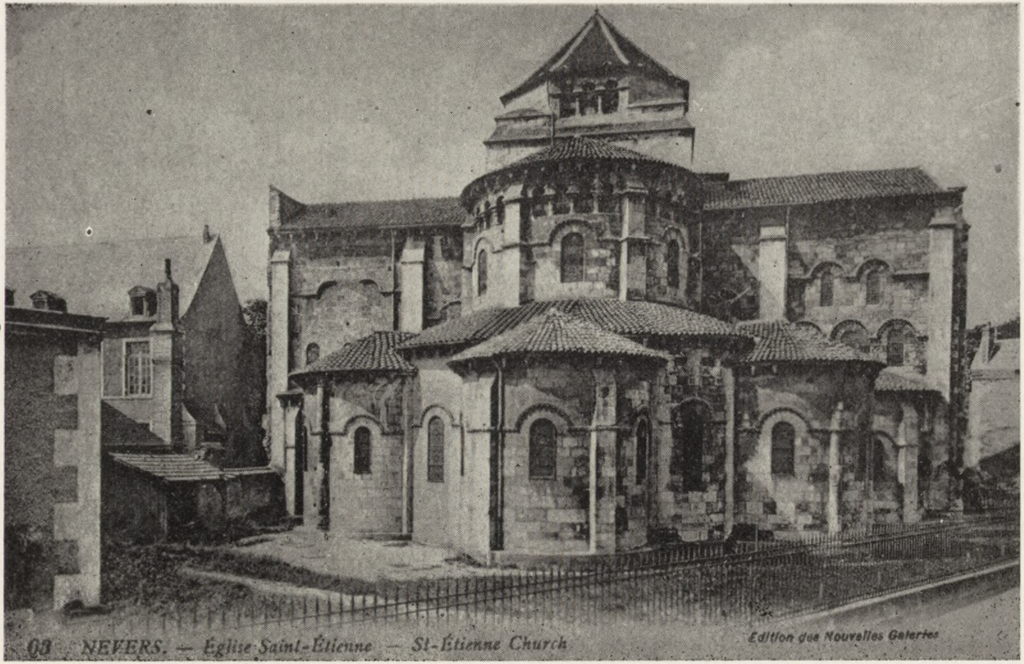
Wręczenie Ludwikowi Gonzaga pierwszej księgi, wydrukowanej na prasach drukarskich, sprowadzonych przez niego do Nevers.



Karol Gonzaga, książę Mantui, Monferrat, Nevers, Rethel itd., ojciec Marji Gonzaga.



Marja Gonzaga licząca lat czternaście.



Kościół Swiętego Stefana w Nevers.



Ludwik XIII. Według portretu Rubensa.



Anna Austrjacka, żona Ludwika XIII. Według portretu Rubensa.



Portret Marji Gonzaga z okresu pierwszego małżeństwa. Miedzioryt Justusa d'Egmont.



Ludwika Marja Gonzaga, królowa Polski. Według portretu Mellana.



Ludwika Marja Gonzaga, królowa Polski. Miedzioryt Moncorneta.



Ludwika Marja Gonzaga. Portret Nanteuila.



Widok Gdańska. Według współczesnej ryciny.



Widok Warszawy z obu brzegów Wisły. Według współczesnej ryciny.



Mapa Europy z roku 1648.



Władysław IV, król Polski i Szwecji, pierwszy mąż Marji Gonzaga.
Miedzioryt Hondiusa według portretu Danckersa.



Ludwika Marja Gonzaga. Rycina polska.



Widok Krakowa z katedrą, w której odbyła sie koronacja Marji.



Jan Kazimierz II, król Polski i Szwecji. Miedzioryt Williama Hondiusa według portretu Daniela Schultza.



Jan Kazimierz II, król Polski i Szwecji. Miedzioryt Moncorneta.


DAINOS
Chants nationaux lithuaniens
arrangés pour piano par Albert Sowinski
Chanson de noce
Piosneczka litewska
Krakowiak du prince Poniatowski



Okrucieństwa wojny. Rycina współczesna Jacques'a Callot.



Ludwika Marja Gonzaga z okresu drugiego małżeństwa. Portret malowany przez Juste Sève'a.



Jan Kazimierz II w stroju polskim. Miedzioryt Moncorneta.



Jan III Sobieski, król Polski.



Marja d'Arquien, chrzestna córka Ludwiki Marji Gonzaga,
żona Jana III Sobieskiego, króla Polski.



Triumfalny powrót Jana III, króla Polski, wielkiego księcia Litwy, Ukrainy itd. itd.



Królowa Marja Kazimiera w stroju koronacyjnym.



Starożytna brama miasta Nevers.